

K

# Stambuł, Stambuł

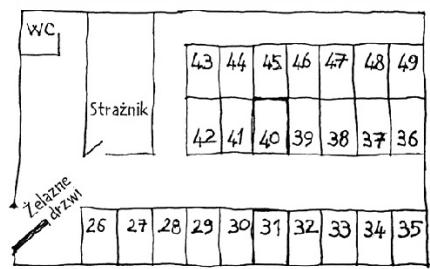
Burhan Sönmez

**Burhan Sönmez**

**STAMBUŁ, STAMBUŁ**

Z tureckiego przełożyła: Paulina Dominik  
Wrocław 2017

*Dla Kivanç*



WC

Stražnik

43 44 45 46 47 48 49

42 41 40 39 38 37 36

Železne dvře

26 27 28 29 30 31 32 33 34 35

## **Spis treści**

Dzień pierwszy

*Opowiada Student Demirtay*

### **ŻELAZNE DRZWI / 11**

Dzień drugi

*Opowiada Doktor*

### **BIAŁY PIES / 43**

Dzień trzeci

*Opowiada Fryzjer Kamo*

### **MUR / 71**

Dzień czwarty

*Opowiada Dayı Küheylan*

### **GŁODNY WILK / 97**

Dzień piąty

*Opowiada Student Demirtay*

### **ŚWIATŁA NOCY / 123**

Dzień szósty

*Opowiada Doktor*

### **PTAK CZASU / 151**

Dzień siódmy

*Opowiada Student Demirtay*

### **ZEGAREK NA ŁAŃCUSZKU / 181**

Dzień ósmy

*Opowiada Doktor*

### **STRZELISTE WIEŻOWCE / 211**

Dzień dziewiąty

*Opowiada Fryzjer Kamo*

### **WIERSZ NAD WIERSZAMI / 239**

Dzień dziesiąty

*Opowiada Dayı Küheylan*

### **ŻÓŁTY ŚMIECH / 273**

Dzień pierwszy

• *Opowiada Student Demirtay*

## **ŻELAZNE DRZWI**

– To długa historia, ale streszczę wam ją – powiedziałem. – Nikt nigdy wcześniej nie widział tyle śniegu w Stambule. Kiedy dwie zakonnice o północy były w drodze ze szpitala Świętego Grzegorza w Karaköy do kościoła Świętego Antoniego, by przekazać smutną wiadomość, na dachach budynków pełno było ciał nieżywych ptaków. W kwietniu kwiaty judaszowca od lodu i psy uliczne od mroźnego wiatru zamieniały się w kruche kryształki. Czy Doktor kiedykolwiek słyszał, żeby w kwietniu spadł śnieg? To tak naprawdę długa historia, ale ją streszczę. Jedna z zakonnice idących w burzy śnieżnej była młoda, a druga stara. Kiedy zbliżały się do wieży Galata, młoda powiedziała starszej, że od momentu gdy zaczęły wchodzić pod górę, ktoś je śledzi. Starsza odparła, że jeżeli mężczyzna śledzi je podczas burzy w ciemności, to może mieć tylko jeden zamiar.

Kiedy usłyszałem z daleka dźwięk otwierających się żelaznych drzwi, przestałem opowiadać i spojrzałem na Doktora.

Nasza cela była zimna. Gdy opowiadałem historię, Fryzjer Kamo leżał na betonie zwinięty w kłębek. Nie mieliśmy żadnego posłania, dlatego grzaliśmy się nawzajem, przytulając się do siebie jak nowo narodzone szczenięta. Ponieważ od kilku dni wszystko obracało się wokół jednej rzeczy, nie odróżnialiśmy dnia od nocy. Wiedzieliśmy już, jaki ból nas czeka, gdy prowadzono nas na tortury, każdego dnia po raz kolejny czuliśmy to samo przerażenie. Podczas tych krótkich przerw, kiedy przygotowywaliśmy się do czekających nas cierpień, nie było żadnej różnicy między człowiekiem a zwierzęciem, zdrowym na umyśle a szaleńcem, aniołem a diabłem. Gdy odgłos otwieranych żelaznych drzwi niósł się po korytarzu, Fryzjer Kamo wyprostował się i powiedział:

– Przyszli po mnie.

Wstałem i podszedłem do drzwi celi. Spojrzałem na zewnątrz przez mały otwór. Kiedy próbowałem zobaczyć nadchodzących, moją twarz oświetliła lampa paląca się na korytarzu. Nikogo nie było widać. Najprawdopodobniej czekali przy wejściu. Przymknąłem oczy, bo oślepiło mnie światło. Spojrzałem na celę naprzeciwko. Zastanawiałem się, czy dziewczyna, którą tam dzisiaj wrzucili jak ranne zwierzę, żyje.

Kiedy głosy na korytarzu nikły w oddali, usiadłem z powrotem na swoim miejscu. Położyłem stopy na stopach Doktora i Fryzjera Kamo. Aby się nawzajem ogrzać, złączyliśmy je i zbliżyliśmy do siebie twarze. Czekanie również było sztuką. Nie czuliśmy potrzeby rozmowy, tylko nasłuchiwalismy niewyraźnych dźwięków dochodzących spoza celi.

Doktor trafił tu dwa tygodnie temu. Kiedy następnego dnia wrzucono także mnie, całego we krwi, nie tylko oczyścił moje rany, lecz także przykrył mnie swoją marynarką. Każdego dnia inna grupa przesłuchujących zabierała nas z zawiązanymi oczami z celi, do której wracaliśmy po wielu godzinach na wpół przytomni. Fryzjer Kamo czekał od trzech dni. Ani nie wzięto go na przesłuchanie, ani nikt nie wspomniał jego imienia.

Przyzwyczajaliśmy się do pomieszczenia o wymiarach dwa na dwa metry, które na początku wydawało się niezwykle małe. Podłogę i ściany miało z betonu, a drzwi z żelaza. Wnętrze było puste. Siedzieliśmy na ziemi, a kiedy cierpły nam nogi, wstawaliśmy i spacerowaliśmy w kółko. Niekiedy podnosiliśmy głowy na dźwięk krzyku dochodzącego z oddali i patrzyliśmy na siebie

w nikłym świetle padającym z korytarza. Czas nam upływał na śnie i rozmowach. Bardzo marzyliśmy i z dnia na dzień byliśmy coraz chudszy.

Znów doszedł do nas odgłos skrzypiących drzwi. Przesłuchujący wyszli, a my zaczęliśmy nasłuchiwać, aby upewnić się, że nikogo ze sobą nie zabrali. Z zamknięciem drzwi głosy umilkły i korytarz pogrążył się w ciszy. Fryzjer Kamo przeklął, ciężko oddychając:

– Nie zabrali mnie, sukinsyny, wyszli z pustymi rękami! – Podniósł głowę i spojrzał w ciemny sufit. Po chwili zwinął się w kłębek i położył na ziemi. Doktor powiedział, żebym wrócił do swojej opowieści.

Znów zacząłem:

– Dwie zakonnice w śniegu...

Fryzjer Kamo nagle się obrócił i złapał mnie za ramię.

– Chłopcze, nie możesz zmienić tej historii i opowiedzieć czegoś porządnego? – zapytał. – Jest tu zimno jak cholera. Nie dość, że prawie zamarzamy na betonie, to ty jeszcze opowiadasz historię o burzy śnieżnej.

Nie jestem pewien, czy Kamo uważał nas za przyjaciół czy wrogów. Nie wiem, czy był zły i patrzył na nas z pogardą za to, że powiedzieliśmy mu, że od trzech dni mówi przez sen. Gdyby choć raz go związali i zabrali ze sobą, a potem powiesili za skórę, to wiedziałby, że może nam ufać. Na razie musiał jedynie znosić nasze słowa i wyczerpane ciała. Doktor powoli odłożył jego rękę z powrotem, mówiąc:

– Śpij, Kamo, śpij.

Zacząłem opowiadać od początku:

– Nie było nigdy w Stambule tak gorącego dnia. To długa historia, ale streszczę wam ją. Kiedy dwie zakonnice o północy były w drodze ze szpitala Świętego Grzegorza w Karaköy do kościoła Świętego Antoniego, by przekazać dobrą wiadomość, dachy budynków upstrzone były ćwierkającymi ptakami. W środku zimy kwiaty judaszowca zaczynały kwitnąć, a psy prawie rozpuszczały się z gorąca. Czy Doktor kiedykolwiek słyszał o upałach jak na pustyni w środku zimy? Jedna z zakonnice, które z trudem szły w tym skwarze, była młoda, a druga stara. Kiedy zbliżały się do wieży Galata, młoda powiedziała starszej, że od momentu gdy zaczęły wchodzić pod górę, ktoś je śledzi. Starsza odparła, że jeżeli mężczyzna śledzi je w ciemności na pustej ulicy, to może mieć tylko jeden zamiar: chce je zgwałcić. Wspinały się w pośpiechu. Tego gorącego dnia wszyscy wybrali się nad Bosfor, na most Galata, zostawiwszy za sobą opustoszałe ulice. Młodsza zakonnica powiedziała: „Zbliża się. Zanim dotrzemy na górę, doścignie nas”. Starsza odrzekła: „W takim razie biegnijmy”. Okutane w kilka warstw ubrań i długie spódnice przebiegły obok sklepów z szuldami, sklepów muzycznych i księgarni. Wszystkie były zamknięte. Młodsza zakonnica obejrzała się i stwierdziła, że on nadal za nimi podąża, na co starsza odpowiedziała: „Zanim nas dogoni, musimy się rozdzielić. Dzięki temu przynajmniej jedna z nas wyjdzie z tego cało”. Nie wiedząc, co je czeka, rozeszły się w dwie różne ulice. Kiedy młoda zakonnica biegła w prawą stronę, pomyślała, że nie musi już oglądać się za siebie. Przypomniała jej się przypowieść z Biblii i aby nie spotkał jej gniew Boży, jak tych, którzy obracali się, by po raz ostatni spojrzeć w stronę miasta, skupiła się na wąskich ulicach naprzeciw i uciekała, co chwilę zmieniając kierunek. Mieli rację ci, którzy powiedzieli, że to był przeklęty dzień. Media grzmiały, że upał w środku zimy zapowiada katastrofę, a szaleńcy w całym mieście robili hałas, uderzając w puste puszki. Kiedy młoda zakonnica zdała sobie sprawę, że nie słyszy za sobą odgłosu kroków, zwolniła. Zaczęła się rozglądać i zrozumiała, że się zgubiła. Na ulicy nie było absolutnie nikogo. Przywołała psa, który

od dłuższego czasu plątał się jej pod nogami, i szła powoli, tuż przy ścianach mijanych budynków. To tak naprawdę długa historia, ale ją streszczam. Kiedy wreszcie trafiła do kościoła Świętego Antoniego, dowiedziała się, że starszej jeszcze tam nie ma. Opowiedziała pokrótce, co im się przytrafiło, czym zasiała panikę. Gdy kilka osób już miało wyjść na poszukiwania, zewnętrzne drzwi się otworzyły i wbiegła starsza zakonnica, cała w nieładzie. Bez tchu usiadła na taborecie i łapczywie wypila dwie szklanki wody, które jej podano. Młoda z niecierpliwością czekała, aż tamta opowie, co jej się przytrafiło. W końcu starsza zaczęła: „Cały czas zmieniałam kierunki i ulice, ale nie udało mi się zgubić mężczyzny. Wreszcie zrozumiałam, że prędzej czy później mnie złapie”. Młodsza zapytała: „I co zrobiłaś?”. „Zatrzymałam się w zaułku. I wtedy on też się zatrzymał”. „A potem?”. „Podniosłam spódnicę”. „I?”. „Mężczyzna ściągnął spodnie”. „I co?”. „Znowu rzuciłam się do biegu”. „I co wtedy?”. „Jak to co? Kobieta z podniesioną spódnicą biegnie szybciej niż mężczyzna z opuszczonymi spodniami”.

Fryzjer Kamo zaczął chichotać w półśnie. Po raz pierwszy widzieliśmy go śmiejącego się. Jego ciało zakołysało się lekko, jakby właśnie zabawiał się z dziwacznymi stworzeniami. Powtórzyłem ostatnie zdanie.

– Kobieta z podniesioną spódnicą biegnie szybciej niż mężczyzna z opuszczonymi spodniami.

Kiedy chichot Fryzjera zamienił się w rzenie, spróbowałem go uciszyć. Nagle otworzył oczy i spojrzał na mnie. Gdyby strażnicy nas usłyszeli i przyszli do celi, albo by nas pobili, albo za karę kazaliby nam godzinami stać pod ścianą. Nikt nie chciałby w ten sposób spędzić tych kilku godzin odpoczynku od tortur.

Fryzjer Kamo podniósł się i oparł o ścianę. Odetchnął głęboko i jego twarz znów przybrała poważny wyraz. Przypominał pijaka, który poprzedniej nocy wpadł do rowu, a po przebudzeniu nie pamiętał, co mu się przydarzyło.

– Dzisiaj we śnie płonąłem – powiedział. – Na najniższym poziomie piekła wszyscy wokół mnie wzięli do rąk kawałki drewna i wrzucali je do ognia, który mnie trawił. Ale do diabła, i tak marzłem! Pozostali grzesznicy tak wrzeszczeli, że pękały mi bębunki w uszach. Ogień rósł w oczach, ale ja potrzebowałem więcej płomieni. Was tam nie było, spojrzałem we wszystkie twarze jedna po drugiej, nie widziałem ani Doktora, ani Studenta. Krzyczałem ze wszystkich sił, błagając o więcej ognia. Płonący obok bogacze, kaznodzieje, kiepscy poeci, matki niepotrafiące kochać – wszyscy na mnie patrzyli. W żaden sposób ogień nie był w stanie wypalić rany w moim sercu i zamienić jej w popiół; nie udało mu się wymazać mojej pamięci. Mimo żaru topiącego żelazo pamiętałem o przeklętej przeszłości. Powtarzali: „Zmów pokutę za swoje grzechy”. Czy to wystarcza? Czy wasza dusza uratowała się, kiedy żałowaliście za grzechy?! Wszyscy mieszkańcy piekła! Skurwysyny! Byłem zwyczajnym fryzjerem, który zarabiał na chleb, lubił czytać książki, ale nie miał dzieci. Nawet w ostatnich dniach, kiedy nasze życie rozleciało się na kawałki, moja żona mi nie złorzeczyła. Chciałem, żeby mnie przeklęła, ale ona oszczędziła mi obelg. Wszystko, o czym myślałem na trzeźwo, opowiedziałem jej po pijanemu. Pewnej nocy usiadłem naprzeciwko niej i rzekłem, że jestem beznadziejnym, godnym pożałowania człowiekiem. Myślałem, że zacnie ze mnie drwić, że będzie krzyczeć. Próbowałem wyłapać lekceważące spojrzenie, ale kiedy odwróciła głowę, zobaczyłem tylko smutek. Największą wadą kobiety jest to, że zawsze jest lepsza od ciebie. Tyczy się to także mojej matki. Wiem, patrzycie na mnie dziwnie, ale mało mnie to obchodzi.

Fryzjer Kamo pogładził się po brodzie i zwrócił twarz ku smudze światła padającej przez otwór w drzwiach celi. Przetłuszczone włosy, nieobcięte paznokcie i kwaśny zapach potu od pierwszego dnia zdradzały, że nie mył się dłużej niż przez ostatnie trzy dni, od kiedy tu



przebywał. Przyzwyczyłem się do zapachu Doktora, mój własny już dawno stał mi się obojętny, ale zapach Kamo bez przerwy dawał o sobie znać, jak przekleństwo wiszące nad jego duszą. Potrzeba mówienia, która zrodziła się z trzydniowego milczenia, ustąpiła miejsca monologowi pełnemu podekscytowania.

– Poznałem moją żonę w dniu, kiedy otworzyłem salon, nad którym wisiał szyld „Fryzjer Kamo”. Przyprowadziła na strzyżenie brata, który wkrótce miał zacząć szkołę. Spytałem chłopca o jego imię, potem sam się przedstawiłem: „Mam na imię Kamil, ale wszyscy mówią mi Kamo”. „W porządku, Ağbi Kamo<sup>1</sup>”, odparł chłopiec. Opowiedziałem mu kilka zagadek i przywołałem parę śmiesznych wspomnień z lat szkolnych. Moja żona, która przyglądała nam się z boku, powiedziała mi, że skończyła liceum i pracuje w domu jako krawcowa. Chcąc uniknąć mojego spojrzenia, patrzyła na zdjęcie wieży Leandra na ścianie, bazylię pod zdjęciem, lustro w niebieskiej ramie, brzytwy i nożyczki. Kiedy podałem jej wodę kolońską, którą polałem włosy jej brata, roztarła ją między małutkimi dłońmi, zamknęła oczy i głęboko wdychała zapach. W tym momencie wyobraziłem sobie, że pod powiekami widzi mnie, i chciałem, by do końca życia jej oczy patrzyły tylko na mnie. Gdy w sukience w kwiatki wychodziła z salonu, z zapachem cytrynowej wody kolońskiej w dłoniach, stanąłem w drzwiach i patrzyłem za nią. Nie zapytałem jej o imię. Nazywała się Mahizer, weszła do mojego życia ze swoimi drobnymi rękoma i myślałem, że już nigdy mnie nie opuści.

<sup>1</sup> Ağbi (tur.) – dosł. „starszy brat”, forma grzecznościowa używana w stosunku do osób o kilka lat starszych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– Tego wieczora znów wybrałem się do starej studni – ciągnął. – Ta studnia znajdowała się za naszym domem w pobliżu Menekşe, gdzie spędziłem dzieciństwo. Jak byłem sam, nachylałem się nad cembrowiną i patrzyłem w ciemność na dole. Nie zauważałem wtedy, że dzień zbliżał się ku końcowi i że istnieje świat poza studnią. Ciemność była święta, przynosiła ukojenie. Upajałem się zapachem wilgoci, z przyjemności kręciło mi się w głowie. Kiedy ktoś mówił mi, że jestem podobny do ojca, którego nigdy nie widziałem, albo gdy mama zwróciła się do mnie zamiast „Kamo” imieniem ojca – „Kamil”, co tchu biegłem do studni. Wdychając powietrze z ciemności, nachylałem się jak tylko mogłem i marzyłem o daniu susa na dno. Chciałem się uwolnić od matki, od ojca, od swojego dzieciństwa. Skurwysyny! Moja matka zaszła w ciążę z narzeczonym, który popełnił samobójstwo. Za cenę wykluczenia z rodziny urodziła mnie i dała mi imię tego mężczyzny. Pamiętam, jak mnie przytuliła i próbowała włożyć sutek do moich ust, kiedy już bawiłem się na podwórku. Zaczynała wtedy płakać. Zamiast mleka czułem na języku smak łez mojej matki. Z zamkniętymi oczami liczyłem palce, powtarzając sobie w duchu, że ta chwila zaraz się skończy. Pewnego wieczora, o zmierzchu, mama znalazła mnie z głową w studni i pociągnęła za ramię. W tym samym momencie stanęła na kamieniu, a on się zachwiał i straciła równowagę. Do dziś słyszę, jak krzyczy, spadając w dół. Jej ciało wyciągnęli o północy. Potem zabrano mnie do domu dziecka Darüşşafaka. Spałem pogrążony w marzeniach w pokojach, w których każdy bez ustanku snuł swoje historie.

Kamo spojrział na nas, aby sprawdzić, czy słuchamy go uważnie.

– Kiedy byliśmy narzeczeństwem z Mahizer – kontynuował – dawałem jej powieści i tomiki poezji. Nasz nauczyciel w liceum zawsze powtarzał, że każdy człowiek ma swój własny język – niektórych można zrozumieć, jak da im się kwiatek, innych – książkę. Mahizer w domu cięła materiał i szyła sukienki; czasami przez brata wysyłała mi wiersze napisane na małutkich skrawkach papieru. Chowałem je w szufladzie w salonie fryzjerskim, między kostkami

perfumowanego mydła. Praca wrzała, coraz więcej osób korzystało z moich usług. Pewnego dnia postrzelono mojego klienta dziennikarza, który po strzyżeniu z uśmiechem na twarzy wychodził z salonu. Dwaj napastnicy podbiegli do leżącego i po oddaniu jeszcze jednego strzału w jego głowę krzyknęli: „Albo pokochasz, albo opuścisz!”. Kolejnego dnia ogromny tłum zebrał się w miejscu, gdzie wciąż widoczne były ślady krwi. Chcieli uczcić pamięć zastrzelonego. Poszedłem z tym tłumem na pogrzeb. Nie wierzyłem w politykę. Przez całe życie jedyną osobą związaną z polityką, z którą miałem bliski kontakt, był mój nauczyciel z liceum, hodża Hayattin. Choć nigdy nie nawiązywał do tych tematów, wśród jego teczek i papierów zdarzało nam się zobaczyć socjalistyczne czasopisma. Mój brak wiary w politykę był absolutny – jakże moglibyśmy zmienić świat polityką, skoro zajmowali się nią ludzie? Ci, którzy uważali, że dobro ocali społeczeństwo i uczyni je szczęśliwym, nie znali prawdy o człowieku. Ignorowali jego egoizm, do cholery jasnej! Samolubstwo, chciwość i żądza rywalizacji leżą u podstaw ludzkiego charakteru. Kiedy o tym mówiłem, moi klienci sprzeciwiali się i z zapalem próbowali mnie przekonać, że się mylę. Jeden z nich, gdy czekał raz w kolejce do strzyżenia, powiedział: „Jak to możliwe, że miłośnik poezji tak myśli?”. Podszedł do lustra i z leżących pod nim *Kwiatów zła* przeczytał na głos kilka wersów. Przemoc nie ustawała; dostawaliśmy wiadomości o ludziach zastrzelonych w okolicy. Pewnego razu młody klient, który w pośpiechu wszedł do salonu, poprosił mnie, żebym ukrył jego broń, zanim dogoni go policja. Nawet jeżeli zdarzyło się, że przez przypadek komuś pomogłem, polityka mnie nie obchodziła. Jedyne życie, w jakie wierzyłem, to to, w którym zbierałem pieniądze, żeby kupić dom, gdzie urodziłoby mi się dziecko i gdzie spędzałbym nocę u boku Mahizer. Ale Mahizer nie zachodziła w ciążę. Kiedy w drugim roku naszego małżeństwa poszliśmy do doktora, okazało się, że to nie z Mahizer, ale ze mną był problem.

– Pewnego wieczora, gdy zamykałem salon – mówił dalej – zobaczyłem, jak trzech mężczyzn zaatakowało jednego. Tym mężczyzną był mój nauczyciel literatury z liceum, hodża Hayattin. Wyciągnąłem nóż i rzuciłem się z odsieczą, kalecząc ręce i twarze napastników. Nie spodziewali się tego, uciekli w ciemność. Hodża Hayattin mnie przytulił. Odeszliśmy stamtąd, rozmawiając. Usiedliśmy w jednej z tawern na Samaty<sup>2</sup>. Zaczęliśmy opowiadać o sobie. Po Darüşşaface hodża Hayattin zmieniał szkoły dwa razy, dawał mniej lekcji i poświęcał więcej czasu na politykę. Martwił się o przyszłość naszego kraju. Usłyszał od kogoś, że zacząłem studiować filologię francuską na uniwersytecie. Ale nie wiedział, co bardzo go zasmuciło, że na drugim roku musiałem zacząć pracować i przerwałem studia. Kiedy zapytał, czy nadal interesuję się poezją, wymamrotałem kilka wersów z Baudelaire’a, które zapamiętałem z jego lekcji. Spojrzał na mnie z dumą i przypomniał, że w szkole zająłem pierwsze miejsce w konkursie recytatorskim. Wznieśliśmy w toaście szklanki z raki<sup>3</sup>. Hodża Hayattin ucieszył się z mojego małżeństwa; sam nadal był kawalerem. Opowiedział tylko, że kilka lat temu zakochał się w jednej ze swoich uczennic, ale nigdy nikomu o tym nie wspomniał. Kiedy dowiedział się, że dziewczyna wyszła za mąż po ukończeniu liceum, pogrzyżył się w samotności. Piliśmy do białego rana. Ja recytowałem wiersze, które znałem na pamięć, a on te, które napisał dla dziewczyny, w której się zakochał. Nie pamiętam, jak wróciłem do domu. Dopiero kolejnego dnia, kiedy wytrzeźwiałem, przypomniałem sobie, że w jego wierszach przewijało się imię „Mahizer”. Nie poszedłem na pogrzeb hodży Hayattina miesiąc później. Uśmiercono go jednym strzałem, kiedy wychodził ze szkoły. Jeden z jego przyjaciół przyniósł mi wiersz o odważnych kawalerzystach podczas burzy, który znaleźli w jego notatkach i który mi zadedykował. Tego wieczora

przytuliłem Mahizer i poprosiłem ją, by nigdy mnie nie opuściła. „Dlaczego miałabym cię zostawić, mój szalony chłopcze?”, odparła. Wziąłem ze sobą pudełko, które przez lata trzymałem w szufladzie na mydło w salonie fryzjerskim. Otworzyłem je, wyciągnąłem skrawki papieru z wierszami, które napisała Mahizer, kiedy byliśmy narzeczeństwem, i poprosiłem, by mi je przeczytała. Papier miał zapach róż i lawendy. Podczas gdy Mahizer czytała, rozpiąłem jej koszulę i wziąłem do ust sutek. Chciałem ssać mleko, ale zamiast tego poczułem smak łez. Minęły trzy miesiące. Pewnej nocy Mahizer, jękając się, zadawała mi jedno po drugim pytania i nagle zaczęła płakać. Chciała wiedzieć, kto zastrzelił hodżę Hayattina. Odpowiedziałem jej, że nie zrobił mi nic złego. Podobno od kilku dni we śnie powtarzałem, że mu się należało. Zapytałem, o kim jeszcze mówiłem. Mahizer na to: „Więc jest ktoś jeszcze?”. Przysięgłem na życie swojej matki, że nie mam związku z jego śmiercią, a słowa, które mówi się przez sen, są pozbawione znaczenia. Założyłem płaszcz i mimo zimna wyszedłem na zewnątrz. Cóż to za złudzenie! Byłem pogrążony w smutku. Podstarzały głupiec. Niegdyś na skrzydłach mojej duszy jaśniały iskry. Gdyby tylko promień nadziei padł na ciebie, wzniosłbyś się na wyżyny. Och, z trudem chwytający powietrze, schorowany, nienadający się już do niczego koniu pociągowy! Czy istnieje skrawek ziemi, który nie jest pogorzelnikiem? Moja dusza to nędzny starzec o krwawiących ranach. Już ani smak życia, ani nieustająca nawałnica miłości do niej nie dotrą. Och, strachu przed czasem, który topi mnie z każdym oddechem! Czasie, który zabierasz moją duszę do dalekich krain! Nie wiem, jak dotarłem do studni, jak podniosłem kamienie i otworzyłem pokrywę. Nachyliłem się i krzyknąłem w otchłań. Mamo! Dlaczego, kiedy zmuszałaś mnie do ssania twojej piersi, zamiast mleka dawałaś mi łzy? Mamo! Dlaczego, kiedy przytulałaś moje wątłe ciało, zamiast mojego szeptałaś imię mojego nieżyjącego ojca? Wiedziałem, że gdy mówiłaś do mnie „Kamil” zamiast „Kamo”, myślałaś o moim ojcu. Także tej ostatniej nocy wołałaś jego. Wiedziałem, że kamień, na którym stanęłaś, nie był stabilny i mógł się obluzować. Wiedziałem, że upadniesz, mamo! Zawsze powtarzałaś, że urodziłem się dzięki ojcu, że to jemu zawdzięczam życie. Że to kara Boża! Zmarłych już nie ma. Jakże słabe było światło, tego nie rozumiałaś. Światło pokazywało zaledwie to, co na zewnątrz. Nie pozwalało nam zobaczyć tego, co w środku.

**2** Samatya – dzielnica Sambułu położona nad brzegiem Bosforu w dystrykcie Fatih. Niegdyś zamieszkiwana głównie przez ludność grecką i ormiańską.

**3** Raki – turecki alkohol o anyżowym aromacie. Pije się go z dodatkiem lodu i wody, która daje efekt znieczulenia.

Fryzjer Kamo wymamrotał ostatnie słowa, tak jakby mówił sam do siebie. Najpierw się nachylił, a potem uderzył z całej siły tyłem głowy w ścianę. Doktor, który powiedział, że to atak padaczki, od razu położył go na ziemi. Między zęby, żeby nie gryzł się w język, włożył mu kawałek chleba odłożony dla nowego współwzięnia, który mógł pojawić się tu w każdej chwili. Przytrzymałem Kamo za nogi. Rzucił się w amoku, z ust toczył pianę.

Drzwi celi się otworzyły. Nad nami niczym olbrzym stanął strażnik i krzyknął:

– Co tu się dzieje, do cholery?!

– Nasz współwzięcie ma atak padaczki – odparł Doktor. – Potrzebujemy czegoś o silnym zapachu, jak woda kolońska albo cebula, żeby go ocucić.

Strażnik wkroczył do celi i odpowiedział:

– Dajcie mi znać, kiedy wasz pieprzony kolega zdechnie, to przyjdę po ciało.

Dla pewności nachylił się i spojrzał na twarz Kamo. Śmierdział krwią, pleśnią i wilgocią. Zapach alkoholu wydobywający się z jego ust dowodził, że pił przed wartą. Po chwili się

odsunął i splunął na ziemię.

Kiedy strażnik zamykał celę, przez szparę w drzwiach naprzeciwko zobaczyłem twarz dziewczyny, którą dziś przyprowadzono. To był jej pierwszy dzień w tym miejscu, ale po kolorze ran można było wnioskować, że torturowano ją od dłuższego czasu. Po tym, jak zamknęły się drzwi, położyłem się na podłodze – z jednej strony trzymałem nogi Kamo, z drugiej przycisnąłem policzek do ziemi, aby przez szparę widzieć stopy strażnika. Obrócił się w kierunku dziewczyny i czekał znieruchomiąły. Jego nogi się nie poruszały. Czyżby nowa nie odsunęła się od miejsca, do którego dochodziło światło? Strażnik nie przeklinał, nie uderzał w drzwi, żeby ją przestraszyć, ani nie wszedł do celi, by ją popchnąć. W tym samym czasie Kamo spinał się i próbował wyrwać mi swoje nogi. Rozpostarł ramiona i obiema rękoma napierał na ściany celi. Po tym ostatnim wysiłku przestał się trząść i zamilkł. Strażnik wreszcie zostawił dziewczynę w spokoju i odszedł. Słysząc było tylko zanikający odgłos jego kroków w korytarzu. Wstałem i spojrzałem naprzeciwko. Kiedy zobaczyłem dziewczynę przez otwór, ukloniłem się, ale ona ani drgnęła. Po chwili przesunęła się do tyłu i zniknęła w ciemności.

Doktor oparł się o ścianę z wyprostowanymi nogami i ułożył na nich głowę Kamo.

– Przez jakiś czas będzie tak spał – wyjaśnił.

– Słyszysz nas? – zapytałem.

– Niektórzy pacjenci słyszą w takich sytuacjach, inni nie.

– Powinniśmy go ostrzec, żeby nie opowiadał nam wszystkiego o sobie.

– Racja, nie powinien niczego więcej wyjawiać.

Doktor spojrzał na Kamo tak, jakby usypiał własnego syna, a nie pacjenta. Starł pot z jego czoła i poprawił mu włosy.

– Jak wygląda dziewczyna z naprzeciwka? – zapytał.

– Ma zaschnięte rany na twarzy. Jestem pewien, że od dawna ją torturują.

Spojrzałem na spokojne oblicze Kamo. Jego klient miał rację: jak taki mężczyzna może lubić poezję? Spał jak dziecko, które zmęczyło się zabawą na dworze. We śnie zapewne nachylał się teraz nad swoją studnią i patrzył w ciemną otchłań. Trzymając się wilgotnych kamieni... albo nie, nie ufał kamieniom; trzymając się przywiązanej liny, schodził w dół, by zanurzyć się w wodzie. Kamo był tam zarówno północą, jak i południem, a wschód i zachód były w nim. Jego życie na zewnątrz zostało wymazane, teraz był studnią w studni, wodą w strudze wody.

Z półotwartymi oczami wyjąkał:

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Przez pół godziny – odpowiedział Doktor.

– Zaschło mi w gardle.

– Podnieś się powoli.

Kamo się wyprostował i oparł plecami o ścianę. Doktor zbliżył do jego ust naczynie z wodą, które trzymał w ręce.

– Jak się czujesz? – zapytał.

– I zmęczony, i wypoczęty, do cholery jasnej. Powinienem być wam powiedzieć o mojej chorobie. Zaraz po śmierci matki, wiosną, po raz pierwszy ujawniły się jej objawy. Nie trwały długo, już po kilku tygodniach przeszło. Jak mówią: przeszłość lubi do nas wracać. Po tym, jak Mahizer mnie opuściła, napady padaczki wróciły.

– Tutaj wraz z Demirtayem zaopiekujemy się tobą. Ale, Kamo, muszę ci powiedzieć coś ważnego. Przyjemnie jest rozmawiać, lecz w tych celach panują inne zasady. Nie wiemy, kto nie wytrzyma podczas tortur i wyjawi wszystkie tajemnice, kto opowie to, co tu usłyszał.

Oczywiście dla zabicia czasu będziemy ze sobą rozmawiać, nie wyjawiamy jednak sobie sekretów. Rozumiesz?

– Mamy w ogóle nie mówić sobie prawdy? – zapytał Kamo. Srogięgo mężczyznę sprzed chwili zastąpił posłuszny pacjent.

– Sekrety zostaw dla siebie – odparł Doktor. – Nie wiemy, dlaczego cię tu przyprowadzono, i wcale nie chcemy się tego dowiedzieć.

– Nie interesuje was, kim jestem?

– Słuchaj, Kamo, gdybyśmy teraz byli na wolności, nie chciałbym się z tobą spotkać, nie chciałbym przebywać z tobą w jednym miejscu. Ale tutaj jesteśmy w objęciach bólu, na łasce śmierci. Nikt nie zamierza tu nikogo oceniać. Zaopiekujmy się sobą nawzajem. Pamiętaj, znaleźliśmy się tutaj w swojej najbardziej bezbronnej postaci, biedaku.

– Nie znacie mnie. Jeszcze wam niczego nie opowiedziałem – stwierdził Kamo.

Spojrzelśmy po sobie z Doktorem i czekaliśmy w milczeniu. Czuliśmy, że Fryzjer Kamo przebiera w słowach i dobiera je starannie.

– Moja pamięć, na którą się skarżę, jest jak skąpy lichwiarz: gromadzi i skrzętnie ukrywa każde słowo. Ty, Studencie, czy wiesz, że historia, którą przed chwilą opowiedziałeś, jest przypisywana Konfucjuszowi? W moim salonie fryzjerskim, nad lustrem, obok flagi był plakat przedstawiający półnagą kobietę, pod nim widniały te same słowa. Dziewczyna w podwiniętej kolorowej spódnicy biegła na swoich długich nogach co tchu i obrócona w bok spoglądała na mnie i na moich klientów z zawstydzieniem. Między jej nogami było napisane, że kobieta z uniesioną spódnicą biegnie szybciej niż mężczyzna z opuszczonymi spodniami. Czasami moi klienci fantazjowali o urodzie dziewczyny z plakatu i zastanawiali się, czy to zdanie było prawdziwe. Marzyli o kobiecie, z którą mogliby zapomnieć o reszcie świata. Pewnego dnia jeden z nich, pisarz, spojrzał na plakat i wyszeptał: „Ach, Sonia!”. Wszyscy go usłyszeliśmy i pomyśleliśmy, że tak właśnie nazywa się ta dziewczyna. Na fotelu fryzjerskim pisarz długo ze mną rozmawiał i w końcu zaczął opowiadać o mnie samym. Stwierdził, że w głębi duszy jestem podobny do Rosjan. Kiedy zobaczył zdziwienie na mojej twarzy, przypomniał słowa, które wypowiedziałem, gdy za pierwszym razem przyszedł do mojego salonu. Gdybym urodził się w Rosji, należałbym do rodu Karamazowów albo prowadziłbym podziemne życie, albo jak ojciec Soni, Marmieładow, zostałbym nędzarzem. Wszystko, co pisarz opowiedział o tych bohaterach, pasowało do mnie. Dostojewski obdarował każdą z tych postaci tym samym stanem ducha – najpierw Marmieładowa ze *Zbrodni i kary*, potem tchnął to w pierwszy rozdział *Notatek z podziemia*, a następnie w historię braci Karamazow. Różnice między bohaterami były drobne, ale wystarczające, aby koleje życia zaprowadziły ich w różnych kierunkach. Marmieładow lubił sobie dogadzać; był świadomy swojej niedoli i mówił o tym otwarcie, besztając się za to. Był nędznikiem skazanym na przeznaczenie. Sonia bardzo kochała swojego godnego pożałowania ojca. Och, ty nieszczęsna kurwo, Soniu! Kto przekonany, że zasługuje na twoją miłość, nie popełniłby dla ciebie najokrutniejszych zbrodni?! Człowiek z podziemia natomiast, aby ukazać nędzę innych, eksponował własną i przemieniał ją w gniew. Z pożądaniem znajdował ludzi podobnych do siebie, kazał im przyglądać się sobie w metaforycznym lustrze i zagłębiał się w zakamarkach własnej duszy. Przypadek braci Karamazow był całkiem inny. Oni sprzeciali się zarówno ze sobą, jak i z innymi, a także z życiem. Ani nie czuli się nieszczęśnikami jak Marmieładow, ani nie używali własnej nędzy jako narzędzia służącego do ukazywania tragedii innych. Niedola była ich nieuniknionym przeznaczeniem, raną, która ropiała bez końca. Zamiast zaakceptować życie takim, jakim było, szamotali się z nim, a kiedy wymierzyło im kopniaka,



próbowali doprowadzić do rozlewu krwi i splamić nią jego twarz. I właśnie to życie otworzyło mi teraz nową, czystą stronę. Szlag by to trafił! Bądźcie trochę bardziej wyrozumiali, nie patrzcie na mnie jak ci straceńcy z piekła! Od trzech dni słucham waszych historii i znoszę wasze jęki. Teraz wy też mnie posłuchajcie!

Kamo patrzył na nas z pogardą, napił się wody i mówił dalej:

– Nie wiem, co się stanie. Czy mnie stąd wypuszczą, czy tak jak was zaczną tortuować. Ból weźmie w niewolę ciało, a strach duszę. Ludzie, żeby uratować swoje ciała, sprzedają dusze. Ja się nie boję. Oprawcom wyjawię tajemnice, o których wam nie opowiedziałem. Powiem im to, co chcą usłyszeć, w odpowiedzi na ich pytania własnymi rękoma oddam im swoją duszę. Jak krawcy, którzy rozpruwają podszewkę, żeby przesyć jedną stronę marynarki na drugą, tak samo ja wyciągnę swoją wątrobę i położę ją przed nimi, opowiadając więcej, niż chcą wiedzieć. Najpierw będą słuchać z zainteresowaniem, będą zapisywać wszystkie moje słowa, myśląc, że się im przydadzą, ale z czasem to, co im powiem, zacznie ich drażnić. Zrozumieją, że to jest prawda o nich samych, prawda, której nie chcą znać. W życiu człowiek najbardziej boi się siebie. Oni też będą się bali i będą próbowali mnie uciszyć. Ludzie, którzy na początku tortuowali mnie, żebym zaczął mówić, teraz będą mnie krzyżować, serwować mi elektrowstrząsy i rozkrwawiać każdy centymetr mojego ciała, żebym zamilkł. Prawda będzie dla nich tak samo przerażająca jak dla mnie. Opowiem im wszystko o sobie i każę im się zmierzyć ze sprawami, o których nie chcą wiedzieć. Zdziwią się jak trędowaci, którzy po raz pierwszy przejrzeni się w lustrze, odwrócą się w stronę ściany i wiedząc, że nie mogą zmienić siebie samych, nie znajdą innego rozwiązania niż roztrzaskanie lustra, czyli zabicie na kwaśne jabłko mojej twarzy i doszczętne połamanie kości. Obcinając mi język, też niczego nie wskórają. Moje jęki ich ogłuszają, a ich myśli skupią się na jednej jedynej prawdzie. Nawet we własnych domach w środku nocy będą budzić się oblani potem i do ostatniej kropli wypijać butelki najmocniejszych alkoholi. Dokąd mogą uciec? Prawda płynie w aorcie każdego człowieka. Albo się z tym pogodzą, albo podetną sobie żyły. Każdy z nich zapewne ma czułą żonę, która go przytuli i pocieszy. Zapali papierosa i włoży mu go między palce. Z przerażeniem boją się poznać prawdę o sobie. Teraz już wiem, dlaczego od trzech dni nie wzięli mnie na przesłuchanie. Oni się mnie boją.

Fryzjer Kamo mówił z najdalszych głębin. Ukrywał się, został zdławiony, zraniono go. Chował się dlatego, że go zraniono, czy ukrywając się, coraz bardziej się ranił, tego nie wiem. Ja dusiłem się w ciemności, którą Kamo tak uwielbiał. Kiedy zawiązywali mi oczy i wyprowadzali mnie przez żelazne drzwi, opuszczałem świat, który znałem. Po omacku próbowałem rozpoznawać kierunki, trzymać się chaotycznych słów w mojej głowie. Człowiek nie wie, jak myśleć w ciemności. Świat był tuż obok, to do niego chciałem wrócić.

Kamo przymknął oczy, rozglądał się, był zmęczony. Przeszkadzała mu nawet najcieńsza smuga światła wpadająca do środka. Może dlatego cały czas chciało mu się spać.

Znowu zaczął opowiadać:

– Moja matka tylko raz nie zdenerwowała się, kiedy poszedłem do studni. Tego dnia przyśniło jej się płonące drewno. To oznaczało, że problemy minęły. Dziwne, to tu, w tej celi, po raz pierwszy śniłem o płonącym drewnie. Skoro moja przeszłość już się nie zmieni, którego z problemów mogę się pozbyć?

– Tak jak upłynęła nam przeszłość, tak minie teraźniejszość – powiedział Doktor. – Twój sen zapowiada, że stąd wyjdiesz, że znów będziesz wolny.

– Wolny? Od kiedy straciłem Mahizer, nic nie ma dla mnie sensu.

– Sam siebie zamęczasz. Każdy ma podobne kłopoty. – Doktor zamilkł na moment. Po chwili dodał: – Kamo, tutaj trzeba myśleć pozytywnie. Wyobraź sobie, że teraz jesteśmy na zewnątrz. Na przykład rozmawiamy na wybrzeżu w Ortaköy, patrząc na azjatycką stronę Bosforu.

Doktor lubił odwracać naszą uwagę i kierować ją na zewnątrz. Je też się tego nauczyłem od niego. Dużo większą otuchę niż rozmowa o bólu przynosiło marzenie o życiu poza tymi murami. Ponieważ w celi swoboda ruchów była bardzo ograniczona, czas też stał w miejscu. Kiedy nasze myśli wychodziły na zewnątrz, nasze mózgi zaczynały działać. Rozum był silniejszy od ciała. Doktor powiedział, że zostało to udowodnione naukowo. Będąc tutaj, często marzyliśmy o świecie zewnętrznym i na przykład dzieliliśmy radość ludzi spacerujących brzegiem Bosforu. Machaliśmy do tych, którzy przepływali obok nas statkiem i tańczyli na pokładzie w rytm głośnej muzyki. Przechodziliśmy koło przytulającej się pary zakochanych. Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, Doktor kupił trochę zielonych kwaśnych śliwek od przydrożnego sprzedawcy. Poczęstował mnie, uśmiechając się łagodnie.

W zeszłym tygodniu przyprowadzili mnie do celi na wpół przytomnego. Miałem tak wyschnięte usta, że wymamrotałem tylko niezrozumiałe słowa. Gdy Doktor, który myślał, że proszę o wodę, nachylił się nade mną i próbował mnie napoić, otworzyłem oczy i powiedziałem:

– Nie chcę wody, chcę zielonych śliwek.

Przez dwa dni się z tego śmialiśmy.

– Ty też chciałbyś zielonych śliwek? – Doktor zapytał Kamo.

Fryzjerowi nie spodobała się nasza rozmowa. Myślami był gdzie indziej.

– Przeszłość, Doktorze, nasza przeszłość... – powiedział tylko.

Doktor opuścił rękę, którą wyciągnął w powietrzu tak, jakby podawał śliwki.

– Do przeszłości już nie dotrzemy, została daleko w tyle. Zamiast niej musimy myśleć o przyszłości.

– Wiesz co, Doktorze? Bóg też nie może zmienić przeszłości. Jest wszechmocny, rządzi teraźniejszością i przyszłością, ale nie ma wpływu na przeszłość. Skoro nawet on nie posiada wystarczającej mocy, by zmienić przeszłość, czym my jesteśmy?

Doktor po raz pierwszy spojrział na Kamo z politowaniem, a po chwili się uśmiechnął.

– Wszyscy fryzjerzy, których znam, są gadatliwi. Opowiadają albo o piłce nożnej, albo o kobietach. Czemu ty mówisz o takich rzeczach? Gdybym był twoim klientem, nie wróciłbym do twojego salonu. Może fryzjerzy nie powinni studiować na uniwersytecie, bo rozmowy o piłce i kobietach zanikną?

– Nawet gdybym nie studiował, zadawałbym te same pytania.

– Pomyśl, Kamo. Narzekałeś na dzieciństwo spędzone z matką, ale gdy poznałeś swoją żonę, uciekłeś od przeszłości. Teraz będzie tak samo. Jutro znajdziesz nowe źródło szczęścia i zapomnisz o tym, co było.

– Nowe źródło szczęścia?

Doktor wziął głęboki wdech. Potarł jedną zmarzniętą dłoń o drugą. Spojrział w górę, jakby zastanawiał się, jak sobie poradzić z upartym pacjentem w przychodni. W tej samej chwili doszedł do nas dźwięk otwierania ciężkich żelaznych drzwi.

Spojrzeliliśmy po sobie. Z korytarza dobiegały zadowolone głosy tych, którzy nas torturowali. Zaczęliśmy przysłuchiwać się ich rozmowie.

– Zaczął gadać.

– Jeszcze trochę, może kilka dni.

- Co było w ofercie?
- Prąd, wieszak, woda pod ciśnieniem.
- Nazwisko, adres?
- Znamy je.
- To gruba ryba czy narybek?
- Jedna z najgrubszych.
- Która cela?
- Czterdziesta.

To był numer naszej celi.

Położyliśmy jedna na drugiej nasze zmarznięte stopy. Chcieliśmy ogrzać się nawzajem przez tę ostatnią chwilę. Zawsze była taka możliwość, że już nie wrócimy. Mogliśmy wyjść zdrowi na umyśle, a wrócić szaleni, albo pójść jako ludzie, a wrócić jako zwierzęta z duszą rozbitą na kawałki.

– Przyszli po mnie. W samą porę – oznajmił Kamo, zwracając twarz w stronę otworu w drzwiach.

Kroki były coraz bliżej. Drzwi celi się otworzyły. Dwóch strażników trzymało za ramiona masywnego starszego mężczyznę, z trudem go prowadzili. Jego głowa zwisała bezwładnie, był cały we krwi.

– Macie, to wasz nowy kolega.

Wstaliśmy z Doktorem i przytrzymaliśmy mężczyznę. Położyliśmy go na ziemi. Strażnicy zamknęli drzwi i odeszli.

– Prawie zamarzł – powiedział Doktor. Sprawdził, czy mężczyzna krwawi, czy ma połamane kości. Uniósł jego powieki i w półmroku spojrzął mu w oczy. Złapał go za stopę i zaczął masować. Wziąłem w dłonie drugą. Była zimna jak lód.

– Położę się na ziemi, a wy ułóżcie go na mnie. Musimy chronić go przed zimnem ciągnącym od betonu – zaproponował Fryzjer.

Razem z Doktorem złapaliśmy mężczyznę i ułożyliśmy go na plecach Kamo. Potem położyliśmy się po jego obu stronach i przytuliliśmy się do niego. Dawniej ludzie, by się ogrzać, kładli się obok krów i psów. W tej celi wróciliśmy do początków cywilizacji. Staraliśmy się przywrócić do życia nieznanego nam mężczyznę, tuląc się do niego.

– Wszystko w porządku, Kamo?

– W porządku, Doktorze. Chyba kazali mu czekać na śniegu.

– Śniegu?

– Tak, tego dnia, kiedy mnie złapali, padał bez przerwy.

– W tym roku zima przyszła wcześniej. Kiedy mnie pojмали, było słonecznie.

Gdy Doktor rozmawiał z Fryzjerem, tylko się przysłuchiwałem. Nie wiedziałem, jak wejść im w słowo. Od trzech dni Kamo albo mnie ignorował, albo rugał. Czasami nazywał mnie „studentem”, ale głównie „dzieciakiem”. Miałem osiemnaście lat i oczekiwałem, że okaże mi choć trochę szacunku, jakim darzył Doktora. Kiedy mnie złapali, wyobrażałem sobie, co może mnie tu spotkać. W tej celi nie było współwięźnia, który stwarzałby problemy. Ból przeszywał do szpiku kości, wiedziałem, że albo go wytrzymam, albo się poddam. Ale prawda jest taka, że nie miałem pojęcia, jak mam się zachowywać w stosunku do Kamo.

Po tym, jak mnie złapali, jeden z policjantów w cywilu cały czas powtarzał „dzieciak”. Gdy łąmał mi palce w wozie policyjnym, naciskał: „Szkoda ciebie, dzieciaku, gadaj od razu”. Kiedy powiedziałem, że nie jestem dzieckiem, rzucił się na mnie i próbował mnie udusić. Inny policjant



go powstrzymał. Albo po prostu była to jedna ze scenek, które zawsze odgrywają. Wiedział, jak się nazywam i pytał mnie o imię osoby, z którą miałem się spotkać. Bardziej zdziwiło mnie, że znali miejsce i czas spotkania, niż to, że wiedzieli, kim jestem. „Nie jestem dzieckiem. Jestem studentem. Szedłem na uczelnię, nie wiem, o jakim spotkaniu mówicie”. „W takim razie dlaczego uciekałeś?”. Kiedy spostrzegłem, że mnie śledzili, skręciłem w pierwszą ulicę i zacząłem biec. „Byłem spóźniony, chciałem zdążyć na zajęcia”.

Pół godziny później przywieźli mnie na przystanek przy bibliotece Uniwersytetu Stambulskiego – miejsce spotkania. Powiedzieli, że mam tam czekać i jeżeli będę próbował uciec, zastrzelą mnie. Policjanci w cywilu wysiedli z wozu i rozproszyli się wokół. Z daleka obserwowali wszystkich, którzy czekali razem ze mną na autobus. Spojrzałem na zegarek – była za trzy druga. Zasady naszych spotkań nigdy się nie zmieniały. Przychodziło się najwcześniej trzy minuty przed ustaloną porą i jeżeli nikt się nie pojawił, nie czekało się dłużej niż kolejne trzy minuty. Kiedy patrzyłem na osoby wysiadające z autobusu, który właśnie się zatrzymał, bałem się, że zobaczę tego, na kogo czekałem. Zdziwiłem się, że był taki tłum. Znajdowało się tam wielu studentów, turystów, mężczyzn w garniturach. Czas płynął, zegarek wskazywał za dwie druga. Przyjrzałem się tym po przeciwnej stronie ulicy, ale w tłumie wszyscy wydawali się podobni. Osoba, z którą miałem się spotkać, mogła być wśród tych, którzy próbowali w pośpiechu przejść przez ulicę, przepychając się między samochodami. Być może wyczuła, że jest na nią zastawiona zasadzka, albo zwróciła uwagę, że zachowuję się podejrzanie. Jak tylko spostrzegła niepokój na mojej twarzy, wmieszała się w tłum. Znowu spojrzałem na zegarek – za minutę druga. W ułamku sekundy podjąłem decyzję i rzuciłem się pod nadjeżdżający autobus. Potoczyłem się w wyniku uderzenia. Usłyszałem krzyki. Kilka osób złapało mnie pod ramiona i wsadziło do samochodu. Na tylnym siedzeniu zaczęli mnie bić: „Który? Gadaj, który z nich?!”. Włożyli mi do ust lufę pistoletu. Nie byłem w stanie otworzyć oczu, kręciło mi się w głowie. „Liczę do pięciu i pociągam za spust!”. Po pięciu sekundach zabrali spluwę i zaczęli okładać mnie pięściami. Chciałem krzyczeć, ale zasłonili mi usta. Łzy ciekły mi po twarzy.

Nieważne, jak bardzo się do tego przygotowujemy – kiedy pojawia się ból, myśli stają w miejscu. Z powodu bólu nie czułem upływu czasu, nie wierzyłem, że to minie. Rzeczywistość zniknęła, a wszechświat ograniczył się do rozmiarów ciała. Tak jakby istniał tylko ten moment i żaden inny nie miał nigdy nadejść. To coś podobnego do tego, jak Fryzjer Kamo utknął w przeszłości. Rozumiałem go. Zadawałem sobie bezsensowne pytania, zastanawiając się, dlaczego pośród miliardów lat czas zatrzymał się akurat w momencie mojego cierpienia. Przypominałem dziecko, które sparzyło się, dotknąwszy szklanki z gorącą wodą, i od tego momentu na wszystko patrzy podejrzliwie. Nie czułem niczego innego poza bólem, nie myślałem o niczym innym niż czas. Gdybym wiedział, że Doktor potrafi odpowiedzieć na to pytanie, zapytałbym go. Ale on uważał, że możemy wytrwać nie dzięki myśleniu o bólu, lecz właśnie dzięki zapomnieniu o nim. Kiedy nieskończoność zbierała się w moim ciele, nie mogłem przestać myśleć: dlaczego pośród miliardów lat czas zatrzymał się akurat w momencie mojego cierpienia?

Doktor uniósł głowę i zapytał:

- Wszystko w porządku?
- W porządku.
- Wstańmy, w przeciwnym wypadku Kamo zamarznie.

Zdjęliśmy marynarki i rozłożyliśmy je na ziemi. Fryzjer Kamo nie miał okrycia. Starszego człowieka położyliśmy na tym posłaniu. Doktor sprawdził mu puls na szyi. Zwilżył jego wyschnięte wargi palcami zamoczonymi w wodzie. Człowiek zakaszłał, oddychał szybko.

We trzech usiedliśmy obok siebie i oparliśmy się o ścianę. Popatrzyliśmy na twarz mężczyzny, na jego długie włosy. Stopami niemal dotykał drzwi. Sam jeden zajmował całą celę. Przypominał zmarłego w trumnie. My już wcześniej zostaliśmy pochowani w tym samym grobie. Miasta były budowane na ruinach innych miast, a zmarli chowani w ziemi, w której wcześniej pogrzebano ich przodków. Sambuł oddycha podziemnymi celami, a my nosiliśmy w sobie trupi odór. W naszych umysłach żyły pozostałości dawnych miast i ludzie z minionych epok. To było ciężkie brzemie, dlatego ból przeszywał nas aż do szpiku kości.

– Przeżyje? – zapytał Fryzjer Kamo. – Jeżeli nie przeżyje, to znów będziemy mieli więcej miejsca. Ledwie mieściliśmy się tu w trzy osoby, a teraz jest nas czworo. Jak będziemy spać?

Doktor nie odpowiedział. Położył rękę na sercu mężczyzny tak, jakby kładł ją na Piśmie Świętym. Odczekał chwilę z zamkniętymi oczami. Emanował spokojem, który obudziłby zmarłego i ukoił wszelki ból.

– Obudzi się, obudzi – wyszeptał.

Ciekawe, czy kiedy przyprawiono mnie nieprzytomnego, tak samo patrzył i ze spokojem czekał na moje przebudzenie. Czy z większą uwagą nasłuchiwał mojego oddechu aniżeli swojego?

Wstałem i podszedłem do szpary w drzwiach. Dziewczyna z celi naprzeciwko też stała przy otworze. Pozdrowiłem ją skinieniem głowy. Szukałem na jej twarzy czegokolwiek, co mógłbym wziąć za odpowiedź. Nie mogliśmy rozmawiać, nawet najcichszy szept dotarłby do strażników. Rękoma wykonałem ruch, próbując zapytać, czy dobrze się czuje. Zrozumiała i skinęła głową. Wyglądała na wyspaną, wypoczętą. Starła plamy krwi z dolnej wargi, ale jedno z jej oczu nadal było zamknięte z powodu opuchlizny. Wyciągnęła lewą rękę przez otwór w drzwiach i palcem wskazującym zaczęła kreślić litery w powietrzu. Nie zrozumiałem, o kogo pytała. Gdy się zorientowała, napisała to jeszcze raz: „Nowy to Dayı Küheylan<sup>4</sup>?”. Znała jego imię, wiedziała, kim jest. W ten sam sposób napisałem w pustce: „Będzie żył”, i przedstawiłem się: „Nazywam się Demirtay”.

<sup>4</sup> Dayı (tur.) – dosł. „wujek”, forma grzecznościowa używana w stosunku do obcych osób, dużo starszych, jako wyraz szacunku.

Kiedy dziewczyna kreśliła w powietrzu swoje imię, obróciłem się, bo usłyszałem jęk mężczyzny. Otworzył oczy. Próbował zrozumieć, co się dzieje. Spojrzałem na Doktora i Fryzjera Kamo, którzy byli przy nim. Przyglądał się ścianom i sufitowi. Rękoma badał beton, na którym leżał.

– Sambuł? Czy to Sambuł? – zapytał z trudem.

Zamknął oczy i zamiast stracić przytomność, zasnął z wyrazem twarzy podobnym do szczęścia.

## Dzień drugi

### • *Opowiada Doktor*

## **BIAŁY PIES**

– Dayı Küheylan, czy ty pomyślałeś, że ta cela to Sztambuł? Jesteśmy pod ziemią, nad nami są ulice. Miasto rozpościera się od jednej strony horyzontu po drugą. Nawet niebo ma trudności, żeby pomieścić je pod sobą. Pod ziemią wschód i zachód słońca to jedno i to samo, ale jeżeli poczujesz wiatr, to napotkasz wody Bosforu i zobaczysz szafirowe fale. Dayı Küheylan, gdybyś miał szansę zobaczyć Sztambuł, o którym ojciec tyle ci opowiadał, patrzeć na niego nie z tej celi, lecz z pokładu statku, zrozumiałbyś, o czym mówię. To miasto to nie tylko trzy ściany i żelazne drzwi. Przypływający z daleka najpierw widzą po prawej stronie pogrążone we mgle Wyspy Książęce. Mógłbyś pomyśleć, że to stada ptaków, które przysiadły tam, żeby odpocząć. Wzdłuż brzegu po lewej stronie mury rozciągające się jak wąż spotykają się z latarnią morską. W miarę jak mgła się rozrzedza, kolory stają się coraz bardziej wyraźne. Tak jak w swojej wsi przyglądałeś się kilimom na ścianach, tak samo teraz podziwiałbyś kopuły i smukłe minarety. Gdy zapatrzysz się na obrazek na kilimie, zdarza ci się pomyśleć, że w innym świecie toczy się bez ciebie życie, o którym nie masz najmniejszego pojęcia. Właśnie w tej chwili statek zabiera cię do samego serca tego życia. Człowiek to powietrze wydychane podczas westchnienia. Powiesz sam sobie, że życia nie starczy, żeby poznać Sztambuł. Widząc mury na horyzoncie, wieże, miasto rozciągające się ze swoimi kopułami, pomyślisz, że to inne, nowe niebo. Czerwony szal jednej z kobiet na pokładzie odleci z podmuchem wiatru i dotrze na brzeg szybciej niż statek. Po opuszczeniu pokładu zmieszasz się z tłumem i jak ten szal będziesz krążyć po brukowanych ulicach. Kiedy dotrzesz do wieży Galata, pośród krzyków ulicznych sprzedawców wyciągniesz z kieszeni tytoń i skręcisz papierosa. Spojrzysz na powoli kroczącą starszą kobietę prowadzącą na sznurku barana. Młodzieniec zawoła w jej stronę: „Koca Ana<sup>5</sup>, zawiązałaś sznur psu na szyi, dokąd idziesz?”. Koca Ana obróci się i spojrzy na barana, a potem powie do młodzieńca: „Ślepy jesteś? Pomyliłeś barana z psem”. Pójdiesz śladem Koca Any. Inny młodzieniec, nadchodzący z naprzeciwka, zada to samo pytanie: „Koca Ana, wyszłaś z psem na spacer?”. A ona znowu obejrzy się na barana i karcąco odpowie: „To nie pies, tylko baran. Już o tej porze udało wam się upić?”. Za kilka kroków znowu ktoś krzyknie: „Dlaczego zawiązałaś sznur na szyi tego parszywego psa?”. Potem ulica opustoszeje i głosy umilkną. Kiedy garbata Koca Ana cię zauważy, zapyta: „Chłopie, czy ja już postradałam zmysły? Pomyliłam psa z baranem? Kiedy zrobiła mi się pustka w głowie, opustoszał też świat, zostałam tylko ja, ty i to dziwadło w moich rękach”. Podczas gdy ona będzie mówić, ty spojrzysz uważnie na zwierzę na drugim końcu sznurka. To, co widzisz, to baran czy pies? Przestraszysz się, że dzień w Sztambule zaczynający się niepewnością jest zapowiedzią niepewnego życia. Koca Ana z postronkiem w ręce oddali się powoli. A ty będziesz patrzył nie na nią, lecz na wszystko wokół, co zostało stworzone przez człowieka. Postawił wieże, rzeźby, wybudował place, a nawet niekończące się ściany. Morze i ziemia istniały, zanim się pojawił, miasto natomiast jest jego wytworem. Zrozumiesz, że należy do człowieka i potrzebuje go tak bardzo jak kwiaty wody. Piękno natury tak jak piękno miasta polega na samym ich istnieniu. Nachylone kamienie zamieniają się w bramę świątyni, a potłuczony marmur w pełną dostojeństwa rzeźbę. Wtedy zrozumiesz, że nie powinno cię to dziwić, że w mieście barany mogą być psami. Będziesz spacerował, aż słońce zajdzie za dachami. Napijesz się orzeźwiającej wody z ulicznej fontanny.

Kiedy usłyszysz szczekanie, podniesiesz głowę i rozejrzysz się wokół, by się dowiedzieć, skąd dochodzi. Zobaczysz czerwony szal, który wraz z powiewem wiatru znad Galaty poleci w kierunku morza. Jakże dziwną wyprawą jest życie. Szal, który przybył z morza, do niego powróci. Zapytasz, dokąd człowiek zmierza w mieście. Znak, którego będziesz poszukiwał, może znajdować się na ulicy, z której dochodzi szczekanie psa. Wolnym krokiem udasz się w tym kierunku. Następnie zapach, który poczujesz, zaprowadzi cię na wałacy się dziedzińcu, do unoszącego się tam dymu. Zbliżysz się i spojrzysz zza muru. Trzech młodzieńców siedzących na ziemi piecze mięso na ogniu i pije wino. Jeden z nich cicho nuci. Kiedy zobaczysz skórę barana z kawałkiem sznura obok, zrozumiesz, że to zwierzę Koca Any. A ci mężczyźni to ci sami, którzy przez cały dzień naśmiewali się ze staruszki i włóczyli za nią. Koca Ana w końcu dała się im zwieść i uwierzywszy, że stworzenie na sznurze jest psem, wypuściła je na wolność. Trzech koleżków złapało barana i zrobiło sobie z niego ucztę.

5 Koca Ana (tur.) – dosł. „wielka matka”, przydomek nadawany starszej kobiecie z sąsiedztwa.

Dayı Küheylan, który nie odrywał ode mnie wzroku, kiedy snułem historię, zaśmiał się. Tak samo jak Student Demirtay, powtórzyłem ostatnie zdanie opowieści:

– Trzech koleżków złapało barana i zrobiło sobie z niego ucztę.

Dayı Küheylan śmiał się coraz bardziej.

– Ładnie opowiadasz, Doktorze – powiedział – ale wewnętrzny głos podpowiada mi, że ta cela jest Stambułem. Mój ojciec tak często opowiadał o nim, że czasem rzeczywistość mieszała mi się ze snem. Kiedy byłem dzieckiem, zastanawiałem się, czy historie o podziemnym mieście rozciągającym się między jednym a drugim końcem murów lub o zaginionej społeczności, która mieszkała na cmentarzu i wychodziła na zewnątrz tylko nocami, naprawdę się zdarzyły, czy też były jedną z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Tak jak mówisz, Doktorze, życie jest przedziwną wyprawą. Dwa tygodnie temu na posterunku w dalekiej wsi zawiązano mi oczy, potem przeszedłem przez ciemny korytarz i w końcu otworzyłem je w Stambule mojego ojca.

Kiedy Dayı Küheylan mówił, dużo gestykulował, wyciągał przed siebie dwa palce, jakby trzymał w nich papirusa.

– Wieczorami ojciec robił pokazy cieni przy świetle lampy gazowej i swoimi zręcznymi palcami budował całe miasta. Tak właśnie opowiadał nam o Stambule. Cienie statków były długie, pociągów jeszcze dłuższe, a potem na ścianie ukazywał się cień młodzieńca czekającego przy drzewie. Na pytanie: „Na co on czeka?”, chórem odpowiadaliśmy: „Na ukochaną”. Ojciec na złość pokazywał nam wszystko na opak: zamykał młodzieńca w lochach, wrzucał do szamba i dopiero kiedy nie mieliśmy już żadnej nadziei, chłopak odnajdywał swoją ukochaną. Ojciec opowiadał: „Stambuł jest wielki, za każdą ścianą toczy się inne życie, a za każdym życiem znajduje się inna ściana. Stambuł jest głęboki i wąski, jak studnia. Niektórzy upajają się jego głębokością, inni się w nim duszą”. Potem obracał się w naszą stronę i mówił: „A teraz opowiem wam historię, której byłem świadkiem w Stambule”. Kiedy nocami robił dla nas teatrzyk, zabierał nas z naszego małego domu do tego pozbawionego granic miasta, które rodziło się z cienia. Dorastałem, słuchając historii ojca, Doktorze. Dobrze znam te drzwi, ściany i ten ciemny sufit; właśnie o tym miejscu opowiadał.

– Dayı Küheylan, to dopiero pierwszy dzień. Nie bądź taki pewien, niech minie trochę czasu.

– Doktorze, kiedy opowiadałeś historię, poczułem się, jakbym tu był od dawna. Mamy teraz dzień czy noc?

– Nie wiem. Dowiemy się, że nastał ranek, kiedy przyniosą jedzenie.

Z reguły przesłuchujący wyruszali na łowy nocami. Kiedy poszukiwali nowych ofiar, mogliśmy zmrużyć oczy i przez chwilę odetchnąć. Nie istniały żadne reguły, każdego inaczej traktowali. W ciągu pierwszych pięciu dni ani razu nie wypuścili mnie do celi i bez przerwy, dniem i nocą, torturowali.

– Zobaczmy, co dzisiaj mamy w menu – powiedziałem.

– Jedzenie zmienia się każdego dnia?

– Tak, chleb i ser są inne. Chleb czasami jest czerstwy, a czasem bardzo czerstwy. Ser czasami jest spleśniały, a kiedy indziej zaśmierdły. Kucharz codziennie przygotowuje nam inne menu.

Dayı Küheylan się uśmiechnął. Od dwóch godzin siedział oparty o ścianę z podkurczonymi nogami. Rany na jego twarzy spuchły, był cały posiniaczony. Tylko oczy mu błyszczały. Nachylił się i poprawił marynarkę na ramionach.

– Nikt nie przyszedł? – zapytał Demirtaya stojącego przy szparze w drzwiach.

Student obrócił się, przykucnął i w beznadziei pokręcił głową:

– Gdyby ktoś przyszedł, usłyszelibyśmy dźwięk żelaznych drzwi.

– Dziewczyna nie powiedziała, kiedy ją przyprowadzili?

– Nie puściła pary z ust.

Kiedy Dayı Küheylan był nieprzytomny, zabrali kobietę z celi naprzeciwko. Martwił się o nią i zadawał pytania Demirtayowi.

Dayı Küheylan przez dwa tygodnie był torturowany w garnizonie wojskowym i po długiej podróży trafił tutaj. Oprócz czterech strażników podróżowała z nim dziewczyna w kajdankach. Z rozmów szeptem między mundurowymi zrozumiał, że podróż rozpoczęli dużo wcześniej, a ona została przywieziona z daleka. Przez całą drogę nie powiedziała ani słowa, jej pokrzwawione usta nawet nie drgnęły. Nie jadła chleba, który podawali im podczas przerw, tylko piła wodę. Dayı Küheylan opowiedział jej o sobie i o swojej wsi i rzekł: „Ufam twojej ciszy”. Dziewczyna odpowiedziała spojrzeniem, potwierdziła skinieniem głowy. Dwoje ludzi, którzy spotkali się po raz pierwszy, zmierzało z jednej ciemności do drugiej. I ponieważ na skraju cierpienia czas mijał inaczej, zaufali sobie.

– Nie powiedziała ci, jak się nazywa? – zapytał Dayı Küheylan.

– Powiedziała, a raczej napisała – odparł Demirtay.

– Co napisała?

– Zinê Sevda.

– Zinê Sevda... – powtórzył Dayı Küheylan. Nagle jego twarz się rozjaśniła. – Może jest niema? Albo umie mówić, ale milczy, dlatego że jest uwięziona. Napisała w powietrzu to, co chciała ci powiedzieć? Ciekawe, dlaczego nie odpowiadała mi w ten sposób podczas podróży. Może dlatego, że byli z nami strażnicy.

Dayı Küheylan przybliżył palce do ust, tak jakby trzymał papierosa, i wziął głęboki wdech. A potem oparł się o ścianę, wypuszczając powietrze, jak gdyby wydychał dym. Przez dłuższą chwilę patrzył w pustkę. Przyglądał się ciemności na suficie. Po raz kolejny zbliżył palce do ust i się zaciągnął. Jego ruchy przypominały te, które ludzie wykonują, kiedy są sami. Używał rąk i ust, żeby udawać palenie. Kiedy zaciągał się raz jeszcze wymyślonym papierosem, zwrócił się w moim kierunku i spojrzeliśmy na siebie.

Pozostając całkiem poważnym, wykonał ruch, jakby wyciągał tabakierkę z kieszeni. Podał ją mi i Demirtayowi. Najpierw się zdziwiłem, ale odwzajemniłem jego gest. Udałem, że z jego pustej ręki biorę bibułkę, i położyłem na niej tytoń. Zapaliłbym papierosa, ale nie umiem ich skręcać. Przyglądałem się, jak Dayı Küheylan zwija tytoń, i naśladowałem jego ruchy. Znowu



włożył rękę do kieszeni i udał, że wyciągnął z niej zapałki. Zapalił nasze nieistniejące papierosy. Fryzjer Kamo nie miał pojęcia o tym, co robiliśmy. Minęły godziny, a on nadal spał oparty o ścianę, ze zgiętymi w kolanach nogami i pochyloną głową.

– Najtrudniej jest znaleźć miejsce na zgaszenie papierosa – powiedział Dayı Küheylan. – Najczęściej szukam dziury w ścianie i tam wkładam pety. Jeśli nie ma dziury, jestem zmuszony wyrzucić niedopałek na ziemię. Pewnego razu otworzyłem oczy w celi ciemnej jak grób. Nie widziałem nawet, gdzie są drzwi. Macając rękoma wokół, w końcu je znalazłem. Oparłszy plecy o ścianę, skręciłem papierosa. Kiedy zapaliłem zapałkę, wewnątrz się rozświetliło. Na ścianach zobaczyłem ludzkie zęby, szczęki, odcięte palce. W zaprawę wykorzystywaną do budowy celi wmieszali ciała zabitych. Dotknąłem ścian, z ciekawością sprawdziłem każdy kąt. Zapomniałem, że nie zgasilem zapałki. Kiedy poczułem ciepło na palcu, z pośpiechem wyrzuciłem żarzącą się końcówkę. Poparzony palec bolał mnie przez dwa dni.

Zrozumiałem, że Dayı Küheylan nie udawał, ale naprawdę żył tym, co było w jego głowie. Wierzył w to, że między palcami trzymał papierosa. Kiedy go związał, strząsał z siebie pozostałości tytoniu; natomiast gdy płomień zapałki zbliżał się do jej końca, zdmuchiwał go. Ja również lubiłem bawić się rzeczywistością, ale gdy z Demirtayem wyobrażaliśmy sobie wspólne przechadzki po Stambule, wiedziałem, że tak naprawdę nadal jesteśmy w tej celi i to ona stanowiła granicę. Sznurki, na których wisiały moje wyobrażenia, zawsze pozostawały pod kontrolą mojego umysłu. Nigdy też nie myślałem, żeby grać w tę grę samemu. Dla Küheylana ten podział nie istniał, wszystko było rzeczywistością. Grał także wtedy, gdy był sam, tchnął inne życie w ściany i ciemność. Mówił poważnie, gdy nazywał tę celę Stambułem. W jego mniemaniu nie było niczego poza rzeczywistością. Nie musiał wychodzić na zewnątrz, zapraszał cały świat do środka, przekraczał granice czasu i przestrzeni. Ta cela była Stambułem i każdy jej kąt był spowity dymem papierosowym.

Poczułem, że dym gęstniał. Aby go rozwiać, pomachałem ręką w powietrzu. Chciałem uwierzyć w to, co robię. Przypominało to chęć pozostania w przyjemnym śnie. Jakby człowiek próbował zbliżyć się do swojego dzieciństwa.

Kiedy rozglądałem się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłbym zgasić papierosa, Demirtay wyciągnął rękę i powiedział:

– Tu jest popielniczka.

Przez chwilę trzymał w powietrzu pustą dłoń, a potem na ziemi, między naszymi nogami położył niewidzialne naczynie. Pierwszy zgasilem papierosa, po mnie Demirtay.

– Od kilku dni szukałem dziur, do których mógłbym wrzucać pety. Dzięki temu, że teraz wyciągnąłeś popielniczkę, uratowałeś mnie od tej bolączki – powiedział Dayı Küheylan ze zdziwieniem na twarzy do Demirtaya. Pogrążył się we własnych myślach, pogładził po brodzie i zwrócił się w moją stronę: – Doktorze, skąd w mieście wiadomo, że pies naprawdę jest psem? Tutaj pagórki równają z ziemią i na ich miejscu budują potężne budynki. Uliczna latarnia zajęła miejsce księżycy i gwiazd. W świecie, w którym człowiek ingeruje w każdy aspekt natury, w jakim stopniu pies nadal jest psem?

– Tutaj wszystko jest związane z człowiekiem – odpowiedziałem. – Jeżeli zrozumiesz człowieka, zrozumiesz wszystko wokół, także psa. – Nie byłem pewien, czy to, co mówię, jest prawdą. Sam sobie zadawałem tego typu pytania i zastanawiałem się, jaka byłaby najlepsza odpowiedź.

– Doktorze, ale ile wiemy o człowieku? Ile dowiedziałeś się o swoich pacjentach, kiedy przekroiłeś na pół ich serca, ich wątroby? Kiedy mój ojciec robił na ścianie teatrzyk cieni

i opowiadał nam o Stambule, mówił, że stambulczycy to właśnie takie cienie. Że zostawili część siebie w przeszłości, a drugą część przywieźli do miasta. Nie uważał, że to złe, raczej interesujące. Cień też miał swój urok, nie można było mu się nie poddać. Mój ojciec, który nocami opowiadał w naszym ubogim domu o egzotycznych owocach, chciał, żebyśmy marzyli. Pewnego razu mówił o pomarańczy, pokazał nam jej kolor na tkaninie, potem udał, że obiera skórę i opisał cząstki owocu. Urządzaliśmy udawane uczyty. Ludzie w miastach snują marzenia, my natomiast staliśmy się częścią marzeń. Kiedy nie było papierosów, paliliśmy i czuliśmy smak tytoniu. Czy było tak dlatego, że byliśmy biedni, czy dlatego, że byliśmy świadomi innego aspektu posiadania? Ojciec nigdy o tym nie wspominał.

O tym, że niezamożni ludzie mają potrzebę marzenia, dowiedziałem się, gdy obserwowałem swoich pacjentów. Czekali pozbawieni nadziei na korytarzach szpitali śmierdzących lekami. Niektórzy cierpieli na ciężkie choroby i umierali w młodości. Kiedy brali ostatni wdech, ich spojrzenie na świat było połowiczne. Nie zawierało skargi, ale ciekawość. Tę ich chęć życia widziałem także u Dayı Küheylana.

– Doktorze, człowiek to jedyne stworzenie, które nie jest zadowolone z samego faktu istnienia. Ptak jest tylko ptakiem, rozmnaża się i lata. Drzewo zieleni się i daje owoce. Człowiek jest inny, nauczył się marzyć. Nie zaspokaja go to, co ma. Wykonanie kolczyków z miedzi, zbudowanie zamku z kamienia – wszystko to pochodzi z ciekawości tego, co niewidzialne. Mój ojciec mawiał, że miasto to kraina marzeń, z niekończącymi się możliwościami, gdzie człowiek nie jest częścią natury, a jej rzemieślnikiem. Buduje, tworzy, projektuje. W ten sposób zmienia również siebie. Konstruuje nowe narzędzie, także sobie nadaje nowy kształt. Człowiek w mieście przemienił bryłę marmuru w rzeźbę, dlatego też z drwiną wspomina jego pierwotną formę. W mieście szyderstwo stanowi dla niego źródło wiary, gardzi tym, co inne od niego samego. Jest zajęty zmienianiem wszystkiego – ziemi w beton, wody w krew, księżycy w pełni w bar. Gdy dokonuje tych wszystkich przemian, czas przyśpiesza i już nie można zahamować jego żądy. Wczoraj zostało zużyte, a dzisiaj jest niepewne. Ani pies, ani miłość, nawet śmierć, nic nie jest oczywiste. Człowiek patrzy na wszystko z tą samą nieufnością i zapałem. Mój ojciec upodobał się do wszystkich innych w mieście i za każdym razem wracał na wieś odmieniony. Nie od razu się do nas przytulał, zawsze powrót do poprzedniego stanu zajmował mu kilka dni. Porównał to do choroby dekompresyjnej, na którą zapadali nurkowie, gdy schodzili na zbyt dużą głębokość. To była miejska choroba dekompresyjna. Tylko w te dni pijał wino. Najlepszymi kompanami do kieliszka i nieuleczalnymi marzycielami byli marynarze. Pewnego razu mój ojciec dzielił celę z jednym emerytowanym wilkiem morskim i był świadkiem jego koszmaru sennego. Śniło mu się, że jego statek zatonął. Obudził się zlany zimnym potem. Opowiadał, że biały wieloryb pływa w ciemnych głębinach i potrafi zawlec statki w sam środek burzy. Każdy marynarz marzy, żeby go zobaczyć, płynąć za nim i trafić go harpunem. Na dalekich morzach był podobno kapitan, któremu jako jedynemu się to udało. Ów kapitan przed laty stracił nogę w szczękach tego potwora, był więc związany z nim urazą pomieszaną z namiętnością. Kiedy znów się spotkali, złość białego wieloryba zderzyła się z gniewem kapitana. W końcu wielki ssak roztrzaskał na kawałki statek i wysłał go na dno wraz z załogą. Tylko jeden majtek ocalał i opowiedział potem, jak jego kompani utonęli w głębinach. Od tego czasu każdy marynarz marzy o tym, by spotkać białego wieloryba, który w morskich opowieściach jest wspominany częściej niż syreny. Mój ojciec zrobił palcami cień wieloryba na ścianie naszego pokoju i podczas gdy wprawiał go w ruch, opowiadał nam, że wielu stambulskich marynarzy zginęło, podążając tropem morskiego potwora. Przemierzywszy morze wzdłuż, z północy na południe, i wszerg,

ze wschodu na zachód, wracali z pustymi rękoma do spowitego mgłą portu, zdruzgotani i w fatalnych nastrojach. Wielu oszalało na punkcie białego wieloryba i budziło się, marząc o tym, że udało im się wbić ostrze w jego skórę. Wilk morski z celi mojego ojca był jednym z nich. Doktorze, to prawdziwa historia. Tak jak każda opowieść mojego ojca, ta też miała znamiona tajemnicy i niewielu ją słyszało.

Dayı Küheylan wziął głęboki wdech. Wyprostował się, jakby miał powiedzieć coś ważnego. Zwrócił wzrok w moją stronę i oznajmił:

– Znam historię Koca Any, którą przed chwilą opowiedziałeś. Po raz pierwszy usłyszałem ją od ojca. Ze śmiechem mówił nam o staruszce, która dała się nabrać młodzieńcom, uwierzyła, że baran jest psem, a oni zrobili sobie z tego barana ucztę.

– Twój ojciec jeszcze żyje? – zapytałem.

– Tak młodo wyglądam? Umarł dawno temu.

Dayı Küheylan uniósł rękę i zaczął dotykać palcami ściany tak, jakby chciał się upewnić, że ona naprawdę istnieje. Zapewne myślał, że przed laty jego ojciec przebywał w tej samej celi, dlatego teraz szukał znaków wokół. Nawet jeżeli nie było tu tych znaków pozostawionych przez jego ojca, były inne, naszych poprzedników. Ja też dotknąłem ściany i powoli przesunąłem po niej palcami.

– Dayı Küheylan, ty znasz historię Koca Any, a ja znam opowieść o białym wielorybie – powiedziałem. – Mam na pęczki historii jedyne go ocalałego członka załogi kapitana, który przez czterdzieści lat polował na białego wieloryba i którego statek w końcu się rozbił i zatonął w morskich głębinach.

– Poznałeś przygody marynarzy?

Demirtay, który zauważył zdziwienie na twarzy Dayı Küheylana, dołączył:

– Ja też o nich słyszałem.

Z korytarza dobiegł stłumiony dźwięk. Student uciszył nas ruchem dłoni, położył się na ziemi i przez szparę pod drzwiami wyjrzał na zewnątrz. Strażnicy z kanciapy na początku korytarza czasami się przechadzają i próbują namierzyć rozmawiających. Każdy stosuje inne zasady: niektórzy zapamiętują zasłyszane tajemnice, inni otwierają drzwi i karzą tych, którzy rozmawiają. Demirtay wyprostował się i powiedział:

– W porządku, poszedł sobie.

– Czyli wiedzieliście o wielorybie? – dopytywał Dayı Küheylan.

– Dayı Küheylan, w celi opowiadamy sobie znane historie. Na początku byliśmy tu z Demirtayem we dwóch i niektóre opowiedzieliśmy po dwa razy. Ale tobie możemy powtórzyć je i trzeci.

Student Demirtay, który siedział przy drzwiach, kazał nam się uciszyć. Usłyszeliśmy ciche odgłosy kroków. W szparze w drzwiach ukazał się cień strażnika. Poruszał się powoli. Po chwili się zatrzymał. Mężczyzna przysłuchiwał się rozmowom w celach. Spojrzeliśmy po sobie. Z Demirtayem przyzwyczailiśmy się już do tych kontroli, czasem siedzieliśmy w milczeniu przez dłuższą chwilę. Kiedy strażnik przechadzał się zbyt długo, zamiast czekać, próbowaliśmy zasnąć. Potem często słyszeliśmy otwierające się drzwi jednej z cel. Dochodziły do nas odgłosy bicia. Niektórzy błagali o litość, inni sprzeciwiali się karze. Kiedy strażnicy wracali do swojego pokoju, marzyliśmy z Demirtayem, że jesteśmy daleko stąd. Wsiadaliśmy na przepływający przez Bosfor statek z flagą Panamy i zmierzaliśmy w kierunku Morza Czarnego. W ciągu dnia na pokładzie wiał chłodny wiatr, szalone fale i krzyki mew przynosiły nam orzeźwienie, a nocą schodziliśmy do kajut. Oglądaliśmy telewizję z resztą załogi, której ręce ściemniały od oleju.



Nieważne, jaki film właśnie się zaczynał, opowiadaliśmy go sobie nawzajem. Jeżeli trwał dwie godziny, to rozmowa też tyle zajmowała. Kajuty były tak małe jak ta cela. Kiedy chciało nam się spać, kładliśmy się. Tam też było zimno.

Co zrobiłby Fryzjer Kamo, gdyby nagle się obudził i zobaczył nas nasłuchujących kroków strażnika, siedzących w ciszy i patrzących w dal jak starzy bywalcy *kahvehane*<sup>6</sup>? Czy zamiast myśleć, czy coś się zmieniło między jego zapadnięciem w sen a przebudzeniem, poczułby ciężar nie do udźwignięcia i zastanowił, dlaczego musi nas znosić? Nie powiedziałby ani słowa, nie czułby też potrzeby zadania pytania. Ze znużeniem znowu spuściłby głowę i zapadł w sen. Przed zaśnięciem nie zapomniałby też zdenerwować się z byle powodu na Demirtaya. On zawsze przebywał w studni, a my poza nią. Powtarzał, że dobrze zna siebie samego, a my obrośliśmy w pychę i teraz powinniśmy rozliczyć się z samymi sobą. Ale za bardzo zachłysnęliśmy się światłem. Stąd brało się nasze zdziwienie i głupota. Byliśmy beznadziejnym przypadkiem. Kamo nie miał innego wyjścia, jak tylko nas przekląć i zostawić samym sobie.

<sup>6</sup> Kahvehane (tur.) – kawiarnie w krajach Bliskiego Wschodu, gdzie tradycyjnie mężczyźni spotykają się przy kawie, herbacie i papierosach lub fajce wodnej.

Kiedy Fryzjer się pojawił, byłem w celi sam. Zachowywał się czujnie jak kot, którego zamknięto z psem w jednym pomieszczeniu. Zapytałem, czy jest ranny. Nie odpowiedział. Przedstawiłem się, ale on zadawał pytania, jakby niczego nie rozumiał: „Kim jesteś?”, „Od kiedy tu jesteś?”, „Dlaczego wsadzili mnie do tej samej celi co ciebie?”. Był brudny, śmierdział, umierał z głodu. Zawahał się, zanim przyjął ode mnie kawałek chleba. Biorąc go, patrzył mi w oczy. Spotkaliśmy się w miejscu, w którym nie chcieliśmy być. Ja byłem pierwszy, on był nowy. Mógł zarówno godzinami czekać bez słowa, jak i rzucić się na mnie i udusić gołymi rękami. Czy to miejsce było magazynem statku, którego trasy nie znał, czy też dnem przepaści, z której nie ma wyjścia? Były tu tylko trzy ściany, jedne drzwi i człowiek pokryty krwią. Myślał, że jeżeli zamknie oczy, obudzi się gdzie indziej, nagle zmieni się jego położenie. Rozglądał się z zaciekawieniem, jakby starał się zrozumieć na nowo swoje jestestwo. Kiedy z zewnątrz dotarł do nas krzyk, Kamo podniósł głowę. Czyjego głosu to było echo? Jego własnego? Jak daleko znajdowała się ściana, od której odbijał się ten dźwięk? Granica między uwierzeniem sobie a zatraceniem się jest bardzo cienka – czyżby Kamo obawiał się, że straci równowagę na tej krawędzi?

Wiedzieliśmy, że bólu się nie dzieli z nikim, ale odczuć to na własnej skórze – to było coś całkiem nowego. Kiedy wreszcie dochodziliśmy do siebie po niewyobrażalnych cierpieniach, myślałem, że minęły miesiące, nawet lata. Dziwiliśmy się: „To była tylko chwila? Krótki moment?”, i z przerażeniem uświadamialiśmy sobie, że moment może trwać wiecznie. Czas w bólu zamiast się wydłużać, pogłębiał się. Fryzjer Kamo doświadczył tego chyba już wcześniej. Kiedy trafił do celi, jego twarz była pokryta bliznami, a w umyśle panował chaos. Zbyt wiele razy rozbił się o ścianę życia, zbyt często spadał na ziemię. Jeżeli nieufność jest jedną z metod ochrony, zrozumiałem, dlaczego podchodził do mnie z rezerwą. Dałem mu chleb, wodę, próbowałem rozmawiać. Nie byłem kimś obcym; tak jak on znajdowałem się na krawędzi. Fryzjer Kamo dokładnie przyjrzał się śladom krwi na ścianach, zaciągnął się zapachem śmierci unoszącym się w powietrzu i powiedział: „Człowiek nie ma innej wyspy niż on sam”. Apatia? Rozpacz? W takich momentach zawsze potrafiłem znaleźć słowo, które działało kojąco jak maść na ranę. Odparłem: „Nadzieja jest lepsza od tego, co mamy”, i ręką wskazałem na smugę światła padającą z otworu w drzwiach. „Nadzieja jest lepsza od tego, co mamy”. Spojrzał na mnie

z konsternacją. Ja też tego dnia, kiedy wrzucono mnie do celi, przyglądałem się ścianom. Tutaj naszą granicą są ściany i człowiek.

Niepokój i dystans Fryzjera Kamo z pierwszego dnia nie zmieniły się. Morza, na które mógłby wypłynąć, przepaści, w które mógłby się rzucić, wyczerpały się jeszcze przed jego przybyciem. Za jego goryczą stała dawna, niezagojona rana.

– Czyli to właśnie jest podziemie Stambułu. Dokładnie takie, jak myślałem – powiedział, patrząc w sufit.

Co sobie właściwie wyobrażał? Mógł wynieść się ze Stambułu. Co trzymało go w tym mieście? Z miastem można się było zaznajomić w trzy dni, ale na poznanie go potrzebne były co najmniej trzy pokolenia. Przekroczenie grubych murów odgradzających zaznajomienie od poznania wymagało czasu, nie było kwestią chwili. Te same ściany wznosiły się zarówno w mieście, jak i w człowieku. Najgłębsze zakamarki ludzkiej duszy kryją ciemność, tak jak zaułki miasta spowijają mrok. Są wilgotne i zimne. Nikt nie chciałby zejść w swoje głębiny i zmierzyć się z samym sobą. Oprócz Fryzjera Kamo. On patrzył do środka. Spoglądając we własną duszę, poznawał podziemie Stambułu. „Dokładnie takie, jak myślałem”. Niektórzy nie potrzebowali innego nauczyciela niż cierpienie. Kamo nie wystarczyły ani trzy dni, ani trzy pokolenia, lecz trzy głębokie rany, aby poznać miasto.

Natomiast Dayı Küheylan przybył do miasta, o którym marzył. W odróżnieniu od przyrody we wsi, pośród której się wychował, tu widział nowy rodzaj natury i nowy rodzaj człowieka. Opowiadał przepalonym głosem poetów, zdesperowanych odkrywców i pozbawionych rozsądku kochanków. Przywiązywał większą wagę do prawdy, której nigdy nie poznał, niż do tego, co sam uważał za prawdę. Dlatego też podziemie było dla niego dobrym miejscem. Gdyby wyszedł na powierzchnię, mógłby się rozczarować. W mieście, które było synonimem piękna, smaku i przyjemności, może nieszczęście nie czyhało na każdym kroku, ale nie był to też zaczarowany świat z zasłyszanych opowieści. Miejsce miasta opanowanego przez zapał i energię pierwszych pokoleń zajęła żądza. Siłą napędową miłości do ludzi, do sztuki, do psów było pożądanie. Stambulczycy byli podobni do dzieci, które przez cały dzień biegając po lesie, wykończone pochłaniały wszystko, co im się podało, ale nigdy nie mogły się najeść. O tym nie mogłem powiedzieć Dayı Küheylanowi. W celi trzeba wiedzieć, kiedy się zamknąć. Nie byłem w stanie opowiedzieć, że to, co jest piękne w jednym miejscu, w innym może zupełnie nie mieć znaczenia i że wielu młodych ludzi na próżno poszukiwało miasta marzeń.

Gdy byłem mały, życie Stambułu toczyło się na ulicach. Z czasem ulice, potem place, które wypełniły się samochodami i strzelistymi budynkami, zostały nam odebrane. Zresztą może stało się to już wcześniej, tylko ja późno się zorientowałem. Dzieciństwo minęło i w miarę jak rosłem, z roku na rok rozszerzało się też miasto, z każdej strony wyrastały budynki. Nie wiem, czy ulice były brudne i ciemne. Czy to życie na ulicach, zanim pojawiły się bloki, było staroświeckie. Kiedyś, kiedy miasto rozrastało się we wszystkie strony, budynki stawały się coraz wyższe, ale nie odważyły się zasłaniać nieba. Ich wysokość zależała od tego, czy było je widać. Czułem to, gdy byłem dzieckiem. Gdziekolwiek spojrzalbym w górę, mogłem zobaczyć niebo. W tym czasie miasto rozciągało się, niemalże falowało, jak małe wzgórza połączone ze sobą przełęczami. Obok kopuł i wież były szerokie place. Żadnego z nich nie przysłaniały olbrzymie cienie.

Dwa tygodnie temu, kiedy poszedłem do Biblioteki Ragıpa Paszy, zauważyłem, że budynek, w którym się mieści, nie był już widoczną częścią pagórka przy Laleli<sup>2</sup>, gdzie upłynęło moje

dzieciństwo. Kiedyś Biblioteka Ragıpa Paszy jak diament w koronie królowała na tym wzniesieniu, teraz zaś zniknęła za tłumem, sztyldami i samochodami, zmniejszyła się. Podwyższono chodnik i obecnie jej główne wejście znajduje się dwa metry pod poziomem ulicy. Przechodzący nie odwracają się nawet w jej stronę, nie interesuje ich, co się znajduje za tymi drzwiami. Jak tylko wszedłem na dziedziniec, poczułem, że zgiełk ulicy ucichł. Miałem wrażenie, że wróciłem do miasta sprzed lat. Wiekowe rzeźbienia w marmurze, żłobione kamienie i ozdoby z brązu należały do epoki, która dawno odeszła w zapomnienie. Ptaki ociężałe machały skrzydłami, róże, których płatki zaczęły opadać, przygotowywały się do zimy. Kiedy rozglądałem się dookoła, pomyślałem, że człowiek zasługuje na to, żeby żyć beztrosko, a miejsca takie jak to mogą mu to zapewnić. W chłodnych murach czas płynie inaczej niż w mieście, tutaj nie płynie ani do przodu, ani do tyłu, tylko obraca się pod wpływem innego rodzaju grawitacji. Zadałem sobie pytania, które do tej pory nie przyszły mi na myśl. Jakże świat na tym dziedzińcu może być tak różny od tego zewnętrznego, który znajduje się dwa kroki stąd? Jak to możliwe, że jedne drzwi mogą przenieść człowieka z jednego czasu w drugi, jakby ogień przemieniał się w wodę? Tym bardziej że te dwa różne światy istnieją tak blisko siebie, jeden można było zobaczyć z okna drugiego i nadstawiając ucho, usłyszeć dobiegające z niego dźwięki.

7 Laleli – historyczna dzielnica Stambułu położona w dystrykcie Fatih.

Aby znaleźć osobę, z którą miałem się spotkać, przeszedłem na drugą stronę dziedzińca i po schodach wszedłem do czytelnicy. Moim oczom ukazała się mała kopuła na czterech kolumnach górująca nad pomieszczeniem. Zdążyłem już o niej zapomnieć. Ściany były udekorowane niebiesko-białymi kafelkami. Spojrzałem na książki i rękopisy ułożone na drewnianych półkach. W dzieciństwie, kiedy odrabiałem tu lekcje, często podnosiłem głowę znad zeszytów i rozglądałem się dookoła. Nie pamiętam, ile czasu tak spędzałem. Czułem chłód na czole. Przypomniawszy sobie, po co tutaj przyszedłem, spojrzałem na stoły ustawione po bokach czytelnicy. Wszystkie oprócz jednego były zajęte przez dziewczęta i chłopców przygotowujących się do zajęć. Nie wiedziałem, kim była dziewczyna, z którą przyszedłem się spotkać, ale miałem poznać ją po książce do anatomii. Kilka osób spojrzało na mnie, lecz po chwili wróciło do swoich zajęć. Przechadzając się powoli, patrzyłem na stoły, ale nie znalazłem dziewczyny, której szukałem. Drewniany brązowy zegar na ścianie śpieszył się o dziesięć minut w stosunku do mojego zegarka. Źle chodził, czy może spóźniłem się na spotkanie? Chwilowy niepokój minął, kiedy myślami wróciłem do przeszłości. Zegar ścienny był taki sam jak dawniej, gdy byłem młody. Zawsze się śpieszył o dziesięć minut. Wróciłem na dziedziniec.

Przyglądając się dziedzińcowi, który oddzielał bibliotekę od głównej alei, pomyślałem o prądach w Bosforze. Stambuł przypominał wody cieśniny, które przy powierzchni płynęły z północy na południe, a przy dnie – w przeciwnym kierunku. Dwa byty, które płynęły razem, ale i osobno, jakby obok siebie i w innych epokach, pokazywały, że miejsce może panować nad czasem i wciągnąć go jak wir. Architekci zaczęli bawić się czasem na długo przed fizykami. Projektowali budowle w kształcie tunelu, przeprowadzali przez nie czas i w ten sposób potrafili przenosić ludzi z jednej epoki do drugiej. Czas w małej bibliotece położonej nieopodal gwarnej części miasta również płynął w innym kierunku, tak jak niewidzialny wir przy dnie Bosforu. Biblioteka wiodła beztroskie życie bez pośpiechu, podążając z prądem na dnie miasta.

Włosy i stroje dziewcząt wokół były takie same. Niegdyś porównywałem do siebie młodych ludzi, ale dzisiaj wszyscy wydawali mi się bardzo podobni. Czy to przez mój wiek? Być może,

tym bardziej że wskazuje na niego siwizna na moich włosach. Zatrzymałem się na werandzie i spojrzałem na dziedziniec. Nie dostrzegłem nikogo, kto miałby w ręce książkę do anatomii. Może dziewczyna tam była, tylko ja jej nie zauważyłem? Być może ona mnie rozpozna. Z kieszeni marynarki wyciągnąłem *Wilka morskiego* Jacka Londona, który miał być moim znakiem, i trzymałem go okładką do przodu, aby było widać tytuł. Kilka osób na mnie spojrzało. Ciekawe, czy zastanawiali się, co robi tutaj mężczyzna w wieku ich ojców. Wróciłem do czytelnicy. Zrobiłem parę kroków, trzymając książkę w ręce i patrząc dziewczętom w oczy. One też na mnie spoglądały. Nagle wszyscy zerwali się na równe nogi, wyciągnęli broń i jednym głosem krzyknęli: „Nie ruszaj się, inaczej jesteś trupem!”. Z dziedzińca przybiegło kilka osób i przystawiło mi spluwy do głowy. „To ty jesteś Doktor? Ty jesteś Doktorem?”. Ponieważ nie odezwałem się ani słowem, ktoś od tyłu uderzył mnie w głowę. Upadłem na ziemię. *Wilk morski* wyleciał mi z rąk. Zadzwońło mi w uszach. Zakręciło mi się w głowie.

Poczułem, że czas stanął w miejscu jak zegar, który nagle się rozbił, ale kiedy opuściłem dziedziniec i usłyszałem zgiełk Stambułu, doszedłem do siebie. Policja, która zastawiła na mnie pułapkę, otoczyła mnie z każdej strony. Tłum na chodniku z zaciekawieniem przyglądał się zdarzeniu. Kim byłem – zabójcą, złodziejem, gwałcicielem? Gapie przepychali się, żeby zobaczyć, jak wyglądam. Gdy policjanci w cywilu w pośpiechu pakowali mnie do auta, spojrzałem na twarze ludzi. Czy znajdowaliśmy się w tym samym czasie? Dayı Küheylan miał rację, kiedy mówił, że człowiek konstruował siebie samego podczas budowania miasta, tak jakby rzeźbił się w marmurze. Ale gdyby Dayı zobaczył twarze ludzi, którzy patrzyli na mnie na ulicy, przemyślałby to i zapytał: „Do jakiego stanu doprowadził tych ludzi czas w mieście?”.

Usłyszeliśmy odgłos otwierania żelaznych drzwi. Porzuciłem marzenia i wróciłem myślami do celu.

– Przyprawdzili z powrotem Zinê Sevdê? – zapytał Dayı Küheylan.

Kiedy drzwi zazgrzytały, zastanawialiśmy się, którą celę wybiorą strażnicy i kogo zabiorą tym razem. Cel było wiele. Podczas wojny każdy żołnierz był pewien, że nie zginie. My tutaj byliśmy jak żołnierze na wojnie. Każdy zastanawiał się nad tym samym: „Za chwilę kogoś wyprowadzą, tylko kogo?”. Jedyнным sposobem, aby poradzić sobie z tym pytaniem, było myślenie o pozytywnych rzeczach. Być może nastał ranek i roznoszą chleb z serem.

Fryzjer Kamo podniósł głowę i spojrzał przez otwór w drzwiach.

– Niechże już przyjdą.

– Nie, przynieśli jedzenie. Tak bardzo zgłodniałeś? – zapytałem.

Milczał. Nie zauważył uśmiechu na mojej twarzy. Zapatrzył się w smugę światła przechodzącą przez otwór w drzwiach.

– Udało ci się zasnąć? Nie za głośno gadaliśmy ci nad głową? – zagailem.

– Wasze rozmowy mi nie przeszkadzały, ale bez przerwy budziło mnie szczekanie.

– Szczekanie?

– Nie słyszeliście?

– Nie. Skąd miałby się tu wziąć pies?

– Pograżyliście się w rozmowie i nie słyszeliście. Dochodziło z daleka, zza ściany.

– To pewnie był sen – odparłem.

– Doktorze, potrafię odróżnić sen od jawy. Za każdym razem, kiedy słyszałem szczekanie, rozchylałem nieco powieki, żeby upewnić się, że tu jestem. Szczekanie było tak prawdziwe jak ta cela.

Dayı Küheylan położył dłoń na ramieniu Kamo i powiedział:

– Masz rację. Pewnie dobiegało z daleka i nie zwróciliśmy na nie uwagi.

Kamo najpierw spojrział na jego dłoń, a potem na twarz.

– Przypominało szczekanie białego psa. Przenikliwe szczekanie białego psa.

Dayı Küheylan zabrał rękę.

Kiedy usłyszeliśmy rozmowy na zewnątrz, obróciliśmy głowy w stronę drzwi.

– Bierzemy tych – powiedział jeden ze strażników.

Nie wymienił nazwisk, musiały być pewnie napisane na kartce.

– Są w tej samej celi – odpowiedział drugi.

– W której?

– W czterdziestce.

Spojrzeliliśmy po sobie. Żeby ogrzać się po raz ostatni, włożyliśmy dłonie pod pachy. Czekaliśmy w ciszy.

Każdy krok wydawał się kamieniem spadającym na beton. Nie wiadomo, ilu ich było, ale sądziliśmy, że więcej niż zwykle. Korytarz jakby się wydłużył, a rozmowy strażników jak echo odbijały się od ścian i rozbrzmiewały w naszych uszach. Mieliśmy nadzieję, że już sobie poszli, zatrzymali się jednak przy naszej celi. Przesunęli żelazną zasuwę i otworzyli szare drzwi. W środku zrobiło się jasno.

Fryzjer Kamo pierwszy poderwał się na nogi. Strażnik pchnął go do tyłu i powiedział:

– Ty zostajesz. Reszta wychodzi.

## Dzień trzeci

### • *Opowiada Fryzjer Kamo*

#### MUR

– O zachodzie słońca wędrowiec w czarnym swetrze i z długim kijem w ręce przybył do wsi, która z daleka, ukryta za górami i w chmurach, z domami z kamienia i ogrodami bez drzew, przypominała urwisko. Najpierw przywitał się z murami, potem z psami, a na końcu ze starcami siedzącymi pod ścianą. Tym, którzy zapytali go o imię, odpowiedział, że jest prorokiem. A tym, którzy zaprosili go do domu, grzecznie podziękował. Bezskutecznie próbowali nakłonić wędrowca, który zostawiał za sobą ślady krwi z poranionych nagich stóp, aby się posilił. Wystarczyła mu woda. Na zaproszenia odpowiadał miłym głosem: „Będę gościem i zjem tylko u tego, kto uwierzy, że jestem prorokiem”. Podczas gdy dzieci patrzyły na niego z zaciekawieniem, starcy się śmiali. Spędził noc na dworze. Rano mówił o swoim prorocztwie i z zapalem odpowiedział tym, którzy oczekiwali od niego cudu: „Słowo będące odbiciem serca jest największym cudem. Nie szukajcie innych cudów, uwierzcie słowu!”. Nikt mu nie uwierzył i również następną noc spędził tak samo. Napił się wody i oparty o mur zasnął z psami. Kolejnego dnia, kiedy mówił, oprócz starców śmiały się z niego także dzieci. Wędrowiec zachował spokój. Powiedział: „Jeżeli ta ściana przemówi, ci, którzy mi teraz nie wierzą, uwierzą jej?”. Wszyscy odpowiedzieli jednym głosem, że uwierzą. Wędrowiec nosił czarny sweter, pocerowane spodnie i miał gołe stopy. Nie posiadał nic poza kijem i tobołkiem na ramionach. Obrócił się i krzyknął w stronę ściany: „Ściano! Powiedz starcom i dzieciom, że jestem prorokiem!”. Mieszkańcy wsi czekali w ciszy. Ściana odpowiedziała: „Kłamstwo! On nie jest prorokiem!”.

Jak długo jestem sam w celi? Zabrali Doktora, Studenta i Dayı Küheylana, a mnie zostawili. Z tej samotności zacząłem rozmawiać ze ścianą. Patrzyłem na nią, opowiadałem historie i śmiałem się sam do siebie. Czas mijał dużo szybciej, kiedy nie było nikogo. Nie musiałem słuchać o problemach innych i znosić ich głupoty. Znam się na duszach ludzkich. Chcą prawdy, ale jej nie rozumieją. W co mieli wierzyć po tych wszystkich obrządkach religijnych i ogarnięci żądzą posiadania; w co mieli wierzyć: w cud, że ściana przemówiła, czy w słowa, które wypowiedziała: „Kłamstwo! Ten mężczyzna nie jest prorokiem!”? Czy człowiek sam w sobie nie jest kłamstwem?

Gdyby Doktor i Student tu byli, powiedzieliby: „Tę historię też znamy. Tu opowiadamy sobie tylko znane i popularne historie”. A czy można inaczej? Czy na świecie są jeszcze nieopowiedziane historie i niewypowiedziane słowa?

Pewnego wiosennego dnia, kiedy z powodu ulewnego deszczu godzinami nikt nie odważył się wyjść z mojego salonu, czekającym klientom powiedziałem to samo, a potem opowiedziałem im o wędrowcu. Zdziwienie mieszkańców górskiej wsi najbardziej rozbawiło architekta Adazę. Śmiał się tak bardzo, że oblał sobie krawat herbatą. Adaza, który patrząc w lustro, śmiał się z siebie samego, nie wiedział, że tej nocy nie będzie mógł zmrużyć oka. Wyszedł rozbawiony, ale kolejnego ranka wrócił do salonu z przekrwionymi oczami.

„Kamo, powiedz mi prawdę. Do białego rana próbowałem odpowiedzieć sobie na to pytanie. Czy ten wędrowiec naprawdę był prorokiem?”.

Uspokoilem go i kazałem mu usiąść na krześle naprzeciwko lustra w niebieskiej ramie. W kawiarni obok zamówiłem dwie herbaty.



„Adaza, jeżeli ci powiem, to mi uwierzysz?”.

„Tak, wierzę”.

Przynieśli herbatę. Upiłem łyk, a on czekał.

„Adaza, a jeżeli powiem ci, że ja jestem prorokiem, to też uwierzysz?”.

Nie odpowiedział. Podałem mu papierosa. Najpierw podpałem jemu, potem sobie.

„Nie uwierzysz w to, że jestem prorokiem. A gdyby ta ściana zaczęła mówić, uwierzyłbyś jej?”, ciągnąłem.

Adaza spojrział na ścianę. Przyglądał się wieży Leandra, statkowi i mewom na obrazie. Potem popatrzył na flagę i plakat nad lustrem. Jego oczy zatrzymały się, nie tak jak spojrzenia wszystkich klientów – na nogach dziewczyny, ale na jej niewinnym uśmiechu. Zapatrzył się w plakat, jakby kiedyś stracił z tą dziewczyną kontakt, bo spóźnił się na spotkanie, ale jednak nosił w sercu niezapomniane o niej wspomnienie. Czy gdyby nie spóźnił się na to spotkanie, teraz żyłoby długo i szczęśliwie daleko stąd? Architekt Adaza oderwał wzrok od plakatu i przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze w niebieskiej ramie. Patrząc na siebie, powiedział: „Nieprawda!”. Począł chwilę. Zaciągnął się głęboko papierosem i wypuścił dym w stronę lustra. Kiedy jego twarz spowił dym, powtórzył: „Nieprawda!”.

Z oczu popłynęły mu łzy. Wyszedł bez słowa.

Od tamtej pory nigdy więcej nie przyszedł do mojego salonu. Pomyślałem, że znalazł sobie nowego fryzjera. Jego żona była dobrą koleżanką mojej żony. Pewnego dnia przyszła do nas i powiedziała, że Adaza wyszedł z domu i nie wrócił. Kiedy odszedł, jego dwie córki się rozchorowały. Poprosiła mnie, żebym pomógł jej go znaleźć i przyprowadził Adazę z powrotem. Mahizer również zaczęła naciskać, więc poszedłem go szukać. Sprawdziłem biura architektoniczne, przeszedłem się po barach Beyoğlu<sup>8</sup>, przeczytałem wiadomości na trzeciej stronie gazet i w końcu dowiedziałem się, że Adaza trafił między bezdomnych żyjących pod murami miasta. Sprawdziwszy podziemne korytarze i przejścia rozciągające się jak krecie nory od Złotego Rogu po Kumkapı i wypytawszy po kolei dzieciaki uzależnione od rozpuszczalnika oraz tanie prostytutki, pewnej nocy znalazłem go w Cankurtaran, obok murów biegnących wzdłuż torów kolejowych, próbującego się ogrzać przy ognisku. Grupa bezdomnych i poszkodowanych przez los żebraków siedziała wokół ognia, podawali sobie z ręki do ręki butelkę wina i słuchali tradycyjnych arabesk, które śpiewał jeden z nich: „Niechże diabli wezmą ten los”. Przyglądałem się im przez pewien czas, stojąc przy drzewie. Podczas gdy pieśń płynęła dalej słowami: „Wszędzie ciemność, gdzie podziało się człowieczeństwo?”, przejechał pociąg. Ziemia zatrzęsła mi się pod nogami. Żółte światło przebiegło po drzewach i zniknęło. W miarę jak pociąg się oddalał, piosenka też się kończyła. Ktoś powiedział: „Hej, wędrowcze, opowiedz nam coś tak jak wczorajszej nocy”.

<sup>8</sup> Beyoğlu – dzielnica będąca centrum europejskiej części Stambułu.

Wędrowcem nie był kto inny jak architekt Adaza. Wstał, podpierając się na długim kijku. Miał na sobie czarny rozpinany sweter. Tak jak włóczęga w mojej wcześniejszej opowieści, był boso. Przypominał mówców przemawiających do szanowanej społeczności. Przyjrzał się po kolei każdemu z obecnych i zaczął:

„Okłamali nas. Pierwszy człowiek, który odkrył ogień, nie nazwał go. Później, nadając mu nazwę, ludzie orzekli, że to rodzaj ludzki wynalazł ogień. Przecież ogień istniał od zawsze, więc jak można było go wynaleźć? Zamiast powiedzieć, że go odkryto, mówiono o wynalezieniu. Ogień, kiedy płonął i gasł, był niczym. Pewnego dnia człowiek usmażył na nim mięso i ogrzał

nim jaskinię. To nie oznaczało wynalezienia, tylko odkrycie. Ukryli przed nami prawdę”.

„Niech żyje wędrowiec!”.

„Hurra, wędrowcu! Nawet jeżeli nie do końca cię rozumiemy, mów!”.

„Napij się wina, niech ci nie zaschnie w gardle”.

Architekt Adaza był pijany, ale dobrze zapamiętał wszystko, co ode mnie usłyszał. Zdania, które wygłaszał, były tymi, które wypowiedziałem, kiedy go strzygłem.

„Jesteśmy ofiarami miasta”, mówił dalej. „Albo biednymi, albo nieszczęśliwymi, ale najczęściej obydwojoma naraz. Wpajają nam, że mamy mieć nadzieję. Dzięki nadziei łatwiej nam będzie poradzić sobie ze złem dookoła. Ale jeżeli dzień dzisiejszy nie należy do nas, jaką mamy gwarancję jutra? Nadzieja jest kłamstwem kaznodziejów, polityków i bogaczy. Oszukują nas, za pięknymi słowami ukrywają prawdę”.

Pijacy odpowiedzieli z tą samą euforią.

„Do diabła z nadzieją! Niech żyje wino!”.

„Racja!”.

„Nadzieja jest jak opium!”.

Adaza przerwał okrzyki i gwizdy jednym pytaniem:

„Bracia, to miasto umarło, czy żyje?”.

Podejrzewam, że przypomniały mu się czasy studenckie. Wydawało mu się, że przemawia do grupy zbuntowanych studentów. Zalewał ich słowami, które zebrały się w nim przez lata. Tęsknił za czasami, kiedy dołączył do rewolucjonistów, i żałował, że opuścił ich szeregi ze strachu przed policją. Raz po pijaku rozgadał się i wyznał: „Nawet gdybyś porzucił przeszłość, ona i tak nie da ci spokoju”.

Bezdomni przekrzykiwali się nawzajem.

„To miasto jest jednocześnie trupem i żyje!”.

„Przywalę butelką tym, którzy mówią, że jest żywe!”.

„Jest martwe!”.

Adaza był podekscytowany. Przemawiając, co chwilę stawał na czubkach palców, by za moment wrócić tak jak stał.

„Moi bezdomni bracia! Ci pokonani! Ci o złamanych sercach!”. Jego głos rozbrzmiewał coraz wyraźniej. „My nie stworzyliśmy tego miasta, my się w nim znaleźliśmy. Tak samo to nie my je zabijamy! Stąd nie ma ucieczki. Ci przed nami spalili ostatnie statki. Podobnie jak pierwsi ludzie, którzy odkryli ogień, kto zbuduje nowe miasto, kto tchnie w nie życie?”.

„Dalej, wędrowcu, mów dalej!”.

„Opowiedz nam o pełni księżyca!”.

„I o gwiazdach!”.

Jak jeden mąż wszyscy zadarli głowy. Ja też odszedłem dwa kroki od drzewa, przy którym stałem, i spojrzałem w niebo. Gwiazd było nieskończenie wiele, ale tylko bezdomni i pijacy mieli wystarczająco dużo czasu, by je oglądać. Nie docierały tu światła miasta, całe niebo migotało. Gwiazdy, na które w mieście nie patrzą ani dentyści, ani piekarze, ani gospodynie domowe, zebrały się przy murach i zawieszono w pustce drżały, jakby za chwilę miały się rozpaść.

„Noc jest długa!”.

„Potrzeba więcej wina!”.

„Wędrowcze, wyrecytuj nam wiersz o gwiazdach!”.

Wiersz? Tym razem nie pozwolę na jego beznadziejną poezję. Wolnym krokiem zbliżyłem się



do pijaków zgromadzonych wokół ogniska.

Architekt Adaza najpierw oniemiał na mój widok, a potem przystawił do ust butelkę, którą miał w ręce. Pił i się śmiał, jakby odkrył sekret i po latach spędzonych bez celu udało mu się odnaleźć szczęście.

„To właśnie mężczyzna, o którym wam opowiadałem: Fryzjer Kamo!”, powiedział.

Wszyscy na mnie spojrzeli. W miarę jak się zbliżali, ich brzydota stawała się coraz wyraźniejsza, a liczba ran pokrywających ich twarze rosła. Rozpierzchli się jak myszy z pojemnika na śmieci i zostawili między sobą miejsce dla architekta Adazy. Był szczęśliwy. Po pijanemu mówił niewyraźnie. Pewnego wieczora, kiedy w Stambule ściemniło się wcześniej, a Adaza wydawał się tak samo szczęśliwy, poszliśmy razem do tawerny. Po wypiciu podwójnej raki powiedział, że wyrecytuje swój nowy wiersz. Wszedł na krzesło i kazał powtarzać wszystkim wokół kolejne wersy. To było nie do wytrzymania. Ścisnęło mi się serce, kiedy słyszałem złą poezję.

Architekt Adaza ledwo trzymał się na nogach i rozprawiał przy ognisku płonącym przy murze, z butelką w jednej ręce i kijem w drugiej.

„Kamo, w tej historii wędrowiec nie kłamał, tylko wskazywał, gdzie tkwi kłamstwo, prawda? Próbował przekazać, że nie było innej drogi dotarcia do prawdy niż poprzez słowa”.

„Panie architekcie Adazo, czas wracać do domu”, odparłem.

„Kamo, wspominamy prawdę z czasów, zanim człowiek nazwał ogień ogniem”, dalej mówił architekt Adaza. „Cóż mamy innego niż poezję? Poeci nie tylko przechodzą na drugą stronę prawdy, lecz także na drugą stronę wyobraźni i zbliżają się do czasów sprzed odkrycia ognia. Tego nie uczą na uniwersytetach, tam nie dawali nam do czytania wierszy. Każdego dnia nas okłamywali”.

Architekt Adaza, zamiast wrócić do swojej rodziny, tracił czas na słowa, które i tak zapomniał za kilka minut. Miał kochającą żonę i dwie śliczne córeczki. Głupi ludzie byli szczęściarzami, ale nie potrafili tego docenić. Dlaczego pragnęli więcej? Mieli to, czemu wielu innych poświęciłoby własne życie. Czego jeszcze chcieli?

Pijacy patrzyli zaciekawieni, jaki będzie mój kolejny krok. Byli brudni, brzydcy i chudzi. Nie było wśród nich nikogo, kto miałby porządne ubranie czy uczesane włosy. Architekt Adaza wyglądał jak jeden z nich. Mężczyzna, który teraz stał przede mną, nie przypominał tego, który regularnie przychodził na strzyżenie i siedząc, nie zakładał nogi na nogę w obawie, że wyprasowane przez żonę spodnie się pogniotą.

„Kamo, pamiętasz, jak powiedziałaś, że przywiązanie się sercem do wiary czyni człowieka diabłem? Zobacz, jak ja się przywiązałem do wiary”, powiedział.

Owszem, było coś demonicznego w zbytym przywiązaniu się do jakiegokolwiek religii. Osoba, która uważała swoje wierzenia za lepsze, szydziła z innych. Zbierała całą wartość życia w swoich dłoniach i widziała w sobie źródło dobra. Według niej zło pochodziło od innych, ale nie miała pojęcia, co tkwiło w jej sercu. Czasem testowałem swoich klientów, mówiąc do nich podobne rzeczy. Podczas gdy oni z entuzjazmem zgadzali się ze mną bądź sprzeczekali między sobą, obracałem się i zanim ktokolwiek zdał sobie z tego sprawę, zaprzeczałem sam sobie. Sprawdzałem, kto do jakiego stopnia obstawał przy swoim.

„Tak powiedziałem? Nie pamiętam”, odrzekłem.

„On nie jest zwykłym fryzjerem, był na studiach. Wie więcej od profesorów. Najlepiej rozumie moje wiersze”.

Dlaczego samochód nie potrafił Adazy, kiedy pijany przechodził przez ulicę? Jego żona

byłaby w żałobie przez jakiś czas, ale w końcu zaczęłaby nowe życie i znalazłaby lepszego ojca dla swoich dzieci. Tacy ludzie byli nie do naprawienia, ich bezsensowne zachowania nie zmieniały się po wyprowadzce z domu. Wiedziałem o tym od dzieciństwa. Mówcie, co chcecie, ale popełniali błąd za błędem i nieobca im była przebiegłość. Prawili ci komplementy i jednocześnie oczekiwali, byś chwalił ich fatalną poezję. Kończyli studia, budowali miasta, zasiadali w rządach i dywagowali o sprawiedliwości. I chcieli, by wszyscy żyli według ich zasad.

Wziąłem butelkę, którą podał mi architekt Adaza. Usiadłem przy ognisku obok dwóch pijaczków, którzy przesunęli się, aby zrobić mi miejsce. Rozejrzałem się dookoła, z uwagą przyglądając się każdej twarzy. Byli zarówno szczęśliwi, jak i wykończeni, tak jakby udało im się uratować z pokładu tonącego statku. Nie mieli żadnej przeszłości, dzięki winu żyli chwilą obecną. Wierzyli w ogień, mury i gwiazdy.

Adaza odłożył kij i usiadł obok mnie. Patrzył w ogień, oczy miał pełne łez. Zachwiał się i pochylił do przodu dwa lub trzy razy. Zapatrzył się w płomień przechodzące z żółtych w niebieskie, zamieniające po chwili wszystko w popiół. Tak jak rozbitkowie, którzy żalowali, że udało im się ocaleć z tonącego statku, był gotowy powrócić do ciemności, ponownie zanurzyć się w głębinach. Nie było na tym świecie żadnej gałęzi, której mógłby się chwycić. Nie było też skarbu, który byłby warty poszukiwań. Gdyby miał jeszcze trochę siły, zrobiłby ostatni krok, albo gdyby ktoś go lekko popchnął, wpadłby do morza i dryfował na falach.

„Co się stało z wierszem? Prosimy o wiersz!”, krzyknęli ci, którzy zwrócili uwagę na jego milczenie.

Jeden nich podniósł butelkę i powiedział:

„Ja wam wyrecytuję wiersz”.

Był ślepy na jedno oko, a drugie płonęło podekscytowaniem.

„Dawaj!”, krzyknęli jednogłośnie.

„Ale żeby był o kobietach!”.

„I o gwiazdach!”.

„Albo o czym tam chcesz”.

Jednooki mężczyzna pociągnął łyk wina i zaczął:

„Przed czerwonymi ustami / Nie wiedziałem, czym jest smutek”. Zatrzymał się i spojrzał na przyjaciół. Chciał się upewnić, że słuchają. Z daleka dobiegło szczekanie psa. Wrócił do recytacji: „Kiedy twoje włosy były rozpuszczone w blasku słońca / pieśni o ich pięknie unosiły się ku niebu / a twoje stopy chłodzone wodą z rzeki / błyszczały jak srebrne ryby / Słońce weszło, słońce zaszło / Zebrałaś włosy / i odleciałaś wraz z wędrownymi ptakami / Za sobą zostawiłaś otwarte drzwi nocy i mnie samego na brzegu rzeki / Zanim posmakowałem twoich ust / nie wiedziałem, czym jest smutek”.

„Tylko tyle?”.

„No co, to było o kobiecie!”.

„A gwiazdy?”.

„Nie znacie się na poezji”.

Szczekanie stawało się coraz głośniejsze. Wszyscy obrócili się i spojrzeli w stronę, z której dochodziło. Spomiędzy kamieni zdewastowanego muru wylazło kilka psów, jeden z nich, biały, pozostał w tyle. Cienie psów nachodziły na siebie w blasku księżyca. Podeszły do nas i nosami szturchały ręce pijaków. Węszyły w poszukiwaniu kości, które dla nich odłożyli. Biały pies czekał w oddali.

Jednooki mężczyzna nie zwrócił na nie uwagi. Napił się prosto z gwinta i wstał. „Wysikam się i zaserwuję wam jeszcze jeden wiersz”, powiedział.

Nikt się nim nie przejął.

Pociągnąłem jeszcze jeden łyk wina i też się podniosłem. Sprawdziłem, dokąd poszedł jednooki. W blasku księżyca mury ciągnęły się kilometrami i wydawało się, że nie miały końca. Oprócz murów, gwiazd i ogniska nie było niczego w tej części miasta. Pod bezkresnym gołym niebem jeden z pijaków zaczął śpiewać przenikliwym głosem: „Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, zostawiłaś mnie, ukochana”.

Jednooki mężczyzna zbliżył się do wgłębienia w murze i przystanął. Ledwo trzymał się na nogach, nie mógł rozpiąć rozporoka. Podbiegłem do niego. Popchnąłem go w stronę dziury i zakryłem mu usta. Nóż miałem gotowy. Obróciłem go kilka razy w powietrzu i przytknąłem mu do gardła. Nie rozumiał, co się dzieje. Wybałuszył oko, które zabłysło w blasku księżyca. Na jego twarzy wyraźniej niż strach malowało się zdziwienie. Zastanawiał się, czy to się dzieje naprawdę, czy to tylko sen. Zmuszał się do myślenia, próbował sobie przypomnieć najpierw mnie, potem to miejsce i na końcu siebie samego. Gdyby z daleka nie dochodziły niewyraźne słowa piosenki, pomyślałby, że już umarł i obudził się w grobie. Był niski, ale teraz wydawał się jeszcze niższy. Pod moim ciężarem przywarł do ściany. Ponownie podrzuciłem nóż w powietrzu.

„Nie waż się krzyczeć”, powiedziałem. „Zadam ci tylko jedno pytanie”.

Odsunąłem się od niego. Kiedy zabierałem rękę z jego ust, zamachałem mu nożem przed oczami.

„Błagam cię, nie zabijaj mnie”, prosił. „Oddam ci wszystko, co ukradłem”.

Śmierdział winem i stęchlizną. Czułem bicie jego serca.

„Zadam ci jedno pytanie, a ty powiesz mi prawdę”, powiedziałem.

„Przysięgam”, kiwnął głową.

Zamiast zapytać go, dlaczego tak uparcie trzyma się życia, a nie ma zamiaru wykopać sobie grobu na tym śmietniku i pochować się w nim razem ze swoim jednym okiem i smrodem, powiedziałem:

„Wiersz, który przed chwilą wyrecytowałeś. Skąd go znasz?”.

Na moment zabłysło mu oko.

„Popełniłem błąd?”, zapytał, jękając się.

„Twoje narodziny były błędem”, odpowiedziałem. „A teraz mów: skąd znasz ten wiersz?”.

Powinien udzielić prostej odpowiedzi na to proste pytanie, ale ostra końcówka noża nad jego okiem go niepokoiła.

„Znam ten wiersz od mojego nauczyciela z podstawówki”.

Oto tajemnica jego życia. Powiedział mi to, czego powinienem się domyślić.

„Gdzie chodziłeś do podstawówki? We wsi Czarny Potok?”.

Jego twarz nabrała kolorów.

„Tak, jestem z Czarnego Potoku. Nasz nauczyciel, który był ze Stambułu...”.

Nie pozwoliłem mu dokończyć zdania. Złapałem go za gardło i znów przycisnąłem do ściany.

„Nie mów o nim ani słowa, nie waż się nawet wypowiedzieć jego imienia. Opowiadaj o wsi!”.

Wychudłymi palcami złapał mnie za nadgarstek i spojrzał błagalnym wzrokiem, jakby pytał, co się stało, gdzie popełnił błąd? Żył mu pulsowały, pot spływał z czoła. Ślina bulgotała w kącikach ust. Kiedy zaczął się dusić, rozluźniłem dłoń i zostawiłem go. Sam zacząłem mówić:

„Spomiędzy gór dociera się do waszej wsi stromą drogą. Zawsze spowijają ją chmury. W waszych ogrodach nie ma drzew, pasą się tam zwierzęta. Domy budujecie z czarnego

kamienia. Wieś nazywa się Czarny Potok, ale nie przepływa przez nią żadna rzeka, wodę czerpiecie ze studni”.

Złapawszy go za szczękę, uniosłem go i mówiłem dalej, patrząc mu prosto w oczy:

„Ścianom waszych domów można ufać bardziej niż wam. Są z kamienia i wyglądają tak samo w słońcu i w ciemności. Stoją od co najmniej stu lat. Wy natomiast w ciągu dnia uśmiechacie się do innych, a nocą potraficie wbić im nóż w plecy. Nie przyznajecie się do swoich przywar i nie potraficie przeproszać. Jesteście w stanie zgwałcić jedną z bliskich wam kobiet, a po chwili zabić inną w imię honoru rodziny. Imię Boga nie schodzi wam z ust. Jesteście bardzo dobrzy w płaczu. Śpiewając pieśni żałobne, marzycie o minionych czasach. Nawet gdyby cały świat miał spłonąć, macie to gdzieś, pod warunkiem że ani jeden kamień nie spadnie ze ścian waszego domu. Wierzycie, że zło przychodzi z zewnątrz. Jego źródłem są albo sąsiedzi, albo obcy. Nie widzicie, że w waszych sercach gniazda uwiły sobie żmije”.

„Masz rację”, odpowiedział głosem pozbawionym emocji. „Zobacz, co mi zrobili. Mieszkańcy wsi, moi krewni, wydlubali mi oko i wygonili mnie z domu”.

„Zamknij się! Nie opowiadaj mi o sobie. Nie masz własnej historii. Macie wspólną opowieść. To jedyna narracja i każdy z was jest jej częścią”.

Rękoma przejechał po ubraniu. Z ukrytych kieszeni podartych spodni wyciągnął banknoty i podał mi je.

„Weź”, powiedział. „Codziennie będę przynosił ci pieniądze”.

Cisnąłem nóż, z jego ręki trysnęła krew, a pieniądze rozsypały się po ziemi. Krzyknął z bólu i zabrał rękę.

„Jesteście tchórzliwi, chytry i przy każdej nadarzającej się okazji okrutni. Wykończyliście nauczyciela. Kiedy wy jeszcze wylegiwaliście się w łóżkach, on był już na nogach i rozpałał ogień w piecu szkoły, w której znajdowała się tylko jedna klasa. Na tablicy robił szkice. Opowiadał o górach, które nie przypominały waszych, i o zwierzętach, których nazw nie znaliście. Nie obchodziło was, że Ziemia jest okrągła, a morza zajmują więcej jej powierzchni niż lądy. Mimo to wieczorami na podwórku szkolnym pokazywał wam Drogę Mleczną i Gwiazdę Północną. Kiedy wracaliście do swoich domów i na zewnątrz zostawały tylko psy, zamykał się w swoim małym pokoiku i przy bladym świetle pisał wiersze, które miał wam przeczytać podczas lekcji. Nie był świadomy, że za oknem przechadzają się cienie. Zajęło mu trochę czasu, zanim zrozumiał, kim jesteście i jakie życie prowadzicie za drzwiami, które szczelnie zamykacie. Każdy dom, każdy człowiek był u was ciemną jaskinią. Nauczycielowi trudno było to zrozumieć, dlatego jego ostatnie wiersze były przepełnione goryczą. Wasza wieś nazywała się Czarny Potok, ale nie było w niej żadnego potoku, a wy, tak jak cała wioska, byliście jednym wielkim kłamstwem. Nauczyciel nie mógł tego znieść”.

Spojrzał na mnie tak, jakby zaraz miał zostać pozbawiony swojego jedyne oka. Przygryzł wargę. Złapał mnie za ramię i zaczął płakać. Był jak mysz uwięziona w pułapce. Ciekawe, kiedy ostatni raz płakał. Ale myślał nie o swoich grzechach, tylko o moim nożu. Popchnąłem szlochającego w kierunku muru i złapałem go za fraki.

„Nie waż się beczeć, bo poderżnę ci gardło”, zagroziłem. „Spóźniłeś się. Wszyscy się spóźniliście. Powinniście byli płakać lata temu i prosić nauczyciela o przebaczenie. Co wam zrobił poza tym, że powiedział prawdę starcom siedzącym pod ścianą? Im więcej mówił, tym częściej budziliście się w środku nocy zlanym zimnym potem. W ciemności wychodziliście na próg i patrzyliście w dal. Paliliście do białego rana. Nie chcieliście znać prawdy. Żyjąc w zakłamaniu, wypieraliście się tego, że jesteście źli. Jak szczęśliwi byliście, hodując żmije w swoich sercach.

Zdradziliście nie tylko nauczyciela, lecz także góry, wśród których żyliście”.

„Kim ty jesteś? Pochodzisz z naszej wsi?”, zapytał z wahaniem.

Zdenerwowałem się na całego.

„Nie powinno cię obchodzić, kim jestem, lecz to, kim ty jesteś, kim wy jesteście! Dlaczego choć raz nie spojrzeliście na siebie w lustrze? Nauczyciel, zmęczony Stambułem, uciekając przed zgiełkiem miasta, przybył do waszej wsi. W przeciwnym razie postradałby zmysły. Stambuł pęczniał jak rozkładający się trup, a ten człowiek uzależniał się od tego trupa jak pasożyt. Musiał uciec od tego koszmaru, znaleźć schronienie na wsi. Chciał nocami przekładać wiersze z francuskiego i znaleźć wenę do tworzenia własnej poezji. Ale czy mieszkańcy wsi byli inni niż stambulczycy? Czy ludzie nie są wszędzie tacy sami? Nauczyciel zbyt późno zdał sobie sprawę, że wpadł z deszczu pod rynnę. Wieś była zakłamana tak samo jak miasto. Teraz nauczyciel znalazł się między dwoma kłamstwami. Każde miejsce gnęło, z żadnego nie było ucieczki”.

Zbliżyłem się do twarzy mężczyzny, powąchałem jego przetłuszczone włosy i dotknąłem palcem brudnego czoła. Mój ojciec był tym nauczycielem. W swoim ostatnim wierszu przeklął ludzi. W noc, kiedy napisał ten wiersz, wyszedł na zewnątrz i spojrzął w niebo. Droga Mleczna rozciągała się między liniami horyzontu. Gwiazda Północna była daleko. Nie mógł dostać się na północ, do tej gwiazdy, zdecydował się więc udać na południe, pod ziemię. Byłaby to jego ostatnia podróż. Czyż każda śmierć nie jest zejściem do podziemia? Skierował się do studni w centrum wsi i spojrzął w dół. Wsadził głowę do wnętrza. Porośnięte mchem kamienne brzegi ładnie pachniały. Wciągnął zapach głęboko w nozdrza. Wrzucił kamień do środka. Spadał długo i minęła chwila, zanim rozległo się chlupnięcie. W dole było ciemno, wilgotno i tajemniczo. Tam biło serce świata, to tam było południe.

Znad ogniska zaczęły dochodzić głosy. Zgromadzeni nie wiedzieli, co spowodowało naszą nieobecność. Zaczęli wołać: „Jednooki, gdzie się podziewasz? Fryzjerze Kamo, gdzie jesteś?”.

Podczas gdy nędzarze dalej pili, usadowieni wokół ogniska, dwie czy trzy osoby nas wołały. Przyszliby po chwili i rozpoczęłyby się symfonia na noże.

Potknąłem się, kiedy zobaczyłem za sobą białego psa. Zaczepiłem nogą o kamień. Nóż wypadł mi z ręki. W którym momencie biały pies podszedł tak blisko? Miał przyjemną mordę i długą szyję. Sierść okrywała jego ciało jak jedwabna narzuta i spływała w kierunku ogona. Nie przypominał psów żyjących pod murem. Nie żebrał o jedzenie. Jego zęby błyszcząły w świetle księżyca, spiczaste uszy przypominały uszy wilka. Ogromne łapy nie były pokryte nawet cienką warstwą pyłu. W bezruchu, nie zdradzając, co ma zamiar zrobić, patrzył na mnie. Schyliłem się i podniosłem z ziemi nóż. Cofnąłem się o dwa kroki i oparłem plecami o ścianę. Pomyślałem o nożu i pragnieniu, które najpierw mnie, a potem białego psa przywiodło tutaj tej nocy.

Usłyszałem odgłos nadjeżdżającego pociągu. Ziemia się zatrzęsała. Koła waliły o tory jak młot kujący żelazo. Stuk, stuk, stuk. Po chwili pijacy byli tuż obok. Stuk, stuk, stuk. Zaczęłyby się symfonia na noże. Tej nocy wszyscy zdaliby się na przeznaczenie. Oparłem się jeszcze mocniej o ścianę. Zacisnąłem pięści. Ciekawe, co powiedział architekt Adaza, kiedy oddaliłem się od ogniska. „Nie myślcie, że jest zwykłym fryzjerem. Kamo ma przepiękną żonę”. Ciemność była upojna. Pociągi uwielbiały tory. Pijacy podawali sobie z rąk do rąk butelkę wina. Ta butelka była niczym ciało kobiety o gorących ustach i brzuchu pokrytym kroplami potu. Pociągi uwielbiały tory, a dzieci – studnie. Stuk, stuk, stuk. Mój ojciec też uwielbiał studnie. Oglądał gwiazdy w Czarnym Potoku, mierzył prędkość wiatru, zapisywał ilość opadów deszczu. Mój ojciec też uwielbiał studnie. Stuk, stuk, stuk. Gdyby studnia w Czarnym Potoku była wirem, wciągałaby



głupie dzieciaki, kłamliwych starców i pozbawione uroku kobiety. Połknęłyby szczelnie zamknięte drzwi i kury o obciętych nogach. Stuk, stuk, stuk. Ale czy połknęłyby też mojego ojca?

Noc nagle przestała być upojna. Przypominała chmurę mrówek; po tym jak rozpierzchły się w różne strony, zgasła. Usłyszałem dzwonienie. Kiedy cichł odgłos odjeżdżającego pociągu, podniosłem głowę. Znajdowałem się na ziemi? Kiedy położyłem się na betonie? Kłamstwa i pijacy mnie wykończyli. Bolała mnie głowa. Z trudem się podniosłem. Oparłszy się o ścianę, wyciągnąłem nogi. Moja szyja, plecy, pierś były złane potem. Napiłem się wody z leżącej obok butelki. Która to godzina? Odwróciłem się i spojrzałem przez szparę w drzwiach celi. Światło z korytarza raziło w oczy. Znów wziąłem łyk wody. Jaki dziś mamy dzień? Straciłem rachubę czasu. Nie przyprowadzili ani Doktora, ani reszty. Lepiej, że podczas ataku padaczki byłem sam w celi. Nie potrzebowałem niczyjej pomocy.

Spojrzałem na ścianę naprzeciwko. Pokrywały ją bohomyzy, litery, plamy krwi. Odpadł tynk i rozsypał się po betonie. Rozmyły się napisane przypadkowo słowa: „Honor ludzkości!”, „Któregoś dnia na pewno!”, „Dlaczego cierpienie?”. Dlaczego cierpienie? – o tym najczęściej myśleli zamknięci tu więźniowie. Kiedy cierpienie wtargnie do świata, tak jak wdziera się do mózgu, ludzie myślą, że ta cela jest domem cierpienia, a Sztambuł – ukojenia. To właśnie epoka złudzeń! Ukryć kłamstwo może tylko nowe kłamstwo. Aby zataić cierpienie, trzeba było je schować pod ziemią. Ludzie zamknięci w zimnych celach tęsknili za zgiełkiem ulic. Ci, którzy wyszli na wolność, cieszyli się, że mogli spać w swoich ciepłych łóżkach. A Sztambuł był pełen ludzi duszących się z braku nadziei i jak dżdżownice wlekących się do pracy każdego ranka. Podczas gdy domy zapuszczały korzenie, które oplatały ściany cel, sztambulczycy byli opętani poczuciem fałszywego szczęścia.

Głos strażnika krzyczącego: „Czas na pokaz!”, niósł się korytarzem. Co się stało? Żelazne drzwi się otworzyły?

– Wszyscy na zewnątrz! Wszyscy do drzwi!

Nie miałem pojęcia, co się dzieje.

Walili. Otwierali jedną celę za drugą. Przyszła kolej na mnie. Odsunęli zasuwę i światło zalało wnętrze. Oślepiło mnie, a ból głowy się nasilił.

– Wstawaj! Do drzwi!

Strażnik poszedł do następnej celi. Nadal było słychać dźwięki otwieranych zamków.

Wstałem i wyszedłem na korytarz. Wszyscy ustawili się w rzędzie. Rozczochrani mężczyźni, kobiety o spuchniętych, posiniaczonych twarzach patrzyli na siebie nawzajem. Strażnik przeszedł się po wszystkich izbach więziennych i wrócił. Otworzył drzwi celi po drugiej stronie korytarza. W tym samym momencie dziewczyna wstała. Kiedy Zinê Sevda wróciła z przesłuchania? Przyprowadzili ją z powrotem, gdy byłem nieprzytomny? Wyszła i stanęła naprzeciwko mnie. Widać było, że od dawna nie spała. Nie tylko twarz i szyję, lecz także palce miała spuchnięte. Jej dolna warga krwawiła. Starła krew dłonią.

– Zobaczymy, co teraz!

Spojrzelśmy na strażników krzyczących z początku korytarza. Było ich sporo. W rękach trzymali pałki i łańcuchy. Podwinęli rękawy i gapili się na nas, śmiejąc się gromko.

– Oto wasz mędrzec! Oto wasz anioł stróż!

Ciągnęli kogoś za nogi. Zostawili go przy wejściu na korytarz. Był nagi, miał na sobie tylko czarne majtki. Rozpoznałem od razu ciało Dayı Küheylana. Leżał jak topielec, który wypłynął na brzeg. Cały był we krwi. Jego siwe włosy poczerwieniały. Odebrali mu duszę

i przyprowadzili go tu jak na cmentarz. Po korytarzu rozeszło się zawrodożenie. Słuchać było przejęte głosy. Ktoś szepnął:

– Nikczemnicy.

I jeszcze:

– Zbrodniarze!

Strażnik, który to usłyszał, rzucił się w moją stronę, pytając, kto to powiedział. Wrzeszczał. Biegał z jednego końca korytarza na drugi. Uderzył pałką kilku przypadkowych więźniów. Dookoła rozsypały się wybite zęby i tryskała krew.

Pierwszy strażnik spróbował podnieść Dayı Küheylana.

– Dawaj, chłopie, rusz się trochę!

Dayı Küheylan żył. Jego jęk dotarł do najdalszych zakamarków więzienia.

– No, dawaj, stary!

Dayı Küheylan poruszył dłonią i wyciągnął ją, jakby czegoś szukał w powietrzu. Ze spuszczoną głową, grubą szyją i szerokimi ramionami nie przypominał człowieka. Zawył jak zranione zwierzę. Ślina ciekła mu z ust. Słowa, które szeptał, zamieniły się w niezrozumiałe bełkot. Kim teraz był Dayı Küheylan? Czym było to skowyczące stworzenie? Jedną stopę postawił na ziemi, a drugą pociągnął za sobą. Strażnicy zostawili go stojącego na jednej nodze. Począł chwilę. Wziął wdech. Pociągnął nogę, która została w tyle, i przywłókł ją do tej, na której stał. Podniósł głowę. Jego twarz nie przypominała ludzkiej. Miał spuchnięte wargi, język wywalony na brodę. Rozciąęty łuk brwiowy, powieki zlepione krwią. Z ran na jego piersiach sączyła się ropa.

Jeden ze strażników krzycał:

– Przyjrzyjcie się dobrze! Przyglądajcie się z bliska naszemu dziełu! Nikt nie ucieknie od wymiaru sprawiedliwości!

Dayı Küheylan przypominał kapitanów statków, którzy wypływali w morze w poszukiwaniu białego wieloryba, zmagali się z burzami, ale wracali do portu bez trofeum, tak jak ci z opowieści jego ojca. Statek Dayı Küheylana był porozbijany, żagle pozrywane. Tak samo jak ci kapitanowie, po każdej porażce fantazjował o nowych wyprawach. Kiedy cały we krwi próbował stawiać kroki, słyszał szum wiatru. Spływającą z nosa krew brał za wodę morską. To był niekończący się sen. Wszyscy szukali białego wieloryba na otwartych morzach, Dayı Küheylan natomiast – w morzu Stambułu. To tu znajdował upajający smak, kuszący śpiew, któremu nikt nie potrafił się oprzeć. Nie szukał wyspy, na której mógłby się schronić. Wymazał ze swojej mapy wszystkie lądy. Miał albo podbijać morza, albo przepaść w odmętach fal. Na jego plecach znajdowały się niezliczone blizny. Gdy powoli przesunął nogi po ziemi, podniósł głowę, jakby nagle usłyszał krzyk. Próbował stwierdzić, z której strony wiał wiatr.

Kiedy Dayı Küheylan przemierzał najdłuższą drogę w swoim życiu, wyprostowana Zinê Sevda zaciskała pięści. Jak dziecko zmrużyła oczy i powoli wystąpiła z szeregu. Zrobiła dwa kroki do środka korytarza. Wyrosła jak drzewo naprzeciwko Dayı Küheylana. Znajdowali się w odległości pięciu, sześciu metrów od siebie. Kiedy wszyscy zwrócili się w kierunku Zinê Sevdy, strażnicy spojrzeli po sobie. Zapadła cisza. Słuchać było tylko odgłos kropel krwi spadających na posadzkę.

– Co ona robi?

– Szeffie, to dziewczyna, którą przywieźli z gór.

Zinê Sevda otarła ręką czoło i policzki i poprawiła włosy. Pod ciężarem zaciekawionych spojrzeń wrosła w ziemię. Padła na kolana jak posąg z marmuru przed Dayı Küheylanem.

Rozłożyła ramiona. Czekala, zeby ucisnac i zakryc poranione ciało, które zmierzalo w jej strone. Podeszwy jej stop byly pokaleczone, szyja pokryta sladami po zgaszonych papierosach. Nie byla syrena, nie wyszla spozród fal i nie spiewala pieśni przy zachodzie slonca; byla okaleczonym czlowiekiem. Czy Dayı Küheylan to widzial? Czy jego zakrwawione oczy rozpoznawaly dziewczynę, która naprzeciwko niego upadła na kolana i rozložyla ramiona?

– Wstawaj, szmato!

Zinê Sevda nie przejmowała się strażnikami. Tym razem zlizala ciemną krew spływającą z ust. Jeszcze bardziej rozprostowała ramiona.

– Podnieście to ścierwo!

Jeden ze strażników podszedł z pałką. Stanął przed nią. Rzucił papierosa, którego trzymał w ustach, i zgasił go czubkiem buta. Kiedy powoli rozgniatał peta na betonie, patrzył na Zinê Sevdę. Uśmiechnął się, pokazując żółte zęby. Z całej siły kopnął dziewczynę w brzuch. Potoczyła się po betonie i uderzyła w drzwi jednej z cel. Zatrzymała się na chwilę. Złapała się za brzuch i powoli się podniosła. Znowu uklękła. Spojrzała na Dayı Küheylana. Między nimi była duża odległość.

Strażnik kopnął peta na bok. Nachylił się nad Zinê Sevdą i odsunął się, nie zauważywszy żadnej reakcji. Nadal się uśmiechał. Podrzucił pałkę jak zabawkę. Stał dokładnie przede mną. Jednym ruchem złapałem go za nadgarstek. Pałka zawisła w powietrzu. Nasze oczy się spotkały. Skurwysyn! Znał mnie? Wiedział o symfonii na noże? Krew pulsowała mi w skroniach. Podczas gdy wszyscy trzęśli się z zimna na gołym betonie, moja twarz płonęła. W głowie miałem włączoną wiertarkę. Wiedział o symfonii na noże? Skurwysyn! Próbował uwolnić się z mojego uścisku, odpychając mnie. Gdy zabrakło mu siły, krzyknął.



Dzień czwarty

• *Opowiada Dayı Küheylan*

## GŁODNY WILK

– Kiedy myśliwi przechodzili przez zbocze stromej góry, rozpętała się burza. Śnieg z gradem padał tak mocno, że nie było widać niczego wokół. Słońce zaszło wcześniej. Myśliwi, którzy zgubili drogę, dostrzegli światło w ciemności. Zapadając się w śniegu, udali się w tym kierunku. Była to góraska chata z ogrodem. Zapukali do drzwi i zawołali: „Zamarzniemy, jeżeli nie wpuscicie nas do środka”. Zza drzwi kobiecy głos zapytał: „Kto tam?”. „Jesteśmy myśliwymi ze Stambułu, zgubiliśmy się, musimy gdzieś przeczekać noc”. Kobieta odpowiedziała: „Mojego męża nie ma w domu, nie mogę was wpuścić”. Błagali: „Jeżeli nas nie wpuścisz, umrzemy tutaj z zimna. Możemy oddać ci broń”. Wiatr wył przeraźliwie, z daleka słychać było zsuwającą się lawinę. Kobieta otworzyła drzwi i pozwoliła mężczyznom usiąść przy piecu. Poczęstowała ich jedzeniem. Wyciągnęli z kiesi lusterko, grzebień i szczyryk i podarowali je kobiecie. „Uratowałaś nam życie, pozostaniemy ci dozgonnie wdzięczni”. Podziękowała za prezenty i udała się do swojego pokoju, a oni położyli się przy piecu i zasnęli. Jednak po chwili obudził ich gwizd. Głosy dochodziły z pieca, płomienie przechodziły z jednego koloru w drugi. Światło zeszło z komina i stanęło naprzeciwko nich. Wyłoniła się z niego wróżka o zielonych skrzydłach. „Nie bójcie się. Przybyłam tu, aby zapisać przeznaczenie”. Zapytali: „Nasze przeznaczenie?”. „Nie, wasz los został wyznaczony przed waszymi narodzinami. Ja przyszłam do kobiety w ciąży, która śpi teraz w pokoju obok. Wyznaczę przeznaczenie dla jej dziecka, które wkrótce się narodzi”. Odparli: „Opowiedz nam o jego losie”. „Nawet jeżeli wam opowiem, nie będziecie mogli go zmienić”. Myśliwi naciskali. Wróżka uśmiechnęła się i powiedziała: „Kobieta urodzi syna. Wyrośnie on na zdrowego młodzieńca, który w wieku dwudziestu lat ożeni się z dziewczyną, którą pokocha. Ale w noc poślubną zaatakuje i zje go wilk”. Myśliwi zaprotestowali: „Nie, nie pozwolimy na to!”. „Nie próbujcie przeciwstawić się przeznaczeniu”, ostrzegła wróżka i posypała ich magicznym pyłem. Zasnęli. Nazajutrz, gdy się obudzili, opowiedzieli sobie nawzajem swoje sny. Gdy się okazało, że wszystkim przyśniło się to samo, uznali, że to musiała być prawda. Złapali za broń i przyrzekli, że będą strzec tej tajemnicy i uratują młodzieńca. Kobieta nie wiedziała o niczym. Powiedzieli jej: „Dlatego że teraz jesteś naszą siostrą, mamy do ciebie jedną prośbę”. „Czego sobie życzycie?”. „Chcemy przyjść na wesele twojego dziecka. Koniecznie daj nam znać, kiedy się odbędzie”. Myśliwi przeżyli dwadzieścia trudnych lat. Każdego dnia przygotowywali się do tego wydarzenia. Kiedy wreszcie nadeszła pora i wiadomość o weselu dotarła do Stambułu, chwycili za broń. Lotem błyskawicy dotarli do górskiej chaty, w której niegdyś gościli. Wyjawili tajemnicę. Ogromną skrzynię, którą przywieźli ze sobą, postawili na środku pokoju i ukryli w niej młodą parę. Skrzynię przewiązali siedmioma łańcuchami, przytwierdzili do nich siedem kłódek. „Nie zmrużymy oka”, powiedzieli i żeby przez przypadek nie zasnąć, każdy z nich odciął sobie mały palec. Do białego rana nasłuchiwali wyjącego wiatru. Strzelali, jeśli zauważyli nawet najmniejszy ruch. Jak tylko zaczęło się rozjaśniać, krzyknęli z radości: „Udało się!”. Najpierw otworzyli siedem kłódek, potem rozwiązali siedem łańcuchów. Ale kiedy w skrzyni znaleźli pannę młodą poplamioną krwią, nie wierzyli własnym oczom. „Co się stało? Co to znaczy?”. Dziewczyna wymamrotała: „Ja też nic z tego nie rozumiem. Jak tylko zamknęliście skrzynię, zamieniłam się w wilka i zjadłam swojego ukochanego. Nie wiem dlaczego, ale ja to zrobiłam”.

Wyraz twarzy Doktora, który słuchał mnie z uwagą, oscylował między chęcią wybuchnięcia śmiechem a strachem. Jego wzrok zmienił się kilka razy.

– Doktorze, zaskoczył cię koniec historii? – zapytałem. – Wiesz, niektórzy śmiali się z tego, że wilk zjadł młodzieńca.

– Tu też niektórzy mogą zacząć się z tego śmiać – odpowiedział Doktor, spozierając na śpiącego Fryzjera Kamo. Lekko nachylił się w jego stronę i zbliżył ucho, tak jakby chciał usłyszeć jego oddech. Zatrzymał się, poczekał chwilę i wrócił na miejsce. – Dayı Küheylan, tej historii nigdy wcześniej nie słyszałem. Spodobała mi się twoja opowieść. Ją też znasz od ojca?

– Tak, pierwszego wieczora, kiedy zepsuło się nam radio i umieraliśmy z nudów, ojciec opowiedział ją, żeby trochę nas rozerwać.

– Szybko się nudziliście?

– Na wsi człowiekowi wystarczał człowiek. Nie znaliśmy nudy. Radio nas zmieniło. W dniu, kiedy się zepsuło radio, nie mieliśmy na nic ochoty. Gry, w które zawsze graliśmy, wydawały się bez sensu. Zastanawialiśmy się, co robili ludzie w mieście w takich sytuacjach.

– Ciekawe... – zamyślił się Doktor.

– Mój ojciec wrócił z jednej ze swoich wypraw z radiem tranzystorowym. Wiedzieliśmy, że gdy jego podróż trwała krótko, spędzał czas z przyjaciółmi, natomiast gdy nie było go długo, przebywał w więzieniu. Tym razem nie było go długo. Abyśmy nie martwili się jego kościstym wyglądem i bladą twarzą, wyciągnął z walizki prezenty i zajął nimi naszą uwagę. Radio, które widzieliśmy pierwszy raz w życiu, podekscytowało nas najbardziej ze wszystkich rzeczy. Tego wieczora słuchaliśmy powieści. Mężczyzna był zakochany w kobiecie, ale ona go nie chciała. Kobieta wyjechała ze Stambułu do Paryża i wróciła po latach. Spotkali się i usiedli w kawiarni obsypanej żółtymi, podwiedłymi kwiatami. Mężczyzna zapalił kobiecie papierosa. Jak na kartkach pocztowych, patrzyli na przepływające statki i sułtański pałac Topkapı. Wreszcie kobieta się odwróciła i spojrzała mężczyźnie w oczy. „Madżnun w imię miłości udał się na pustynię. A ty byłeś na swojej pustyni?”, zapytała. „Owszem, bez ciebie to miasto zamieniło się w pustynię”. Zadała kolejne pytanie: „Gdy któregoś ranka obudzę się obok ciebie jako stara mysz, co wtedy zrobisz?”. „Będę dla ciebie czuły. A jeśli umrzesz, będę nosił po tobie żałobę”. Po zapaleniu jeszcze jednego papierosa powiedziała: „Opowiem ci historię”. Wydawało się, że poddawała mężczyznę próbie, ale w tym momencie prezenter radiowy oznajmił, że wieczorny program dobiegł końca i za tydzień o tej samej porze będzie można usłyszeć kolejny odcinek powieści. Musieliśmy tydzień czekać na historię kobiety.

Chyba z powodu bólu głowy Doktor zmrużył oczy. Światło mu przeszkadzało, starał się nie patrzeć w kierunku otworu w drzwiach. Mimo to słuchał z uwagą.

– W następnym tygodniu radio się zepsuło. Mój ojciec próbował je naprawić, ale na próżno. Musiał dostrzec rozczarowanie na naszych twarzach, bo powiedział: „Nie martwcie się. Ja znam tę powieść”. Czy tak było naprawdę? Chcieliśmy wierzyć, że tak. Oczarował nas historią, którą w radiu kobieta miała opowiedzieć mężczyźnie. Gdy mówił o myśliwych, zaczął poruszać palcami jak czarodziej, na ścianie pokazał dłoń, która zamieniła się w kobietę w ciąży i we wróżkę. Gestem namalował też górską chatę i skrzynię. Ale tego wieczora pragnąłem czegoś innego. Marzyłem, że tato zawiezie mnie do tego pełnego światła Stambułu. Zapytałem ojca, czy ta historia miała jakąś puentę. Odpowiedział: „Sami zgadnijcie. Jaki był jej sens? Dlaczego ta kobieta opowiedziała mężczyźnie właśnie tę historię?”.

– Dayı Küheylan, lubię zagadki. Ale w tym przypadku nie wiemy, jaka jest zagadka, więc jak mamy znaleźć rozwiązanie?

– Mój ojciec powiedział, że sami musimy odkryć zarówno zagadkę, jak i odpowiedź na nią. Dał nam czas do następnego wieczora.

– I co, znaleźliście rozwiązanie?

– Moja mama znalazła. Była mistrzynią rozwiązywania zagadek.

– W takim razie mnie również daj czas. Spróbuję się z nią uporać do jutra.

– Pewnie, Doktorze. Mamy kupę czasu. Co innego mielibyśmy robić?

Student Demirtay, który trzymał głowę przy kolanach Doktora, wyprostował się. Przetarł oczy. Spoglądając na śpiącego Kamo, powiedział:

– Zazdroszczę mu. Mimo zimna udaje mu się zasnąć. Podejrzewam, że to ja tu najbardziej marznę.

– Nie spałeś? – zapytałem.

– Dayı Küheylan, nie mogłem zasnąć. Słuchałem twojej opowieści, tak jakbym oglądał film. Przed oczami ukazały mi się sceny: wietrzna noc, burza śnieżna, dom, z którego docierało światło. Wydaje mi się, że zagadka pojawiła się pod koniec. Czy mimo wszystko można było zmienić przeznaczenie młodzieńca?

– Skoro pytanie jest tak proste, odpowiedź również musi być łatwa do znalezienia. Znasz ją? – zapytał Doktor.

– Tak. Moim zdaniem nie mogli zmienić przeznaczenia.

– Dlaczego? Gdyby wsadzili młodzieńca samego do skrzyni, nie zostałby przy życiu?

– Wtedy jeden z myśliwych stałby się wilkiem. Rozszarpałby innych i dostałby się do skrzyni.

– Ale pozostali myśliwi mogliby spróbować go zabić – sprzeciwił się Doktor. – Nie tylko chcieli uratować chłopca, lecz także zmierzyć się z wilkiem. Obcięli palce, pokrwawili się. Pragnęli, by zapach krwi go zwabił.

Demirtay pomyślał chwilę, jakby próbował rozwiązać zadanie podczas egzaminu:

– W takim razie mnie również dajcie czas. Spróbuję znaleźć lepszą odpowiedź.

– Dayı Küheylan, jaka była odpowiedź twojej matki? – zwrócił się do mnie Doktor. – Ona też uważała, że nie można zmienić przeznaczenia?

– Nie, moja matka była innego zdania.

– Znam odpowiedź. Chcesz ją usłyszeć?

– Bez pośpiechu, Doktorze. Prosiłeś o czas do jutra.

– Pomyślałem o tym, kiedy rozmawialiśmy z Demirtayem. W historii myśliwych nie było zagadki. Ona powinna wyjść nie z opowieści, ale spoza niej. Kobieta w powieści zamierzała coś powiedzieć o sobie, dlatego opowiedziała historię, nieprawdą?

– Jesteś na dobrym tropie. Dalej.

– Chciała się dowiedzieć, jak bardzo męczyzna był jej oddany. Pragnęła zapytać, czy gdyby był młodzieńcem z opowieści, to wszedłby z nią do skrzyni. Nie chodziło jej o rozwiązanie, ale sprawdzenie, jak on zmierzy się z pytaniem.

– Doktorze, mówisz jak moja matka. A może znasz tę powieść?

– Nie, nie znam jej.

– Dobrze się kończy. Jak mawiał mój ojciec, czasem miłość rozkwita z opóźnieniem. Takie było przeznaczenie tej historii.

– Przeznaczenie historii – powiedział Doktor, jakby mówił sam do siebie. Paznokciem przejechał po ścianie i narysował pionową linię. – Czy przeznaczenie jest taką linią? Może się zmienić czy nie? Zapytam Kamo, kiedy się obudzi. Dayı Küheylan, ty też powinieneś się przespać. Odpoczynek dobrze ci zrobi.

– Nie chce mi się spać. Kamo śpi głęboko. Nie patrzcie na to, że nie ma ran na twarzy. Wczoraj pobili go pałką po głowie i skopali, powaliwszy na ziemię.

– Kiedy wrzucili do celi Fryzjera Kamo, bijąc go równocześnie, byliśmy u kresu sił. Z bólu nie mogliśmy zasnąć. Bardziej niż o Kamo martwiłem się o Zinê Sevdę z naprzeciwka. Zacząłem się zastanawiać, czemu wyszła mi naprzeciw, dlaczego naraziła się dla mnie. Na środku korytarza upadła na kolana i zwróciła ku mnie ramiona. Mimo że ją pobili, nie poddała się. Kiedy Fryzjer Kamo próbował ją ochronić, złapał przesłuchującego za nadgarstek i cisnął nim o ścianę, wszyscy, także Zinê Sevda, się zdziwili.

– Nie, nie złapałem strażnika za nadgarstek – powiedział Kamo. – Zaatakował mnie, bo przez pomyłkę go dotknąłem.

Dobrze pamiętam. Byłem cały we krwi. Nawet jeżeli ledwo poruszałem nogami, które ważyły więcej, niż jakby były z żelaza, rozpoznawałem więźniów stojących po obu stronach korytarza. Wszystko słyszałem. Zinê Sevda rzuciła się na kolana i rozłożyła ku mnie ramiona. Fryzjer Kamo chwycił strażnika za nadgarstek i cisnął nim o ścianę. Wokół było słycać krzyki i przekleństwa. Uderzyli Zinê Sevdę, rzucili się na Kamo. Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Z moich ust wydobywał się bełkot.

– Musiałeś się pomylić, Dayı Küheylan. Nie pomogłem dziewczynie. Co by to zmieniło? Każdy musi zmagać się ze swoim własnym cierpieniem. Ja myślę o sobie, nie mieszam się w sprawy innych. W tym świecie nikt nie zmniejszy niczyjego bólu. Tego jestem pewien. Nie zaatakowałem strażnika i nie próbowałem ochronić tej dziewczyny. Myśl, co chcesz. Nie obchodzi mnie to.

Czy żałował przysługi, którą wyświadczył? Przeszkadzało mu to, że troszczył się o bliźnich? Niektórzy uciekali przed samotnością, inni uciekali w samotność. Tak jak Fryzjer Kamo, który w tej wąskiej celi szukał schronienia. Mówił mało, nachylony patrzył na czubki swoich palców. Rozglądał się po ziemi, spoglądał na ściany, szukał dziury, pęknięcia, w którym mógłby się ukryć, potem znowu patrzył na czubki palców. Mówił sam do siebie: „Kurewski czas!”. Kiedy zasypiał, powtarzał te same słowa jak refren: „Kurewski czas!”.

W podziemnej celi nasze ruchy spowalniały, nasze ciała stawały się coraz cięższe. Umysł przyzwyczajony do pędu świata na górze był zdezorientowany, kiedy zmienił się rytm. Nawet własny głos brzmiał obco. Przy najmniejszym dźwięku drżały uszy. Wychudzone palce trzęsły się w ciemności, jakby nie należały do nas. Najtrudniejsze nie było to, że nie mogliśmy rozpoznać innych, tylko to, że nie poznawaliśmy samych siebie. Przez co przechodziliśmy? Ile jeszcze mogło wytrzymać to ciało, które opierało się bólowi z taką gorliwością? Czas, który rozciągał się wraz z zapachem zgnilizny, był naszym największym wrogiem. Jak pług orzący ziemię wbijał się w nasze ciała i za każdym razem coraz to bardziej je kiereszował.

Ciekawe, czy Fryzjer Kamo miał na myśli czas w celi, czy ten na zewnątrz. Kurewski czas to ten na górze, do którego szło się niewidzialnymi schodami? Nie było tam stacji kolejowych, zatłoczonych statków, ulic, którymi ludzie chodzili, ocierając się o siebie. Nie było też latarni, mostów i wież. Wszystko składało się z jednej wielkiej idei. A ona była z pędu i z niepokoju. Wszystko było jej odbiciem. Zaciągnięte zasłony, wyjście z pracy i place, na których umawiało się z ukochaną. Gdyby spadł deszcz i oczyścił miasto z całego brudu, wraz z pierwszymi promieniami słońca i tak wyłoniłaby się ta idea.

Czas, który działał bez zarzutów na porodówkach, na bocznych ulicach i w klubach nocnych, zabawiał się z tempem miasta. Człowiek zapominał o słońcu, księżycu i gwiazdach i żył tylko według wskazówek zegara. Godzina wyjścia do pracy, do szkoły, na spotkanie, jedzenia, wyjścia

z domu. Kiedy w końcu nadchodziła pora snu, nie miał już ani siły, ani ochoty, żeby myśleć o świecie. Dawał się zwieść ciemności. Pozwalał się ciągnąć przez jedną ideę, ideę ukrytą w każdym przedmiocie. Czym ona była i dokąd prowadziła? Żeby jego umysł nie musiał się mierzyć z tym pytaniem, człowiek wynajdował sobie małe przyjemności i próbował się im oddawać. Uciekał od ciężaru życia, spał spokojnie i dzięki temu przynosił ulgę swojemu umysłowi. Jego sercu też było lżej. Wierzył w to. Aż do momentu, kiedy jakaś wewnętrzna ściana zawałała się i miażdżyła mu serce. Był przerażony, kiedy sobie uświadamiał, że dźwięk dochodzący spod gruzów nie był biciem serca, tylko tykaniem zegara. Nie wiedział, co począć. Kurewski czas wreszcie nastanie, nieważne, czy się mu sprzeciwiało, czy nie. Przenikał przez ludzką skórę i wdzierał się do żył miasta.

Czy Fryzjer Kamo wierzył właśnie w taki czas? Dlatego siedział z pochyloną głową? Wzdychał i klął. Był ogarnięty niepokojem świata na górze i świata pod ziemią. Szukał przytulnego kąta, w którym mógłby zostać sam. Wierzył, że być może dotarł do końca życia, i patrzył nie w przyszłość, a w przeszłość. Oprawcy o tym wiedzieli. Mówili mi: „Starcze! Masz tyle tajemnic co twój kolega z celi? Twoja pamięć jest tak dobra jak pamięć Kamo?”.

Mnie też zastanawiały granice mojej pamięci, kiedy odczuwałem ból. Myślałem nie o tym, co wiedziałem, ale o tym, czego nie wiedziałem. Im bardziej chciałem zapomnieć, tym bardziej moja pamięć chciała pamiętać. Czasami krzyczałem, czasem milczałem. Za każdym razem mówiłem: „A więc to musi być granica bólu”. Potem ból się nasilał, a ja odkrywałem kolejne granice. Jakże dziwnym uczuciem było odkrywanie. Człowiek odkrywał także ból. Za każdym razem, kiedy rozszarpywano moje ciało i miażdżono kości, poznawałem nowy rodzaj cierpienia. Przesłuchujący żartowali: „Uważasz się za Jezusa na krzyżu?”. Miałem rozłożone ramiona, byłem przywiązany do grubej deski. Wisiałem. Pod moimi nogami znajdowała się pusta przestrzeń, a nad ramionami – nieskończoność. Byłem stałym punktem na niebie. Ziemia i gwiazdy krążyły wokół mnie. W bólu starałem się rozpoznać samego siebie. Przesłuchujący nabijali się: „Przelaliśmy krew wielu takich jak ty, napoiliśmy nią psy. To my przybiliśmy do krzyża Jezusa i obdarliśmy ze skóry Al-Halladża<sup>9</sup>. Nasza historia jest bardziej wzniosła niż wasza. Słyszałeś o anarchiście Edwardzie Jorrisie? Przybył do Stambułu, żeby zamordować sułtana Abdülhamida<sup>10</sup>, który odbywał piątkowe modły w meczecie Yıldız. Za każdym razem przejście od wyjścia z meczetu do wozu zajmowało mu minutę i czterdzieści dwie sekundy. Jorris wyliczył to i skonstruował bombę. W ten piątek jednak Abdülhamid zagadał się z najwyższym imamem i dzięki temu uratował się przed zamachem. Dwadzieścia sześć osób zginęło. Anarchistę złapano. Wiesz, co mu zrobiliśmy? Wbiliśmy gwoździe w jego kości i jeden po drugim wyrwaliśmy mu paznokcie. Zrobiliśmy z niego niewolnika. Skoro nawet Jezus poddał się bólowi, to co dopiero anarchista. Czyż Jezus, wydając ostatnie tchnienie, nie poskarżył się Bogu i nie powiedział: «Ojcze, dlaczego mnie opuściłeś?»? Każdy jest osamotniony w cierpieniu. Ty też w końcu pęknieiesz”.

<sup>9</sup> Mansur Al-Halladz (IX–X w.) – perski mistyk (sufi), teolog i męczennik islamu, bohater literatury mistycznej; symbol pełnej oddania miłości do Boga.

<sup>10</sup> Sułtan Abdülhamid II (1842–1918, okres panowania: 1876–1909) – trzydziesty czwarty sułtan Imperium Osmańskiego, znany jako „krwawy sułtan”, wprowadził despotyczne rządy, po kilku miesiącach od wstąpienia na tron zniósł konstytucję [Kanun-i Esasî](#), którą wcześniej sam ustanowił, a także rozwiązał parlament. W 1908 roku został zmuszony przez młodoturków do przywrócenia konstytucji. W 1909 roku zdeponowany ze względu na podejrzenia o organizację kontrewolucyjnego przewrotu.



Przytwierdzony do krzyża, z zawiązanymi oczami traciłem rozum. Świszczało mi w uszach, nie wiedziałem, gdzie jestem. Z daleka dobiegało wycie wilka. Ile dni, a raczej ile tygodni temu to było? Pewnej nocy, kiedy próbowałem przedrzeć się przez śnieg, zobaczyłem wilka. Rozchmurzyło się nad górą Haymana i jedna po drugiej wzeszły gwiazdy. Księżyc był w pełni. Wilk stał na górze, na skraju lasu, patrzył na mnie. Był sam. W jego oczach widziałem głód wszystkich wilków tego lasu. W ciemności nie znalazł nic innego oprócz mnie? Nie wywęszył żadnej sarny ani zająca? Z kieszeni płaszcza wyciągnąłem broń i złapałem za zimną rękojeść. Wycelowałem w jego stronę. Wiem, to był jego dom, jego góra. Ja byłem tylko przechodniem. Przed wschodem słońca musiałem dotrzeć do wsi po drugiej stronie wzniesienia.

Dowiedziałem się, że młodzieniec, którego znałem, został zraniony i przebywał w domu pasterza. Nie mogłem tracić czasu, musiałem zabrać tego chłopca ze wsi. Śnieg był głębszy w niektórych miejscach, ledwo szedłem. Coraz ciężiej stawiałem kroki, kuśtykałem. Wydawało mi się, że na plecach niosę kamienie. Moje ciało było jakby cięższe niż zwykle, pot spływał mi po karku.

Kiedy dotarłem na równinę, zatrzymałem się. Jeszcze raz zawiązałem sznurówki. Strzepnąłem śnieg z ubrania. Wilk, który mi się przyglądał, też czekał. Na ogonie miał biały puch. Jego wzrok był bystry. Zwierzak stał w bezruchu na szczycie. Czy on też miał trudności z poruszaniem się po śniegu? Patrząc na to, jak był wychudzony, nabrałem pewności, że dla niego ta zima też nie była łatwa. Nie zbliżał się do mnie ani nie oddalał. Dzielił nas dystans jednego strzału. Nie zrobiłbym mu krzywdy. Kiedy zaciskałem sznurówki, wziąłem do ręki broń, którą odłożyłem na śnieg, i włożyłem ją do kieszeni. Podniosłem puste ręce i pokazałem je wilkowi.

Uniosł głowę i zaczął wyć. Był gotowy pokonać każdego wroga albo umrzeć. Nie bał się niczego oprócz głodu. Echo jego głosu rozniosło się, przeszło las i niebo. Na tym szczycie przypominał skałę, która od wieków tam stała i opierała się wiatrom. Nie było silniejszego wilka od niego i oddechu bardziej śmierdzącego głodem niż jego oddech. Każdy musiał o tym wiedzieć i chylić przed nim czoła. Jego głos dotarł do najdalszych zakątków, spowił las i noc, dotarł do gwiazd.

Kiedy wilk przestał wyć, przyszła kolej na mnie. Tak jak on uniosłem głowę i krzyknąłem. Na wszystkie strony rozeszło się echo mojego głosu. Wyciągnąłem ręce w kierunku gwiazd. Ja też tu byłem, pod tym samym niebem. Gotowy pokonać każdego wroga albo zginąć. Krzychałem, póki się nie zmęczyłem. Potem odebrało mi dech. Rozcierając garść śniegu w dłoniach, pomyślałem: czy byłem człowiekiem, który napotkał wilka, czy też wilkiem, który śledził człowieka? Który z nas przed chwilą wył, zostawiając swój ślad pośród nocy? Mój oddech też pachniał głodem. Marzła mi szyja. Ten las był moim domem, czy też byłem tu tylko przechodniem?

Spojrzałem w niebo. Mój ojciec mówił, że w niebie też istnieje życie, które jest lustrzanym odbiciem naszego losu. Żyły tam sobowtóry nas wszystkich. Tamtejsi ludzie spali w dzień i budzili się w nocy. Marzli w ciepłe i grzali się w zimnie. W świetle nie widzieli niczego, a w ciemności dostrzegali nawet najdalej leżące przedmioty. Mężczyźni na tamtym świecie byli kobietami, a kobiety – mężczyznami. Lekceważyli jawę, przywiązywali wagę do snów. Lubili przytulać się do obcych. Nie wstydzili się ubóstwa, tylko dostatku. Śmiech był dla nich płaczem, a płacz – śmiechem. Po śmierci bliskich śpiewali i tańczyli. W dzieciństwie często patrzyłem w niebo, by zobaczyć tam swojego sobowtóra. Rozmyślałem, jaką byłem osobą w tamtym życiu. Teraz, w ciemności patrząc na las, zastanawiałem się, czy tam też istnieje inny świat. Kto wie, być może odbicie naszego życia istnieje również w lesie? Dlatego głos odbijał się echem?



To echo było równoległym głosem dochodzącym z tamtego świata. Między drzewami każdy człowiek miał swój odpowiednik ze świata zwierząt. Niektórzy byli sarnami, inni – wężami. Może tam byłem wilkiem? Dzikim, samotnym i wychudzonym wilkiem. Teraz, w tę śnieżną noc, wykończony z głodu przyglądałem się starcowi.

Zmrożone niebo przypominało szkło, ze wszystkich stron tryskał granatowy kolor. Spojrzałem na wilka. Tak jak ja, trochę odpoczął. Oddychał spokojniej. Nie należy się ociągać, trzeba iść dalej. Znowu zaczęliśmy kroczyć. Podczas gdy zostawialiśmy na śniegu głębokie ślady, nasze oczy były wpatrzone w horyzont. Wiedzieliśmy, że za tym wzgórzem wyłoni się następne i że na każdym wiał inny rodzaj wiatru. Przyzwyczailiśmy się do samotności. Tak jak spadające gwiazdy, dzisiaj byliśmy, a jutro mogło nas nie być. Dlatego też lubiliśmy iść obok nieznanego. W świetle księżyca nasze cienie wystarczały nam za pewnik, że możemy sobie ufać. Wracać też będziemy razem? Znowu będziemy spacerować pod tym samym niebem? Jak tylko dotrę do domu pasterza, kupię mięso i w drodze powrotnej rzucę je wilkowi. Dlatego tak bardzo się śpieszyłem.

Bez chwili przerwy, ze spoconymi plecami przemierzyłem górę Haymana i przed świtem dotarłem do wsi. Kiedy zobaczyłem dom pasterza, zatrzymałem się i rozejrzałem dookoła. Wieś była pogrążona we śnie. Z kominów wylaniały się wąskie smugi dymu. Dachy pokrywał śnieg. Tylko na drodze było pełno śladów. Odciski kopyt byków, psich łap i butów pomieszały się ze sobą. W oknie pasterza migotało nagle światło. Musiał zostawić zapaloną lampę gazową. To był nasz znak. Gdyby nie było światła w oknie, oznaczałoby to, że coś poszło nie tak. Obróciłem się i spojrzałem za siebie. Wilk stał w oddali i mi się przyglądał. Jak tylko wyczuł zapach psów, nie chciał podejść bliżej. Czekał na granicy swojego świata, choć wokół nie było żadnego psa. Albo schroniły się przed zimnem w stodole, albo były bliżej centrum wsi. Przyglądając się śladom na śniegu, podszedłem do domu. Obejrzałem się dookoła, sprawdzając, czy wśród odcisków butów o gumowych podszewkach były też ślady żołnierskich oficerów. Nie zauważyłem niczego podejrzanego. Zatrzymałem się i wachałem powietrze. Sprawdziłem wzgórze naprzeciwko. Skąd mogłem wiedzieć, że żołnierze na mnie czekali? Jak mogłem się zorientować, że już poprzedniej nocy zastawili na mnie zasadzkę? Jedyнным znakiem była nieobecność psów. Ale to mnie nie zaniepokoiło. Zaufałem światłu w oknie. Zawierzyłem mu, porzuciwszy rozum. Bez zwłoki chciałem odebrać rannego i oddalić się przed wschodem słońca. Ale jak tylko wszedłem na dziedziniec, dotarłem do końca swojej drogi. Żołnierze, którzy ukrywali się za ścianą, rzucili się na mnie, nie zdążyłem nawet wyciągnąć broni z kieszeni. Powalili mnie na ziemię i uderzyli lufą w głowę. Związali mi ręce i zawlekli do domu.

Wyplułem krew i krzyknąłem. Ze złości miałem łzy w oczach. Nie mogłem uwierzyć, że tak łatwo wpadłem w zasadzkę i dałem się złapać. Próbowałem się wyrwać, nogami wywróciłem czajnik na herbatę, który stał na podłodze. Rozejrzałem się, starając się dowiedzieć, kto mógł mnie wydać. Nie widziałem pasterza i nie wyglądało, by ktokolwiek był ranny. Z pomieszczenia obok żołnierze wyprowadzili wysokiego mężczyznę. Wskazując na mnie, zapytali: „To ten?”. „Tak, to on”, odpowiedział. Po chwili namysłu przypomniałem sobie. W zeszłym roku zabrałem go z tego domu i zaprowadziłem do grupy, z którą miał się spotkać w górach. Przytaknął, kiedy spytali, czy to ja przywoziłem rzeczy ze Stambułu. „Stambuł zna jak własną kieszeń”, dodał.

Stambuł? Jak to? Kiedy w zeszłym roku prowadziłem młodzieńca na miejsce spotkania, ucieliśmy sobie pogawędkę. Jak zwykle sprowadziłem rozmowę na temat Stambułu. Pragnąłem dowiedzieć się nowych rzeczy i poznać miasto widziane świeżym okiem. Kiedy mówił o Złotym Rogu, opowiedziałem o zawieszonych nad nim mostach, a gdy on wspominał szerokie ulice

pełne witryn sklepowych, zwróciłem uwagę na place położone na ich końcach. Czyli sądził, że to ja nawiązałem kontakt ze znajomymi w Stambule, albo gdy musiał podać jakieś imię, tylko moje przyszło mu na myśl. Odpowiedziałem: „Kłamstwo!”, ale żołnierze mi nie uwierzyli. Pobili mnie, zadali mi mnóstwo krwawych ran. Przez dwa tygodnie oprócz wypytywania o adres i imię kontaktu, rozkładali przede mną plan Stambułu i kazali mi zaznaczyć dzielnicę i ulicę. Chcieli, żebym wyjawiał wszystkie sekrety związane z miastem. Powiedziałem to, co jest powszechnie znane. Opowiedziałem o przystaniach z drewnianymi budynkami, wieżowcach ze szkła i ogrodach, w których rosły judaszowce. Pokazałem im miejsca, z których było widać najpiękniejszy zachód słońca, i parki, w których mimo tłoku można spokojnie usiąść po wyjściu z pracy, a których było coraz mniej. Mówiłem o światłach, które w nocy przypominają świetliki. Wyznałem: „Stambulczycy tracą wiarę w swoje miasto, ale ja nadal wierzę w Stambuł”.

Każde miasto pragnie podboju, a każda epoka wydaje zdobywcę. Ja byłem zdobywcą marzeń. Wierzyłem w Stambuł i żyłem marzeniem o nim. Brak nadziei rozprzestrzenił się jak plaga. Potrzebowali mnie tam. Czekali na mnie. Byłem gotowy poświęcić swoje ciało, żeby oddać duszę za Stambuł. Cierpienie było odbiciem mojej miłości. Kiedy Jezus wskrzesił umarłego, nie przywrócił duszy nieżywemu ciału, tylko przypomniał człowiekowi o nieśmiertelności, bo zapomniał o tym, że jest nieśmiertelny. Ja też musiałem przypomnieć wiecznemu miastu o jego nieśmiertelności. Jeżeli będzie trzeba, mogłem zostać ukrzyżowany i zebrać cierpienia wszystkich w swoim ciele. Stambuł, którego piękno z dnia na dzień niszczone, mnie potrzebował.

Wilk, który towarzyszył mi nocą, kiedy brnąłem w śniegu, podarował mi swój czas. Jak mój ojciec, który nocami opowiadał mi historie i łączył swój czas z moim. Nie byłem w stanie zapomnieć ani o opowieściach ojca, ani o wilku. W pełni świadomy tego pragnąłem pojechać do Stambułu i zrobić tam swój ostatni krok. Powiedziałem: „Jeżeli zawieziecie mnie do Stambułu, pokażę wam miejsca, które chcecie poznać, i wyjawię wam tajemnice, których żądacie”. Jeżeli miałem cierpieć, to w Stambule. Jeżeli miałem umrzeć, to w Stambule.

Nie oceniałem celi, w której mnie umieścili. Czuję się w niej jak w domu. Wydawała mi się nieskończona. Za jej ścianami rozciągało się morze i ulice, i kolejne mury. Każda ściana oddzielała mnie od ulicy, a każda ulica prowadziła do morza. Leżały tuż obok siebie. Cierpienie po jednej stronie, po drugiej zmieniało się w szczęście, a łzy – w śmiech. Smutek, zmartwienie i radość były nierozłączne jak kocięta wtulone w siebie. Wraz ze zbliżającą się śmiercią życie nagle się odradza. Wieczność jest krótsza niż chwila. Teraz byłem właśnie w tym miejscu. Czuję morze rozciągające się za ścianą, o nie się opierałem, znałem ulice prowadzące do niego. Słuchałem wewnętrznego głosu. Byłem bardziej przywiązany do tego, czego nie widziałem, niż do tego, co widoczne; jak zresztą wszyscy.

Kiedy Fryzjer Kamo zaczął kaszleć, odwróciłem wzrok i spojrzałem do środka. Zdałem sobie sprawę, że zmarłem. Popatrzyłem na Doktora i Studenta. Ich twarze były ledwo widoczne w ciemnościach. Ich oddechy miały ciężki, wyrazisty zapach. Oni też skostnieli. Aby się ogrzać, wsadzili dłonie pod pachy.

Kiedy Fryzjer Kamo przestał kaszleć, podniósł głowę z kolan. Rozglądnął się dookoła tak jak dziecko, które obudziło się w nieznanym pokoju.

– Wszystko w porządku? – zapytał Doktor.

Kamo nie odpowiedział. Położył się, by się doczołgać do pojemnika z wodą obok drzwi. Wytarł usta dłonią.

– Kamo, wszystko w porządku? – powtórzyłem pytanie Doktora.

Nawet gdyby coś go bolało, nie przyznałby się. Jego brwi nadały twarzy łagodny wyraz.

– Dayı Küheylan, lubisz wilki? – zapytał.

Przyśnił mu się wilk? Pytał o wilka, który towarzyszył mi zimowej nocy, czy o wilka, który w opowieści o myśliwych zjadł młodzieńca?

– Lubię – odpowiedziałem.

Zwrócił twarz ku smudze światła. Zapatrzył się w jeden punkt, nie mrugnawszy nawet powieką. Z wyrazem zadowolenia, które od dawna nie gościło na jego twarzy, powiedział:

– Gdybym był wilkiem, zjadłbym was wszystkich.

Nie wiedzieliśmy, czy mieliśmy zacząć się śmiać, czy bać.

– Zgłodniałeś. Zostało trochę chleba. Podać ci go?

– I tak bym was zjadł.

Mówił bez odrywania wzroku od światła. Cokolwiek mu się przyśniło, był zdeterminowany.

– Dlaczego? – dopytywałem.

– Dayı Küheylan, czy na wszystko musi być odpowiedź? Ale jeżeli ci ulży, podam jeden powód. Opowiadasz historie, które dzieją się zimą. Pada śnieg, myśliwych łapie burza śnieżna. Ta cela i tak jest zimna jak diabli, ale ty zamieniasz ją w lód. Kiedy jest mi bardzo zimno, nie zostawiasz mi innego wyboru, muszę zamienić się w wilka. Chcę was rozerwać na strzępy i zjeść.

Czy czuł zapach krwi, który unosił się w celi, wydobywał się z naszych włosów, twarzy, karków? Gdy swędziały go zęby trzonowe, nachodziła go ochota na nasze poranione ciała? Uśmiechnąłem się sam do siebie. Zwróciłem twarz w stronę światła i tak jak on skupiłem wzrok na jednym punkcie. Jeżeli w każdym człowieku znajdowała się ciemna przepaść, Kamo stał na skraju swojej. Patrzył w niekończącą się pustkę, nawet w blasku widział tylko ciemność. Dlatego lekceważył cierpienie. Jadł mało, pił niewiele. Zbierał słowa w pamięci i wołał pozostać spragniony. Lubił ciemność i sen. Zamykał oczy i jakby pogrążony w ogłuszającym wyciu, zamykał się w sobie. Kiedy patrzył na nasze twarze, od razu zauważał w nich światło i współczuł nam. Żałował nas. Może bez przerwy zadawał sobie te same pytania: czy przeznaczenie przypominało linię narysowaną na ścianie? Czy tak jak nie można było jej zmasać, tak samo nie można było zmienić przeznaczenia?

– Dayı Küheylan, dobrze się czujesz? – zapytał Doktor. – Odpłynąłeś...

Odpłynąłem? Sam nie wiedziałem, co mi chodziło po głowie.

– Ach, myślałem o Stambule. Tym nad nami – odpowiedziałem.

– O Stambule?

Kiedy gubiłem myśli albo chciałem zmienić temat, pierwszym, co przychodziło mi do głowy, był Stambuł.

– Jak stąd wyjdę, najpierw wybiorę się na most Galata. Zatrzymam się przy siedzących tam rybakach i będę patrzył na Bosfor. Potem rozejrzę się za swoim sobowtórem, który wie tam inne życie.

– Twoim sobowtórem? – zapytał Doktor.

– Co znaczy „inne życie”? – dołączył się Student Demirtay.

– Gdybym urodził się w mieście – odparłem – jak wyglądałoby moje życie? Istnieje odpowiedź na to pytanie, bo tam mieszka mój sobowtór. Wy zawsze opowiadacie znane historie. Ale to jest opowieść, której nie znacie.

Spojrzeli na mnie z zaciekawieniem.

– Doprawdy?

– Na ile poznaliście Stambuł i cierpienie, na tyle też znacie mnie. Ale w waszej wiedzy są braki.

– Opowiedz w takim razie, dowiedzmy się wszystkiego.

– Dobrze – odrzekłem. – Wieczorami w naszej małej wsi ojciec pokazywał nam niebo. Mówił, że tam też istnieje życie. Że na górze jest lustrzane odbicie naszego świata. Żyje tam sobowtór każdego z nas. W nocy często wychodziłem z łóżka i z okna przyglądałem się niebu. Zastanawiałem się, co teraz robi mój sobowtór. Kiedy ojciec zostawiał nas i wyjeżdżał do miasta, jeszcze częściej wpatrywałem się w niebo. Wydawało mi się, że historie, które opowiadał po powrocie ze Stambułu, należały do tego innego życia. Być może Stambuł był miastem w niebie, w którym żyli ludzie będący naszymi odbiciami. Ojciec jechał tam, by z nimi się spotkać. Kochał dziecko będące moim sobowtórem i opowiadał mu historie o życiu na wsi. Skoro dziecko w Stambule żyło jak ja i robiło to, o czym marzyłem, pewnego dnia pomyślałem: jeżeli w Stambule mieszkało moje odbicie, ja byłem jego wersją na wsi. Ono też musiało się zastanawiać, kim jestem. Kiedy sobie z tego zdałem sprawę, zacząłem żyć dla tego dziecka. Starłem się robić rzeczy, których ono nie mogłoby robić w mieście: łowiłem ryby w rzece, zbierałem dzikie śliwki w górach. Kilka razy opatrzyłem ranne zwierzę i pomogłem starszej kobiecie nieść ciężki pakunek. Odkąd zrozumiałem, że każdy człowiek żyje dla kogoś innego, zawsze myślałem dwa razy, zanim cokolwiek zrobiłem. Przypominałem sobie, że kiedy się śmiałem, ta osoba płakała, a kiedy ona płakała, ja się śmiałem. Uzupełnialiśmy się nawzajem. Byłem chłopcem, a ona dziewczynką. Chcecie, żebym opowiedział wam historię tej dziewczynki?

– Chcemy, opowiedz.

– Najpierw wypijmy herbatę. Musiało wam zaschnąć w gardle.

Nachyliłem się. Podniosłem rękę, jakbym trzymał czajnik, i napełniłem niewidzialne szklanki. Jak gdyby herbata była gorąca, każdemu podałem naczynie, trzymając za rant końcówkami palców. Potem podałem cukier. Herbata była mocna, unosiła się znad niej para. Powoli wymieszałem cukier. Zrobili to samo. Kiedy Student Demirtay zaczął mieszać za szybko, dałem mu znak, by zwolnił. Dźwięk łyżeczki uderzającej o szklankę mógłby dotrzeć do strażników przechadzających się po korytarzu. Demirtay się uśmiechnął. Ten uśmiech, ta herbata i te opowieści były odkryciem tutejszego życia.

Dzień piąty

• *Opowiada Student Demirtay*

## ŚWIATŁA NOCY

– To było podczas wojny. Opowieści wojenne są z reguły długie, ale ja wam streszczę tę historię. Jeden z oddziałów żołnierzy był wyczerpany trwającymi od tygodni starciami. Skończyły im się zapasy jedzenia, stracili kontakt z innymi na froncie. Zrezygnowali więc z walki i zaczęli szukać drogi ucieczki. Po godzinnej wędrówce w ciemności dotarli na polanę. Napili się wody z jeziora i zebrali jeżyny. Nie mogli upolować żadnego jelenia, bo huk zdradziłby ich położenie. Po krótkiej drzemce wdrapali się na stromą górę. Szli nocą, w ciągu dnia spali pośród skał. Nie rozpalali ogniska, na surowo jedli złapanę węże i jaszczurki. Gdyby ktoś im obiecał, że zostaną przy życiu, byliby gotowi poddać się wrogowi za jeden ciepły posiłek. Czy ich armia całkowicie się rozproszyła? Z kim i jak mieli się skontaktować? Nie znaleźli żadnych znaków. Nie mogli zapytać we wsiach, bo wszystkie znajdowały się pod kontrolą wroga. To długa historia, ale ją skrócę. W zmniejszonym składzie po trzech dniach udało im się przejść jeszcze jedną górę. Zmęczeni położyli się i zasnęli w słońcu. Wieczorem, po kąpieli w chłodnej wodzie doszli trochę do siebie i spróbowali się zorientować, gdzie się znajdują. Żołnierz ze złotym zębem, wskazując na dolinę, powiedział, że była tam wieś. Zatrzymali się jak dzieci zagubione w ciemności, przełknęli ślinę i spojrzeli w tamtą stronę. Światła migotały jak świetliki. Żołnierz ze złotym zębem oznajmił, że może się tam udać i przynieść coś do jedzenia. Dowódca się sprzeciwił. Mogli zostać złapani i zabici. Żołnierz ze złotym zębem odpowiedział: „I tak jesteśmy już bliscy śmierci. Jeżeli mi się uda, przyniosę nie tylko jedzenie, ale też informacje o naszych oddziałach i położeniu wroga”. Wszyscy poparli jego pomysł. Pożegnał się z przyjaciółmi, zszedł w dół doliny i zniknął w ciemności. Niebo trzy razy zmieniło kolor, przechodząc z granatu w czerwień. Nad ranem żołnierz ze złotym zębem wyszedł zza gór z dwoma workami na plecach. Na pytania zaciekawionych przyjaciół odparł: „Mam sporo do opowiedzenia. Niech wszyscy usiądą”. Zrzucił worki i zaczął: „Jest tam pełno wrogów. Ale nie znają mojej wsi tak dobrze jak ja. Dostałem się do swojego domu niezauważony przez nikogo. Zapukałem do drzwi. Moja żona prawie krzyknęła, ujrawszy mnie w progu. Zasłoniłem jej usta i uspokoiłem ją. Co stało się potem?”. Kiedy żołnierz ze złotym zębem zadał to pytanie, włożył rękę do worka i wyciągnął kawałek sera. „Kto zna odpowiedź, dostanie w nagrodę ser”. Żołnierze, których oddech śmierdział z głodu, zgadywali z podekscytowaniem. Jeden z nich powiedział: „Zapytałeś o liczbę wrogów”. Drugi dodał: „O położenie naszych wojsk”. Podczas gdy padały coraz to nowe odpowiedzi, siedzący z tyłu żołnierz ze Stambułu podniósł rękę i powiedział: „Przespałeś się ze swoją żoną”. Żołnierz ze złotym zębem, śmiejąc się, rzucił ser w jego stronę. Podniosły się zdziwione głosy, pojawiły się uśmiechy. Następnie żołnierz wyciągnął z worka burek<sup>11</sup> i powiedział: „To dla tego, który zgadnie, co się stało potem”. Ktoś odrzekł: „Tym razem zapytałeś o naszych żołnierzy”. Ktoś inny: „O zdrowie dzieci”. Żołnierz ze Stambułu znowu podniósł rękę. Tacy jak on, zarówno w armii, jak i w szkole, zawsze siedzą z tyłu. Powiedział: „Jeszcze raz przeleciałeś swoją żoną”. Żołnierz ze złotym zębem, śmiejąc się, oddał mu również burek. Tym razem z worka wyciągnął pieczonego kurczaka i pomachał nim w powietrzu. Powiedział: „Ten, kto wie, co zrobiłem potem, dostanie kurczaka”. Wszyscy zawołali jednym głosem, jak na porannych ćwiczeniach: „Znowu przespałeś się ze swoją żoną!”. Żołnierz ze złotym zębem nie przestawał się śmiać.



Powiedział: „Nie, potem ściągnąłem oficerki”.

11 Burek – rodzaj nadziewanego pieczywa wykonanego z ciasta filo lub yufka, popularny w krajach basenu Morza Śródziemnego i na Bliskim Wschodzie.

Powtórzyłem ostatnie zdanie:

– Nie, potem ściągnąłem oficerki – i zasłaniając usta, zacząłem się śmiać. Doktor i Dayı Küheylan też się śmiali, trzęsły się im barki. Nie wydawaliśmy dźwięków, ale ściany, o które byliśmy oparci, drżały pod wpływem naszych ciał. Przypominaliśmy dzieci, które zrobiły jakiś psikus i potajemnie chichotały, schowawszy się w kącie, w którym nie znajdują ich rodzice. Oczy błyszczały nam ze szczęścia. Umiejętność rozśmieszenia kogoś była jednym z dowodów, że się go poznało. Jeśli chodzi o Fryzjera Kamo, wiedzieliśmy, z czego nie będzie się śmiał. Miał niezadowoloną minę. Patrzył na nas ze znużeniem, nie pojmując, co tak nas rozbawiło.

– Długo się śmialiśmy, czy może stać nam się coś złego? – powiedziałem, kiedy trochę się uspokoiłem.

– Coś złego? Czy tutaj stanie nam się coś złego od śmiechu? – odpowiedział Doktor.

Znowu zaczęliśmy się śmiać. Człowiek zapominał o przyszłości i nie przejmował się niczym w dwóch przypadkach: kiedy był pijany i kiedy się śmiał. Czas zatrzymywał się zarówno podczas cierpienia, jak i podczas śmiechu. Przeszłość i przyszłość znikały, a chwila stawała się nieskończonością.

Zmęczyliśmy się śmiechem. Uspokoiłiśmy się. Starliśmy łyzy z policzków.

– Słyszałem już kiedyś tę historię o żołnierzach, ale w mojej wersji nie ma nikogo ze Stambułu. Akcja dzieje się w Rosji – powiedział Dayı Küheylan.

– Tutaj w każdej historii pojawia się Stambuł – odpowiedział za mnie Doktor.

– Nie tylko opowiadacie znane historie, lecz także zmieniacie je i nadajecie im kształt, jaki wam się podoba.

– Dayı Küheylan, czy twój ojciec nie robił tego samego? Czy nie wypuszczał stambulskich marynarzy na ocean w poszukiwaniu białego wieloryba, czy nie przyprowadzał myśliwych z opowieści o wilku do Stambułu?

Doktor i Dayı Küheylan pochłonięci byli rozmową o żołnierzach, marynarzach i myśliwych. Rozmawiali o drodze nadmorskiej, której powstanie zniszczyło starą wioskę rybacką w Kumkapı, o drzewach judaszowca, które znikały jedno po drugim znad brzegów Bosforu, o tym jak zburzono czterechsetletni meczet Ilyaszade będący dziełem architekta Mimara Sinana i w jego miejsce zbudowano stację benzynową, a także jak tysiąc lat temu podczas trzęsienia ziemi najbliższa brzegom Bosforu wyspa zapadła się pod wodę jak Atlantyda. Nagle zapytali:

– Czy Stambuł też jest wyspą?

Według Doktora Stambuł był wyspą rosnącą razem ze swoimi grzechami, które pewnego dnia doprowadzą go do zguby. Grzechy zmieniały się tu z dnia na dzień. Dlatego miasto nie było miejscem w pełni poznanym, lecz takim, o którym każdego dnia można się było dowiedzieć czegoś nowego. Jego tajemnice prowokowały chęć zmiany i przywiązania się do przyszłości. Kiedy terażniejszość stawała się coraz mniej jasna, prawda także robiła się mniej oczywista i zastępowały ją symbole. Miejsce gór zajmowały budynki, a łąk – balkony z kwiatami. Miłość zamieniała się w mokre, owłosione, niezaspokojone zwierzę poszukujące coraz to nowych smaków.

Dayı Küheylan sprzeciwił się i stwierdził, że symbole są prawdziwsze od samej prawdy. Człowiek, który rodził się wbrew własnej woli, nie był zobowiązany odkryć sens swojego jestestwa, ale go stworzyć. Góra, kiedy nas tu nie było, była górą, podobnie jak drzewo



drzewem. Ale miasto, stal, elektryczność czy telefon nie mogłyby istnieć bez nas. Człowiek, który z dźwięków stworzył muzykę, a z cyfr matematykę, wraz ze zbudowaniem miasta zapoczątkował nową epokę. Oddalając się od zewnętrznej natury, zbliżał się do swojej własnej. Zamiast wierzyć pagórkom, uwierzył niekończącym się dachom, zamiast rzekom – zatłoczonym ulicom, a zamiast gwiazdom – światłom migoczącym ze wszystkich stron.

A w co ja wierzyłem – w gwiazdy czy światła miasta? W zeszłym miesiącu, kiedy patrzyłem w niebo z okien domu na Hisarüstü, w którym się ukrywałem, właśnie to zaprzętało moje myśli: gdzie kończyły się gwiazdy, a gdzie zaczynały światła miasta? W przerwie od czytania książek wpatrywałem się w Drogę Mleczną i zaczynałem marzyć, a potem zastanawiałem się, czy migoczące światła naprawdę były częścią tej Drogi.

Przez pierwszych kilka dni w domu na Hisarüstü nie byłem sam, była tam ze mną Abła Yasemin<sup>12</sup>. Nie znałem jej prawdziwego imienia, ja także przedstawiłem się jako Yusuf. Kiedy mieliśmy się spotkać w parku Gezi na Taksimie, umówiliśmy się na znaki rozpoznawcze: ja poznałem ją po zielonym szalu, a ona mnie po czasopiśmie sportowym w ręku. Wyglądała na pięć czy sześć lat starszą ode mnie. „Yusuf, zatrzymamy się tu na kilka dni. Sąsiedzi mnie znają. Jeżeli ktoś zapyta, powiemy, że jesteśmy rodzeństwem. Ale mimo wszystko staraj się nie rzucać w oczy”, powiedziała, kiedy dotarliśmy do domu.

<sup>12</sup> Abła (tur.) – dosł. „starsza siostra”; słowo używane w języku codziennym jako wyraz szacunku w stosunku do dziewczyny lub kobiety starszej o kilka lat.

Dom był jednopokojowym *gecekondu*<sup>13</sup>. Przy wejściu znajdowała się mała łazienka. Kuchnię stanowił piec w pokoju, w którym mieszkaliśmy. Przed snem przebraliśmy się po kolei w łazience. Zasnęliśmy na dwóch osobnych tapczanach. Nie minęło dużo czasu, kiedy obudził mnie zapach palącej się zapałki. Otworzyłem oczy. Zobaczyłem Ablę Yasemin z papierosem w ręce. Siedziała przy oknie i patrzyła na zewnątrz.

<sup>13</sup> Gecekondu (tur.) – dosł. „postawiony w jedną noc”; słowo oznaczające dom zbudowany szybko, bez odpowiednich uprawnień.

„Nie możesz zasnąć?”, zapytałem.

„Nie udaje się nam nawiązać kontaktu z jednym z przyjaciół. Wczoraj nie przyszedł na dwa umówione spotkania. Myślałam o nim”.

„Wie o tym domu?”, zapytałem bez zastanowienia.

„Jak go złapią, może im podać tylko jeden adres. Tamto miejsce opuściliśmy wczoraj. O tym nie wie”.

„Tak tylko zapytałem”.

„Yusuf, nie ma nic złego w tym, że o tym pomyślałeś”.

Wyszedłem z łóżka i podszedłem do niej. Usiadłem na krześle po drugiej stronie stołu. Też zapaliłem papierosa.

„Abła Yasemin, czy kiedykolwiek trafiłaś za kratki?”, spytałem, starając się nie okazać zdenerwowania

„Nigdy. A ty?”.

„Ja też nie”.

Dom był położony na wzgórzu. W dole rozciągały się *gecekondu*<sup>14</sup>, latarnie uliczne sięgały morza i blask, jakie rzucały, mieszał się ze światłami przepływających statków i łodzi. To było jedno z najpiękniejszych wybrzeży Stambułu. Naprzeciw drogich willi i wieżowców znajdowało się skupisko malutkich domków.

#### 14 Liczba mnoga od *gecekodu*.

Zaparzyliśmy herbatę i przesiadaliśmy tak do rana. Nie rozmawialiśmy o polityce, tylko o książkach i o naszych marzeniach. Pozazdrościłem Ablu Yasemin, że znała tyle wierszy i potrafiła dopowiedzieć wers do każdego słowa, które wymyśliłem. Na przykład kiedy powiedziałem: „Morze”, ona wyszeptwała: „Wolny człowieku! Morze zawsze będziesz kochać najpiękniejszą miłością”. Gdy rzekłem: „Zegar”, ona: „Budzik! Przynoszący pecha, beztroski, paskudny bożek!”. Śmiała się jak uczennica, która zawsze dostaje dobre stopnie. Zgasiliśmy światło, jej twarz promieniała w świetle latarni. O świcie, kiedy mgła pojawia się w miejsce czerwieni wschodu słońca, położyliśmy się do łóżek. Zasnęliśmy, nie zwracając uwagi na mewy i kruki.

Abla Yasemin wyszła koło południa. Po zmroku wróciła z torbą pełną jedzenia.

„Yusuf, nadal nie ma żadnych wiadomości od naszego zaginionego przyjaciela. Jutro wyjeżdżam z miasta, wrócę najpóźniej za trzy dni”.

„A co ze mną?”.

„Przyniosłam ci jedzenie. Jeżeli nie pojawię się do wieczora trzeciego dnia, wynieś się z tego domu. Nie pozostaw po sobie żadnych śladów”.

Abla Yasemin zagrzała wodę na piecu i umyła się w łazience. Wyszła ubrana w piżamę.

„Umiesz szyć?”, zapytała, kiedy zobaczyła, że próbuję zacerować rozdarcie w marynarce.

„Nie”, odparłem.

„W takim razie zostaw, ja to zszyję. A ty w tym czasie zaciśnij haczyk w moim kolczyku”.

Porównałem dwa kolczyki z bursztynami, żeby zobaczyć, jak naprawić zepsute zapięcie. Nie chcąc uszkodzić bursztynu, powoli operowałem szczyrzykiem.

„Lubisz robotki ręczne?”, zapytała, cerując dziurę w rękawie mojej marynarki.

„Nie bardzo. A ty?”.

„Jestem krawcową. Lubię dotykać, ciąć i zszywać materiał. Sama uszyłam sobie piżamę i sukienkę”.

Spojrzałem na sukienkę wiszącą na ścianie. Miała rozpinany dekolt, pasek i sięgała do kolan. Kolor kwiatków na materiale pasował do koloru kolczyków.

„Wstań. Przymierz marynarkę”, powiedziała Abla Yasemin.

Założyłem, poruszyłem ramionami w przód i na boki. Podziękowałem. Kobieta podeszła i poprawiła pognieciony kołnierzyk.

„Jakby nie było, masz dużo czasu. Do mojego powrotu wyprasuj ją”.

„Wedle rozkazu”, odpowiedziałem z uśmiechem na twarzy.

„To nie rozkaz, to prośba”.

Jej włosy były mokre, pachniały różami. Czuć było od niej świeżość po właśnie wziętej kąpieli. Powoli wstała. Sięgnęła po czajnik z pieca i napełniła szklanki.

Lubiła mówić. Opowiedziała mi o ubogim domu, w którym spędziła dzieciństwo, i o świecie, który oglądała z malutkich okien tego domu. Znowu wyrecytowała wersy do każdego z moich słów. Podlała pelargonie na oknie. Podczas gdy jedna z roślin wypuszczała pączki, na drugiej kwiaty właśnie wędły. Powiedziała, że jak wróci, podleje też rośliny w ogrodzie. Byliśmy tak pochłonięci rozmową, że noc upłynęła nam między słowami a kwiatami jak woda wyciekająca z rozbitej butelki. Nie zauważyliśmy nawet, kiedy nastał świt, a gwiazdy zniknęły.

Gdy po krótkiej chwili obudził mnie deszcz, jej już nie było. Wyszła po cichu.

Usiadłem przy oknie i zapaliłem papierosa.

Na zewnątrz rozpętała się burza. Zerwał się wicher. Morze w okolicach Stambułu było przerażające, jakby w gniewie, i dzień zamienił się w noc. Chmury pociemniały, zaczęły przypominać te z obrazów olejnych. Jednym ze statków płynących po Bosforze miały fale, które spychały go w kierunku brzegu. Rzuciło nim z jednej strony wybrzeża na drugą, kapitan włączył w rozpacz syreny alarmowe. W każdym momencie statek mógł zatonać, pochłonięty przez wodę. Dźwięk sygnału alarmowego mieszał się z odgłosami deszczu, wiatru i fal. Może gdy załoga patrzyła w niebo i modliła się o życie, pijacy, żebracy i mordercy siedzący na brzegu błagali, żeby statek mógł ich zabrać ze sobą na dno. Utonięcie razem z łajbą było najlepszym rodzajem śmierci. Morze, które raz po raz coraz mocniej wywijało batem, pienilo się jak nieokiełznane, dzikie konie. Abła Yasemin wybrała idealną pogodę, żeby wyjść. A może to burza czekała na nią, aż wyjdzie z domu, a statek dotrze do Bosforu. Kiedy deszcz i wiatr porwały ostatnie liście kwiatów w ogródku, ulice opustoszały. Psy i bezdomni schronili się w gruzach wyburzonych budynków. Podczas gdy Stambuł, któremu kręciło się w głowie z głodu i rozpusty, rozłożył ramiona i czekał, załoga, która na zmianę błagała o litość boga burzy i przeklinała go, nie wyobrażała sobie innego miejsca pochówku niż morskie głębiny. Co było lepsze w sytuacji bez wyjścia – poddać się przeznaczeniu czy mu złorzeczyć? Burza sprawiła, że zacząłem się nad tym zastanawiać. Podczas gdy niektóre z lilii i pelargonii za oknem więdły, inne przy tej samej ilości wody i pogodzie rozkwitały.

Właśnie wtedy zauważyłem kolczyk z bursztynem. Leżał, nieporuszony przez deszcz i wiatr, na zewnątrz, między dwiema doniczkami. To był ten kolczyk, który naprawiłem wczoraj w nocy. Gdzie w takim razie podział się drugi? Szukałem wszędzie – sprawdziłem na tapczanie i przy wejściu. Rzuciłem okiem na półkę przy lustrze w łazience. Czyżby Abła Yasemin zapomniała o jednym kolczyku, kiedy zbierała swoje rzeczy? Wyszła w takim pośpiechu?

Usiadłem na tapczanie i uniosłem kolczyk. Był jak żółte winogrono. Srebrny bigiel zwisał w powietrzu. Przez środek kamyka przechodziły wąskie pomarańczowobrazowe fale i odbijały promienie słońca. Patrzyłem na kolczyk – taki jak wszystkie, które od lat wisiały na kobiecych uszach i były wystawiane w witrynach sklepowych – jakbym widział go pierwszy raz w życiu. W jaki sposób nasz umysł dokonywał wyborów? Kiedy człowiek zdawał sobie sprawę z istnienia danego przedmiotu?

Tak jak nigdy wcześniej nie zwracałem uwagi na kolczyki, być może któregoś dnia szedłem z Ablą Yasemin po tej samej ulicy i jej również nie zauważyłem. Może był to deszczowy dzień, taki jak dziś. Ludzie, chowający się pod parasolami i gnający wzdłuż budynków, przechodzili obok dziewcząt śpiewających piosenki przy wejściach do pasaży. Niektórzy myśleli o ukochanych, którzy ich opuścili, inni o swoich dzieciach, którym nie udało im się przemówić do rozumu. Wszyscy posługiwali się tym samym językiem, ale nie rozumieli się nawzajem. W każdym umyśle istniały inne umysły. W czasie deszczu Stambuł zamieniał się w las pełen drzew o nagich gałęziach. Dookoła panował zgiełk, każdy dom, każda ulica i każda twarz były do siebie podobne. Przechodziłem obok Abli Yasemin, która z mokrymi włosami próbowała zdążyć na umówione spotkanie. Postawiłem kołnierz płaszcza jak najwyżej i przyspieszyłem kroku. Gdyby wtedy spadł jej z ucha kolczyk, a ona bezwiednie dalej by szła ulicą, zatrzymałbym się na chwilę, podniósł go z kałuży i spojrzał na swoją przemoczoną dłoń i na Ablę Yasemin w szarym tłumie ludzi. Czy wtedy Stambuł zmieniłby się dla mnie? Czy ten kolczyk wniósłby do mojego serca radość, której wcześniej nie zabrałem?

Najdziwniejszą cechą Stambułu było to, że wolał pytania od odpowiedzi. Potrafił zamienić szczęście w koszmar albo w drugą stronę – po beznadziejnej nocy nadchodził radosny poranek.

Swoją moc czerpał z niepewności. Nazywali to przeznaczeniem miasta. Z rajcu na jednej z ulic na kolejnej można było niespodziewanie trafić do piekła. Tak jak w starej historii o królu i żebraku. Król chciał się rozerwać. Podniósł śpiącego na ulicy żebraka i zaprowadził go do pałacu. Kiedy żebrak się obudził, wszyscy składali mu hołd godny króla i mu służyli. Gdy przestał się temu dziwić, uwierzył, że naprawdę jest królem, a jego żebracze życie było tylko złym snem. W nocy, jak tylko zasnął przepełniony radością, wynieśli go na zewnątrz. Kiedy otworzył oczy, zrozumiał, że znowu był na ulicy, pośród śmieci. Nie wiedział już, co było snem, a co jawą. Przez kilka nocy powtarzali ten sam żart. Jednego ranka żebrak budził się w pałacu, następnego na ulicy. Zaczął wierzyć, że życie na ulicy było marą. Kto powiedział, że bajki tracą na aktualności i nie mogą stać się częścią życia miasta? Czy ten król i żebrak nie byli stambulczykami? Niektórzy czerpią przyjemność z zabawiania się przeznaczeniem innych, inni próbują żyć, skacząc z jednej szali na wadze prawdy na drugą. Czy ci, którzy teraz szybkimi krokami szli w deszczu, wiedzieli, jacy obudzą się jutro rano?

Tak jak Stambuł nie był tylko miastem, tak samo kolczyk z bursztynem nie był jedynie biżuterią. Abła Yasemin kupiła go, bo jej się spodobał i uważała, że będzie jej w nim do twarzy. Potem dała go mi, poprosiła o naprawienie i dołączyła mnie tym samym do jego historii. Kolczyk z bursztynem w żółtawym kolorze nosił w sobie opowieść i marzenia pięknej kobiety.

Raz jeszcze podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Morze się uspokoiło, fale złagodniały. Ciekawe, gdzie był statek, który jeszcze przed chwilą zmagął się z burzą i na którym wyły syreny wzywające na pomoc. Popłynął dalej czy zatonął? Przestało padać. Psy wyszły na ulicę. Jakiś mężczyzna przeszedł obok zamyślony. Nie miał ani płaszcza, ani parasola. Nie przejmował się kałużami, w które wdeptywał. W pewnym momencie się zatrzymał i spojrzał w moją stronę. Z daleka nie było dokładnie widać jego twarzy, ale łatwo można było się domyślić, że był zmęczony i głodny. Zrezygnował z dalszej drogi i zawrócił. Szedł szybkim krokiem, jakby o czymś sobie przypomniał.

Zaparzyłem herbatę. Dopiero o tej porze jadłem śniadanie. Spojrzałem na książki na półce. Wybrałem dwie z nich: *Antologię światowej poezji* oraz powieść Yaşara Kemala<sup>15</sup> *İnce Memed*. Usiadłem na tapczanie. Przeczytałem kilka wierszy i zacząłem powieść.

<sup>15</sup> Yaşar Kemal (1923–2015) – jeden z najważniejszych pisarzy tureckich, obrońca praw człowieka; narodowości kurdyjskiej. Wielokrotnie nominowany do literackiej Nagrody Nobla. Jego najsłynniejsza powieść *İnce Memed* została przetłumaczona na ponad czterdzieści języków.

Głosy bawiących się na ulicy dzieci i ulicznych sprzedawców odbijały się od murów. Zaświeciło słońce. Jakże było radosne i pełne energii! Po tym jak ukryło się w czasie burzy, teraz rozjaśniło wszystko dookoła. Chciałem otworzyć okno, ale nikt nie mógł się dowiedzieć, że ktoś jest w domu. Zza firanki spojrzałem na ulicę. Uchyliłem okno na tyle, by nikt nie dostrzegł, że jest otwarte. Wdychałem chłodne, świeże powietrze.

Spędzałem dni, czytając książki, leżąc na tapczanie i dużo śpiąc. Wieczorami nie zapalałem lampy, oglądałem światła okolicy i statki przepływające przez Bosfor. Niebo zmieniało się każdej nocy. Kolory przechodziły z jednego końca firmamentu na drugi. Wiatr poruszał światłami w oddali. Czekałem ze spokojem i kolczykiem z bursztynem w dłoni. Skończyłem powieść i jeszcze raz przeczytałem niektóre wiersze.

Abła Yasemin powiedziała: „Czekaj do wieczora trzeciego dnia”. Zacząłem rozważać najgorsze, obawiałem się, że ją złapali. Poukładałem wszystko w mieszkaniu. Zabrałem ze sobą szczoteczkę do zębów i brzytwę. Kiedy zawiązywałem worek na śmieci wypełniony petami,

usłyszałem czyjeś kroki na zewnątrz.

Ktoś zapukał do drzwi.

Odczekałem chwilę.

„Jest tam ktoś?”, zapytał dziecięcy głos.

Musiało to być dziecko z jednego z sąsiednich domów. Nie ruszyłem się z miejsca.

„Ağbi, otworzysz?”. Tym razem ten sam głos jakby szeptał.

Ağbi? Skąd to dziecko wiedziało, że tu jestem? Jeżeli widziało, jak wchodziłem z Ablą Yasemin, to dlaczego nie zwraca się do niej, tylko do mnie? Wszystko mi się pomieszało. Bez zapalania światła podszedłem do drzwi i powoli je uchyliłem. Dziewczynka patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

„Ağbi, na jutro muszę rozwiązać zadanie domowe. Pomożesz mi? Babcia powiedziała, żebym cię zawołała”.

„Babcia? Kim jest twoja babcia?”.

„Mieszkamy w domu z tyłu. Ablą Yasemin też pomagała mi w odrabianiu lekcji”.

„Abli Yasemin nie ma w domu. Jak wróci, powiem, żeby do was zajrzała”.

„Ale babcia prosi ciebie. Powiedziała, żebym poszła i zawołała Ağbi Yusufa”.

W mojej głowie pojawił się znak zapytania. Skąd wiedziała, że Abli Yasemin tu nie ma? Skąd znała moje imię? Niesiony tą ciekawością, nie mogłem odmówić. Wołałem poczekać w sąsiednim domu, niż siedzieć tu sam.

„Tylko wezmę marynarkę”, powiedziałem.

Chwyliłem ją, wychodząc. Nie zamierzałem już tu wracać. Rzuciłem worek ze śmieciami na stos odpadków za murem ogrodu.

„A ty jak masz na imię?”.

„Serpil”.

Serpil wspinała się do góry przez szczelinę obok ściany domu. Wiedziała, gdzie stawiać kroki w ciemności. Przyglądałem się jej bez słowa. Przeszliśmy przez powyginane ogrodzenie. Potem precyzyjnie przeszliśmy przez otwór, którego sam bym nie znalazł, i zaczęliśmy wchodzić po krętych kamiennych schodach. Kiedy dotarliśmy do drzwi, zatrzymałem się i rozejrzałem dookoła. Byliśmy nad *gecekondu*, w którym się ukrywałem.

Serpil weszła pierwsza.

„Chodź do środka, Ağbi, wejdź”.

Dom był taki sam jak nasz, jednopokojowy. Na tapczanie przy oknie siedziała kobieta. Robiła na drutach.

„Przyszedłeś, Yusufie”, powiedziała.

„Dobry wieczór”, odparłem.

„Podejdź, synu, usiądź koło mnie”.

Właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że jest niewidoma. Usiadłem naprzeciwko niej. Spojrzałem na jej dziergające ręce. Dwa oczka w jedną stronę, dwa oczka w przeciwną. Zatrzymała się, jakby zrozumiała, że ją obserwuję.

„Zbliź się”, rzekła, odłożywszy robótkę.

Dotykała mojej twarzy. Obmacała mi policzki, szczękę, czoło. Jedną rękę położyła na moim czole, drugą przesunęła po nosie i brwiach.

„Masz gładką, ładną twarz”, powiedziała tak, jakby rozmawiała o robótkach ręcznych. „Yasemin mówiła o tobie. Pomóż mojej wnuczce w rozwiązaniu zadania domowego. Ja nie zawsze jestem w stanie odpowiedzieć na jej pytania”.



Czy kiedykolwiek wcześniej widziałem tak ubogi dom? W oknach nie było firanek. Szyby popękały, w miejsca pęknięć wepchnięto reklamówkę. Przy ścianie naprzeciwko tapczanu stała butla gazowa, a w pudełku obok leżało kilka talerzy i szklanek. Na małym ogniu gotowała się herbata. Dywan na podłodze był postrzępiony z każdej strony, a jego kolory wyblakły. Tynk odpadał ze ściany. Nie było ani stołu, ani krzesła. Na tapczanie leżały złożone ułożone na sobie kołdry. Zrozumiałem, że kiedy nadchodziła noc, po jednej stronie łóżka spała babcia, a po drugiej Serpil.

Dziewczynka podniosła wyblakły i podarty plecak, usiadła obok mnie. Otworzyła go i wyciągnęła książkę i zeszyt.

„Są trzy pytania. Nauczyciel powiedział, że mamy na nie odpowiedzieć”.

„Zacznijmy w takim razie. Przeczytaj pytania po kolei”.

Serpil spojrzała najpierw na babcię, potem na mnie i zaczęła czytać:

„Pytanie pierwsze: Dlaczego pory roku się zmieniają? Dlaczego nie mamy cały czas lata albo zimy?”.

„Niby skąd mam znać odpowiedź na to pytanie?”, powiedziała babcia.

Spojrzelśmy na siebie z Serpil i uśmiechnęliśmy się.

„Pisz, droga Serpil”, poleciłem. „Dzieje się tak z dwóch powodów: po pierwsze, bo Ziemia obraca się wokół Słońca; po drugie, dlatego że oś Ziemi jest nachylona. Ponieważ w ciągu roku promienie słoneczne spadają na Ziemię pod różnym kątem, temperatura również się zmienia. I dlatego właśnie zmieniają się pory roku”.

„Wiedziałaś”, oznajmiła babcia.

„Skoro wiedziałas, to dlaczego nie powiedziałaś?”, odparła Serpil.

„Nie znałam odpowiedzi na pytanie, moja droga. Wiedziałaś, że wszyscy przyjaciele Yasemin są mądrzy. O tym mówię”.

Nagle kaszlnąłem i spróbowałem ją poprawić.

„Nie jestem kolegą Yasemin, tylko jej bratem”.

„A co to za różnica. Brat czy kolega. To to samo”.

Trochę rozmawialiśmy, trochę rozwiązywaliśmy zadanie domowe. Dyskutowaliśmy, dlaczego mimo zmian pór roku śnieg nie topnieje na szczytach gór i dlaczego, mimo że u nas są cztery pory roku, na biegunach jest tylko jedna.

„My jesteśmy podobni do biegunów”, powiedziała babcia. „Nasza bieda wcale się nie zmienia. Szkoda, że ubodzy i bogaci nie zamieniają się miejscami tak jak pory roku. Nie miałabym nic przeciwko takiej sprawiedliwości”.

Przez dziury w oknach wdzierał się jesienny wiatr. Wkrótce babka z wnuczką będą potrzebowały więcej takiej sprawiedliwości. Co zrobią, jak zacznie się zima, ze śniegiem i wilgocią? Rozpalą w piecu? Z podartych skarpetek Serpil wystawały palce. Widać było, że babcia robiła na drutach skarpety i pewnie planowała wydziergać również gruby sweter dla wnuczki. Obie były wychudzone. Miały kościste palce i blade twarze. Nie miałem wątpliwości, że mieszkały same i nie posiadały nic poza tapczanem i dwiema kołdrami.

„Ja już sobie pójdę”, oznajmiłem.

Babcia złapała mnie za ramię.

„No co ty, jeszcze nie wypijeś herbaty ani nic nie zjadłeś. Serpil, dziecko, jeżeli nie masz już nic zadane, nalej nam herbaty. Przynieś jedzenie Ağbi Yusufowi”.

„Babciu, ale jeszcze nie skończyłam. Muszę nauczyć się wiersza na pamięć”.

„Jakiego wiersza?”.



„Ojczyzna to raj”.

Babcia wybuchła śmiechem.

„Raj? To ci dopiero raj!”.

Wstałem.

„Niech Serpil uczy się wiersza, a ja naleję herbaty”.

„Synu, tam są też oliwki i chleb. Zjedz”.

„Dziękuję, jadłem przed wyjściem”.

Serpil usiadła obok kołder i otworzyła książkę, by zacząć uczyć się wiersza.

Nalałem herbaty. Dodałem cukru i pomieszałem. Babcia położyła wełnę na kolanach i wzięła do rąk szklanę.

„Zaczęłam robić na drutach, kiedy byłam w wieku Serpil”, opowiadała. „Wtedy miałam dobry wzrok. Nasza wieś leżała daleko stąd. Tam były tylko dwie pory roku. Latem pracowałam na polu, zimą dziergałam. Kiedyś myślałam, że całe moje życie upłynie na pracy w polu, a teraz żyję ze sprzedaży swetrów. Sąsiedzi polecają mnie znajomym. Czasami chodzę nad brzeg morza i sprzedaję swoje wyroby na deptaku. Ale na ile mogą starczyć pieniądze ze sprzedaży swetrów? Więcej potrzeba, żeby wychować dziecko”.

„Nie tylko dziecku potrzeba więcej, tobie także”.

Babcia postawiła szklanę na parapecie. Nachyliła się w moją stronę i zapytała:

„Jeżeli zadam ci teraz pytanie, będziesz w stanie na nie odpowiedzieć?”.

„Na jaki temat?”.

„Na temat Serpil”.

Nie wiedziałem, o co jej chodzi.

„Proste pytanie”, rzekła. „Serpil jest córką mojej córki i siostrą mojego męża. Jak to jest możliwe?”.

Bardziej niż nad samym pytaniem zastanawiałem się nad jego sensem.

„Przypomina zagadkę”, powiedziałem.

„Tego typu pytania zadawałam też Yasemin i dawałam jej czas na zastanowienie do kolejnej wizyty. Chciałam, żeby miała jeszcze jeden powód, żeby przyjść. A ty znasz odpowiedź?”.

„Nie sądzę. To wydaje się skomplikowane”.

„Cieszę się. Tobie też dam czas na zastanowienie. Idź, gdziekolwiek się udajesz, ale uważaj na siebie i wróć cały i zdrowy. Chcę usłyszeć rozwiązanie zagadki”.

„Nie martw się, wrócę z odpowiedzią”. Starłem się brzmieć radośnie.

Babcia usiadła wygodnie. Przetarła oczy palcami.

„Wiesz co, Yusuf? Tęsknię za marzeniami, które miałam, zanim straciłam wzrok. Kiedy patrzyłam na młode dziewczyny na weselach, myślałam, że są górskimi wrózkami. Miały długie szyje, odsłonięte dekolty i śmiały się jak ćwierkające ptaki. Marzyłam, że kiedy dorosnę, stanę się do nich podobna i będę dodawać blasku lustrum, ale zanim skończyłam okres dojrzewania, moje życie się zmieniło. Pewnego lata wiały wiatry z pleśnią i całe zboże zgniło. Pasterze znaleźli potopione w rzekach jelenie i wilki, które zsunęły się ze zboczy. Orły o szerokich skrzydłach, które latały jak sułtanowie przestworzy, pospadały na ziemię jeden po drugim. Choroba, przez którą ślepli, przeszła na dzieci. Wielu z moich przyjaciół zmarło w jedną noc z powodu ogromnego bólu oczu. Miałam szczęście, straciłam wzrok, ale pozostałam przy życiu. Cały czas płakałam. Kobiety biadoliły nade mną. Powiedziały, że na wieś spadło przekleństwo, bo stawialiśmy pułapki na sarenki i strzelaliśmy do szczeniąt wilków. Słyszałeś tę bajkę, Yusuf? Pewnego razu było miasto, w którym mieszkali ślepcy; wszyscy rodzili się ślepi. Któregoś dnia

jedno dziecko otworzyło oczy i zobaczyło wszystko dookoła. Przestraszyli się tej choroby i aby nie przerodziła się w epidemię, żeby nie przeszła na pozostałych, zabili to dziecko. Spalili jego ciało. Często myślę o Stambule. Na co zasługuje miasto, w którym popełniane są tak ciężkie grzechy? Jakie przekleństwo je czeka? Albo jest już przeklęte, a my doświadczamy skutków tego przekleństwa. Linczują tu tych, którzy mają otwarte oczy”. Babcia mówiła wolniej i ciszej, jakby zasypiała. W końcu szeptała sama do siebie: „Zlinczują też Yasemin o długiej szyi, odkrytym dekolcie i śmiechu jak ptasie trele”.

Wyjrzałem na zewnątrz. Z okna było widać ogród naszego *gecekondu*. Widziałem wchodzących i wychodzących. Ale kto by na nich patrzył – ślepa babcia? Ściemniło się, Abła Yasemin nadal nie wróciła. O tej porze już i tak nie przyjdzie.

Z daleka było słychać syreny statków i krzyki mew. Gwiazdy spadały na miasto jak chmura pyłu ze Wschodu. Niebo wydawało się mokre, jakby było pokryte warstwą wody. Może po drugiej stronie horyzontu znajdowało się więcej gwiazd, ale ponieważ zabrakło już miejsca na niebie, czekały w kolejce. Niebo było bezkresne, ale równocześnie mogło się zmieścić w szklanym słoju. Prawie nie dało się określić, gdzie kończyły się gwiazdy, a gdzie zaczynały światła miasta.

Babcia się nachyliła i złapała mnie za rękę. W moją dłoń wsadziła złożony kawałek papieru. Z zaciekawieniem rozłożyłem kartkę i przeczytałem krótką notatkę: „Dom jest obserwowany... szary punkt... jutro... 15:00... PS Zapomnij o kolczykach”.

Kolczyki?

Stara kobieta wsadziła rękę pod bluzkę i z biustonosza wyciągnęła kolczyk. To był kolczyk z bursztynem, którego brakowało do pary.

„Abła Yasemin tu była?”, zapytałem podekscytowany.

„Nie wiem, jestem ślepa. Za domem biegnie dróżka prowadząca na górę. Serpil ci ją pokaże. Pójdiesz tamtędy, nikomu się nie pokazując”.

Jeszcze raz przeczytałem list. Stosowaliśmy środki ostrożności. Każde z miejsc spotkań nazwaliśmy innym kolorem. Szary to był przystanek przed biblioteką Uniwersytetu Stambulskiego. Spotkania odbywały się godzinę przed tą zapisaną w notatce: mieliśmy się zobaczyć o czternastej. Abła Yasemin chciała, żebym uwierzył, że list był od niej, dlatego przekazała mi drugi kolczyk. Napisała: „Zapomnij o kolczykach!”, to znaczyło, że dom na pewno zostanie przeszukany. Miałem nie pozostawić po sobie żadnych śladów i nie mieć ze sobą niczego, co należało do kogoś innego.

Pocałowałem babcię w rękę na pożegnanie.

„W naszym domu są pelargonie. Podlejecie je, jak zostawię klucz?”, zapytałem.

„Nie martw się, synu, my mamy klucze”, odpowiedziała babcia. Sięgnęła po robótkę, omotała wełnę wokół palców i znów zaczęła robić na drutach, poruszając nimi, jakby to były skrzydła ptaka. Zawołała za mną: „Nie zapomnij o moim pytaniu. Chcę usłyszeć odpowiedź!”.

Wiatr uderzył mnie w twarz. Jeszcze mocniej zawiązałem szalik. Dróżka była kręta, w niektórych miejscach się rozwidlała. Po jej obu stronach rosły krzaki. Jeżeli ktoś jej nie znał, mógł bez problemu się zgubić. Przypominała ukryty labirynt. Robiło się coraz ciemniej, a szczekanie psów stawało się coraz mniej wyraźne. Dotarliśmy do ogrodu warzywnego, który znajdował się w miejscu, w którym kończyło się podejście pod górę i krzewy. Doszliśmy do granicy, dalej miałem iść sam.

Wyjąłem pieniądze, które trzymałem w kieszeni. Połowę dałem Serpil. Powiedziałem jej, żeby uczyła się pilnie i troszczyła o babcię. Nachyliłem się i pocałowałem ją w głowę. Wtedy zdałem

sobie sprawę, że pasowałyby jej kolczyki z bursztynem i że miała bystre spojrzenie. Była bez skazy, filigranowa, potrafiła zauroczyć. Przypominała górskie wróżki. Brakowało jej tylko żółtych bursztynów. Przerzuciłem jej warkocze na plecy i uniosłem brodę. Na każde ucho założyłem kolczyk. „Teraz są twoje”, powiedziałem.

Zamknęła oczy, podniosła ręce i dotknęła kolczyków, które wisały jak dwie krople wody. Miała najpiękniejszy na świecie wyraz twarzy. Gdyby się jej pozwoliło, rozwinęłaby skrzydła i poleciała do nieba, w kierunku gwiazd.

Kiedy wszedłem do ogrodu warzywnego i przechodziłem przez niego powoli, przypomniał mi się wers, którego nauczyłem się od Abli Yasemin. „Wolny człowieku! Morze będziesz zawsze kochał najpiękniejszą miłością”.

W tym momencie ktoś zawołał mnie moim prawdziwym imieniem. Zatrzymałem się w ciemności i rozejrzałem dookoła. Nie wiedziałem, skąd dochodził głos. Serce waliło mi ze strachu. Zimny pot spływał po szyi. Kiedy jeszcze raz usłyszałem ten sam głos, otworzyłem oczy.

– Demirtay, mówisz sam do siebie – powtórzył Doktor.

– Zamyśliłem się – powiedziałem, patrząc na ciemne ściany celi.

Dobrze mi robił sen i rozmyślanie. Marzyłem o tym, że jestem poza celą. Wracalem do czasu sprzed aresztowania. Potem było gorzej. Kiedy znowu otwierałem oczy, czułem się zagubiony i pozbawiony nadziei. Naprzeciw widziałem ścianę w kolorze ropy. Oskarżałem się, że zostałem złapany, bo nie biegłem wystarczająco szybko. Chciałem mieć jeszcze jedną szansę. Prosiłem o taką, która diametralnie zmieniałaby moje życie. Potem skręcałem się z bólu.

– Dayı Küheylan, zadać ci zagadkę? – zapytałem.

– Chcesz się zrewanżować za wczoraj?

– Moja zagadka jest trudniejsza. Słuchaj. Koło kobiety siedzi dziewczynka. Pytam: „To twoja wnuczka?”. Kobieta odpowiada następująco: „To córka mojej córki i siostra mojego męża. Jak to możliwe?”.

– Przyśniło ci się to?

– Nie.

Nie opowiedziałem mu o babci i Serpil.

Dayı Küheylan powtórzył sam do siebie:

– Córka mojej córki, siostra mojego męża. Dobre pytanie. Muszę chwilę nad nim pomyśleć. Zobaczymy, czy uda mi się zgadnąć.

Doktor i Dayı Küheylan zaczęli szukać odpowiedzi, zastanawiali się także, dlaczego od dwóch dni nie zabrano nikogo na tortury i zostaliśmy pozostawieni samym sobie. Nie przyszli po nikogo ani wczoraj, ani dzisiaj. Żelazne drzwi otworzyły się tylko podczas zmiany warty i na czas posiłku.

Dayı Küheylan śmiał się, mówiąc:

– Przesłuchujący też ludzie. Również mogą się zmęczyć torturowaniem kogoś przez dziesięć, dwadzieścia godzin dziennie. Może wszyscy razem wzięli urlop. Może położyli się na plaży na gorącej wyspie na środku oceanu i w słońcu suszą swoje dusze.

– Nie – sprzeciwił się Doktor. – Podczas tortur spocili się i mokrzy wyszli na zewnątrz. Przewiało ich i zachorowali. Choroba szybko się rozwinęła, teraz odpoczywają w domu, pijąc herbatę lipową z cytryną i miętą.

Kiedy Dayı Küheylan i Doktor się śmiali, po betonie potoczył się malutki guzik i zatrzymał się pod naszymi nogami. Nie wiedzieliśmy, komu odpadł. Był żółty, w kształcie gwiazdki z dwiema

dziurkami. Dayı Küheylan podniósł go i zbliżył do światła.

– To guzik z damskiego ubrania – oznajmił.

Wspólnie spojrzeliśmy przez szparę w drzwiach. Zinê Sevda z celi naprzeciwko stała przed nami i wyglądała jak obraz w szarej oprawie. Oberwała guzik i wrzuciła go do naszej celi przez otwór pod drzwiami. Kiedy nas zobaczyła, a raczej Dayı Küheylana, uśmiechnęła się. Jej oczy z fioletową obwódką się ożywiły. Napisała palcem w powietrzu: „Jak się masz?”. Dayı Küheylan niczym początkujący uczeń odpowiedział, powoli kreśląc litery.

Zostawiłem ich samych i usiadłem. Położyłem nogi na nogach Doktora. Spojrzałem na Fryzjera Kamo śpiącego z głową na kolanach i nieprzejmującego się niczym. Dzisiaj nie odezwał się ani słowem, zachowywał się, jakbyśmy nie istnieli. Zaszły się w sobie i spał bez przerwy.

Dayı Küheylan nachylił się, stojąc przy drzwiach.

– Kamo, podejdź tu. Zinê Sevda chce ci podziękować – powiedział, a Kamo podniósł głowę. Spojrzał wzrokiem jeszcze bardziej znudzonym niż zwykle. Rozejrzał się dookoła, jakby chciał przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Potem machnął ręką, dając do zrozumienia, byśmy zostawili go w spokoju. Położył ramiona na kolanach, schował w nich twarz i wrócił do swojego świata. Najodleglejszym miejscem, do którego mógł się udać, był sen. Tylko tam mógł przed nami uciec.

## Dzień szósty

### • *Opowiada Doktor*

## PTAK CZASU

– Dziewczyna, która po kryjomu wsiadła na statek w stambulskim porcie, wdrapała się po schodach i schowała w dużej łodzi ratunkowej. Zawinęła się w żagiel i przysłuchiwała odgłosom dobiegającym z zewnątrz. Jak tylko statek wypłynął, odetchnęła z ulgą. Czas mijał jej w półśnie. Słuchała *türkü*<sup>16</sup> śpiewanych przez członków załogi. Czekala, aż statek zacumuje w porcie, wszystko się uspokoi i zapadnie zmrok. Niezauważona przez nikogo, zeszła po trapie i zaczęła biec w kierunku nowego świata. Pędząc ile tchu w piersiach, czuła, że księżyc w pełni podąża jej śladem i skręca w każdym kierunku, w którym się udawała. Dotarła na pustynię. Położyła się na piasku. Chwilę odpoczywała. W oddali dostrzegła chatę. Siedział przy niej pustelnik i modlił się, wystawiwszy twarz w kierunku słońca. Powoli się wyprostował i spojrzął na piękność w jedwabnym ubraniu, jakby właśnie zobaczył ducha. Wszedł do chaty, uklęknął naprzeciwko świętego tekstu i powiedział sam do siebie: „Bóg wystawia mnie na próbę. Nie mogę ulec swoim pragnieniom. Już i tak jestem stary. Wyjdę i zaoferuję jej wodę”. Dziewczyna opowiedziała, że nie chciała trafić do pałacowego haremu i dlatego uciekła ze Stambułu. Dodała, że powiedziano jej, że będzie mogła zatrzymać się u pustelnika. Nauczyłaby się tu, jak zbliżyć się do Boga. Mężczyzna kazał jej iść dalej i powiedział, że za piaskowymi wzgórzami żyje inny pustelnik, który lepiej jej wskaże, jak zbliżyć się do Boga. Zmęczona szła dalej w promieniach palącego słońca. W południe dotarła do chaty drugiego pustelnika. Ten pomyślał, że zobaczył zjawę, więc przetarł oczy i wpatrywał się w nią z uwagą. Była długowłosa, szczupłą wróżką. To był najtrudniejszy test. Uznał, że skoro Bóg wystawił go na tak ciężką próbę, zbliżył się już do poziomu mistyka. Upadł zatem na kolana i rozpostarł ramiona ku niebu. Powiedział: „Mój Boże, choć jestem już stary, nadal mam pragnienia. Moja skóra płonie, krew gotuje się w żyłach, ale wytrzymam. Nie poddam się Szatanowi”. Potem wziął do ręki kubek wody i ruszył w stronę dziewczyny. Wypiła jednym haustem. Krople spłynęły jej po brodzie i szyi. Mrużąc oczy, powiedziała: „Zaopiekuj się mną, pozwól mi tu zostać i wskaż mi drogę do Boga”. Pustelnik westchnął i odpowiedział: „Dziecko drogie, chciałbym ci wskazać drogę do Boga, ale jest ktoś, kto robi to lepiej ode mnie. Przemierz te wzgórza i udaj się do pustelnika żyjącego tam, gdzie zachodzi słońce. On cię zaprowadzi do Boga”. Czym była pustynia? Czymś więcej niż tylko piaskiem i słońcem? Ziarenka piasku wszędzie były takie same, tak jak i wzgórza, i pustelnicy. Wszyscy byli do siebie podobni i każdy z nich powtarzał słowa swojego poprzednika. Skoro słońce płonęło nieustającym ogniem, to czymże była pustynia? Dziewczyna przemierzała ją, szła, męczyła się coraz bardziej. W końcu zwolniła. Kiedy dzień zbliżał się ku końcowi i wchodziła na ostatnie piaskowe wzgórze, zobaczyła chatę. Powiedziała: „Oto najpiękniejsze miejsce na pustyni”. Przed domem spostrzegła pustelnika, który wyglądał na młodszego od pozostałych. Padł na kolana przed wieczornym słońcem i się modlił. Kiedy usłyszał głos dziewczyny, obrócił się i spojrzął na nią. Naprzeciw niego stała wróżka o krągłych piersiach i gołych nogach. Była darem od Boga. Wziął w ramiona padającą ze zmęczenia kobietę i zaniósł ją do chaty. Przyłożył mokrą chustkę do jej czoła, szyi i popękanych ust. Czuwał przy niej do świtu. Bóg ukazywał człowiekowi piękno na różne sposoby. Róża była najpiękniejsza na krzewie, woda – na pustyni, a księżyc – na niebie. Dziewczyna-wrózka była czymś więcej – odbiciem raj. Droga do Boga była poszukiwaniem piękna. Dlatego pustelnik zaszył się

na pustyni w tak młodym wieku. Kiedy zaczęło się rozjaśniać, dziewczyna otworzyła oczy. Spojrzała na pustelnika i powiedziała: „Nie chcę wracać do pałacu, przyjmij mnie do siebie i wskaż mi drogę do Boga”. Wyszli z chaty, padli na kolana przed wschodzącym słońcem i przymknęli oczy. Bóg był z nimi. Dzień spędzili na zbieraniu liści i moszczeniu z nich posłania dla dziewczyny. Nocą spali obok siebie. Pustelnik długo się namyślał, miał żarliwe sny i pewnej nocy powziął decyzję. Zapytał: „Jesteś gotowa służyć Bogu całym swoim jestestwem?”. Była gotowa. Kazał jej słuchać: „Największym wrogiem Boga jest Szatan. Bóg wrzuca go w płomienie piekła, ale jemu za każdym razem udaje się stamtąd uciec. Zadaniem człowieka jest pomóc Bogu. Teraz rób to samo co ja”. Pustelnik się rozebrał. Dziewczyna ściągnęła jedwabną sukienkę. Stali nadzy. Ściemniło się i niebo wypełniły gwiazdy. Padli na kolana w piasku i patrzyli na księżyc w pełni. Kiedy tak trwali bez słowa, jakby pogrążeni w modlitwie, w ich ciałach zaczęły zachodzić zmiany. Przyrodzenie pustelnika powoli się ożywiło, po czym stwardniało. Dziewczyna zapytała: „Co to jest?”. Pustelnik odparł: „To właśnie Szatan. Zadaje mi cierpienie”. Dziewczyna zdziwiła się i pochyliwszy głowę, przyjrzała się z bliska. Zmarszczyła czoło. Współczuła pustelnikowi, który niebiańskim głosem powiedział: „Wiem, dlaczego Bóg cię tu przysłał. Chce zobaczyć, czy wrzucimy Szatana żyjącego we mnie w znajdujące się w tobie piekło. Wystawił nas oboje na próbę. Musimy pomóc sobie nawzajem”. Spojrzała z oddaniem w oczach. Powiedziała, że zrobi wszystko, co trzeba, żeby Bóg dał im błogosławieństwo. Pustelnik wstał i zaprowadził ją do chaty. Kiedy obudzili się następnego ranka, byli odmienieni. Uśmiechnęli się do siebie. Dziewczyna powiedziała: „Szatan naprawdę musi być największym wrogiem Boga. Kiedy wszedł we mnie, zezłościł się, rozjuszył się jak szalony w płomieniach piekła. Policzyłam, przez całą noc wrzuciliśmy go tam sześć razy”. Pustelnik powiedział, że muszą to powtarzać. Droga do Boga była drogą wzajemnego przywiązania. Wszedł na dziewczynę i po raz kolejny wrzucił Szatana do piekła. Ona powiedziała: „Nie ma podobnej przyjemności na świecie. Kiedy można się oddawać Bogu, głupotą byłoby zajmować się czymkolwiek innym. Ale całą noc się zastanawiałam, dlaczego Bóg na samym początku nie unicestwił Szatana. Jeżeli chce się go pozbyć, ale nie starcza mu na to mocy, to oznacza, że jest bezsilny. Ale jeżeli jest na tyle wszechmocny, aby go unicestwić, a mimo to tego nie robi, daje przyzwolenie na zło. A jeśli Bóg jest wystarczająco silny, by zniszczyć Szatana i chce go unicestwić, to dlaczego Szatan nadal istnieje? Skąd bierze się to zło?”. Dziewczyna spędzała dni na rozmowie, spaniu i modlitwie. Słońce wschodziło i zachodziło za każdym razem w tym samym miejscu, tylko księżyc codziennie pokazywał swoje oblicze gdzie indziej. Kiedy pewnego dnia pustelnik siedział obok chaty i spoglądał w dal, dziewczyna się poskarżyła: „Nie chcę siedzieć beczynnie. Chcę służyć Bogu. Dlaczego od wczoraj czekamy, zamiast wrzucić Szatana do piekła?”. Pustelnik się uśmiechnął. Powiedział, że dali Szatanowi nauczkę i jeśli nie podnosi głowy zuchwale, nie mogą go ukarać. Spojrzała na niego ze smutkiem. Położyła rękę na brzuchu mężczyzny i powiedziała: „Szatan się uspokoił, ale moje piekło płonie. Upomina się o niego”. W oddali dostrzegli tuman kurzu. Piasek uniósł się w powietrzu. Przemierzywszy wzgórze, grupa jeźdźców zatrzymała się przy nich. Powiedzieli: „Przyjechaliśmy po księżniczkę”. Posadzili dziewczynę na koniu. Wrócili tą samą drogą, którą przybyli, i zostawili za sobą taką samą chmurę kurzu. Dotarłszy do pałacu w Stambule, oddali dziewczynę w ręce lekarek i opiekunek. Te wymyły ją w wodzie różanej i posadziły przed lustrem. Przyozdobiły jej włosy koralikami, w skórę wtarły pachnidła, a na powiekach namalowały czarne kreski. Kiedy była gotowa, zaprowadziły ją do starszych kobiet. Te zapytały, co jej się przytrafiło i co robiła na pustyni. Dziewczyna odpowiedziała: „Służyłam Bogu,



wykonałam wiele dobrych uczynków. Rozpościerałam nogi, a pustelnik wrzucał Szatana do piekła. Zrozumiałam, że obrządki religijne mogą uczynić człowieka szczęśliwym. Gdybym tylko mogła nadal służyć Bogu...”. Starsze kobiety przez chwilę milczały, a potem wybuchły śmiechem. Powiedziały: „Nie martw się. Tu również jest wielu, którzy zrobią wszystko, by pozbyć się Szatana i służyć Bogu”.

**16** Türkü – turecka ballada ludowa.

Zacząłem się śmiać, jakbym nie był w celi, ale wśród tych starych kobiet w stambulskim pałacu. Nachyliwszy się, próbowałem powtórzyć ostatnie zdanie, ale z powodu śmiechu mi się nie udało. Dayı Küheylan z Demirtayem śmiali się bardziej ode mnie. W momentach wolnych od bólu sen i śmiech dobrze im robiły. Ich twarze się ożywiały, a głosy, które załamywały się podczas tortur, stawały się radosne. Jak te kobiety w pałacu, za każdym razem, gdy na siebie spojrzeli, wybuchali śmiechem i zapominali o miejscu, w którym się znajdowali. Albo też śmiali się tak bardzo, bo nie byli w stanie zapomnieć o celi.

Przez pierwszych kilka dni człowiek nie potrafi przyzwyczać się do tego miejsca. Zmusza się, ale nie udaje mu się nawiązać relacji z celą. Potem zaczyna myśleć o czasie. Czy to, co stało się w mieście nad nami, miało miejsce kilka tygodni czy kilkaset lat temu? Czy istnieje różnica czasu między tym, przez co my przechodzimy, a wydarzeniami w stambulskim pałacu? Im więcej o tym rozmawialiśmy, tym bardziej zdawaliśmy sobie sprawę, że nie trafiliśmy tutaj z pustki, tylko z epoki trwającej na zewnątrz. Ale z jakiej epoki? Staraliśmy się ją znaleźć, opowiadając historie, i szukaliśmy jej po śladach chwili obecnej.

Student Demirtay uspokoił się na chwilę po wybuchu śmiechu.

– Do ostatniej sceny w opowieści wszystko rozgrywało się przed moimi oczami jak w filmie. Statek zmagający się z falami, dziewczyna przemierzająca pustynię, gwiazdy nad chatą, tuman kurzu w oddali... i właśnie w tym momencie film się urwał. Kiedy zacząłem się śmiać, wyszedłem z historii i wróciłem do czasu w celi. Wraz z ostatnim zdaniem obrazy w mojej głowie zniknęły.

– Wczoraj powiedziałeś to samo o historii Dayı Küheylana o wilku. Każdą opowieść wyobrazasz sobie w postaci filmu. Myślałeś kiedykolwiek, żeby zostać reżyserem?

– Chciałbym być reżyserem, by móc sfilmować te historie. Oczywiście jeżeli ktoś już tego nie zrobił...

Dayı Küheylan, który słuchał nas z uwagą, wszedł nam w słowo:

– Czy to jest znana historia?

– Nie słyszałeś jej wcześniej? – zapytałem.

– Nie, nie znam jej.

– Dayı Küheylan, po raz pierwszy udało nam się opowiedzieć coś, czego nie znasz. Tym razem mieliśmy szczęście.

– Doktorze, choć dobrze znam Stambuł, jest wiele historii, których nie słyszałem – odrzekł. – Mój ojciec też mówił, że za każdym razem, kiedy się tam udawał, słyszał nowe nazwy i dowiadywał się o nowych wydarzeniach. Z podekscytowaniem opowiadał nam kolejne historie. Mawiał, że w Stambule ulice i budynki zostały zaprojektowane tak, by stworzyć poczucie nieskończoności. Podobne jak na pustyni. Między miejscem wschodu i zachodu słońca były dwa światy, które nie miały ze sobą nic wspólnego. W Stambule człowiek z jednej strony myśli, że udało mu się wziąć do ręki cały świat, a z drugiej, że go nieodwracalnie utracił. Spojrzenie na miasto wraz ze spojrzeniem na samego siebie zmienia się każdego dnia. Pewnego wieczora

ojciec w okolicach Złotego Rogu natknął się na starszego mężczyznę. Mężczyzna ten trzymał w dłoni okrągłe kieszonkowe lusterko. Co chwilę patrzył to w lusterko, to na drugi brzeg. Mój ojciec usiadł obok niego. Przywitał się i chwilę czekał. Starzec powiedział: „W lusterku widzę własną brzydotę. Za młodu byłem przystojny. Zakochałem się w dziewczynie, z którą potem się pobrałem. Urodziły nam się dzieci. Spędziliśmy ze sobą czterdzieści szczęśliwych lat. Kiedy moja żona zmarła w zeszłym tygodniu, pochowaliśmy ją naprzeciwko, na cmentarzu nieopodal wzgórza Pierre Loti<sup>17</sup>. Wraz z odejściem spojrzenia mojej żony, moje piękno również przeszło do historii. Jakże szybko minęły lata. Teraz, gdy patrzę w lustro, widzę, jak bardzo się zestarzałem i zbrzydłem”.

<sup>17</sup> Wzgórze Pierre Loti upamiętnia słynnego francuskiego pisarza Pierre’a Lotiego (1850–1923), który jest ważnym przedstawicielem orientalizmu w literaturze. Akcja jego powieści często rozgrywała się w Stambule. Wzgórze położone jest w dzielnicy Eyüp po europejskiej stronie Bosforu.

Dayı Küheylan podkurczył nogi i oparł się o ścianę. Usiadłszy prosto, mówił dalej:

– Po tym jak mój ojciec opowiedział tę historię, stwierdził, że w Stambule było coraz więcej ludzi, którzy w przeszłości uważali się za pięknych, ale teraz dostrzegali swoją brzydotę, i w taki sam sposób patrzyli na Sztambuł. Podniósł ręce w kierunku smugi światła i powiedział: „Pokażę wam, jak czas płynie dla tych ludzi”. Dłonie złożył w taki sposób, że cień na ścianie przypominał ptaka o szerokich skrzydłach. Zaczął opowiadać: „Zobaczcie, to ptak czasu. W przeszłości frunął bez ustanku, a kiedy dotarł do dnia dzisiejszego, jego skrzydła stanęły w bezruchu. Pozostał zawieszony w powietrzu. Czas w Stambule płynie w podobny sposób. W przeszłości szybko machał skrzydłami, ale dzisiaj jego skrzydła się zatrzymały i powoli szybuje w pustce”.

Dayı Küheylan spojrział na swoje duże dłonie. Rozprostował palce jak długie skrzydła.

– Choć w dzieciństwie wierzyłem w ptaka czasu – ciągnął swoją opowieść – trudno mi było wyobrazić sobie Sztambuł, o którym opowiadał ojciec. Teraz, w celi, lepiej to rozumiem. Za każdym razem, kiedy otwieram oczy, widzę ptaka o czarnych skrzydłach. Ptak czasu szybuje nad nami.

Unieśliśmy głowy i spojrzeliśmy w sufit. Był ciemny. A jego ciemność – głęboka. Zapatrzeliśmy się, jakbyśmy po raz pierwszy widzieli taki mrok i mieli zostać porwani przez wir kotłujący się nad naszymi głowami. Kto wcześniej przeszedł przez tę ciemność? Kto pozostał przy życiu, a kto wydał tu swoje ostatnie tchnienie? Zdawało się nam, że urodziliśmy się nie nad, ale pod ziemią i każdego dnia coraz bardziej zapominaliśmy o życiu na zewnątrz. Przeciwnieństwem zimna jest gorąco. Dlatego nawet jeśli znaleźliśmy znaczenie słowa „gorąco”, to nie mogliśmy sobie przypomnieć, do czego właściwie się ono odnosi. Tak jak dżdżownice pod ziemią, przyzwyczailiśmy się do ciemności i wilgoci. Gdyby tylko nas nie torturowali, moglibyśmy żyć tak w nieskończoność. Starczyłyby nam chleb, woda i trochę snu. Czy udałoby się nam dosięgnąć ciemności nad naszymi głowami, gdybyśmy teraz wstali i wyciągnęli ręce? Czy w tej ciemności moglibyśmy dotknąć ptaka czasu szybującego nad nami, tych jego ciężkich i przerażających skrzydeł?

– Dayı Küheylan, pewnego dnia stąd wyjdziemy – powiedziałem. – Razem zwiedzimy Sztambuł. Potem usiadziemy na balkonie, z którego będzie się roztaczał widok na morze. Ty będziesz opowiadał, a ja będę słuchał.

– Dlaczego ja mam opowiadać, a nie ty?

– Bo ty, Dayı Küheylan, znasz więcej opowieści, niż jest zebranych w *Dekameronie*. Lubisz

raki? Słuchając opowieści, napijemy się raki.

– Też mam na to ochotę. Doktorze, wieczorem nakryjmy do stołu.

– Dobry pomysł. Wszystko przygotowuję. Zrobię rybę. Ale skąd będziemy wiedzieć, że nadszedł wieczór?

– Ponieważ nie wiemy, jak mija czas, jest on w naszych rękach. Tutaj zmrok zapada, kiedy tego chcemy. Kiedy zapagniemy, wstanie też dzień.

Student Demirtay poruszył się jak niesforne dziecko i zapytał:

– Mnie też zaprosicie? Nie zabronicie mi picia raki ze względu na mój młody wiek, prawda?

Spojrzelśmy po sobie z Küheylanem. Na naszych twarzach pojawiło się wahanie.

– Dayı Küheylan – mówił dalej Demirtay – jeśli chcesz, pójdę na wybrzeże, do rybaków. Wiem, gdzie sprzedają najlepsze ryby. W drodze powrotnej kupię w warzywniaku wszystko co potrzebne do sałatki, a w sklepie monopolowym na rogu dużą butelkę raki.

– Pora jest jeszcze wczesna.

– No co ty? A jeżeli słońce już chyli się ku zachodowi? Jeśli dzieciaki, gwarnie wychodzące ze szkoły, już zapełniły ulice?

– Nie ma pośpiechu. Pomyślmy jeszcze chwilę.

– Dayı Küheylan, jeżeli mnie też zaprosicie, zdradzę wam odpowiedź na wczorajszą zagadkę.

– Zagadkę?

– A jeśli będziecie chcieli, zadam wam kolejną...

Dayı Küheylan odczekał chwilę i powoli zaczął mówić:

– Pójdziesz na wybrzeże. Wybierzesz najlepsze ryby. W drodze powrotnej kupisz produkty na sałatkę i raki, zgadza się?

– Tak, wy nie kłopotcie się wychodzeniem z domu. Usiądźcie na balkonie z widokiem na morze, rozmawiajcie, opowiadajcie historie. Zrobię zakupy i wrócę przed wieczornym gwarem. Przysłucham się też rozmowom na ulicy, na targu rybnym i w autobusie. Dowiem się, kto oszukiwał na ostatnich wyścigach konnych, gdzie wybuchł pożar i który piosenkarz niedawno się rozwiódł. Kupię również gazetę.

– Nie zapomnij o cytrynach – dodałem. – Ja nakryję do stołu. Należę raki do szklanek. A kiedy światła miasta zapalą się jedno po drugim, włączę muzykę.

– Tak, posłuchajmy muzyki – powiedział Dayı Küheylan. – Ale kiedy będę już podpity i zechcę śpiewać, powstrzymajcie mnie. Są ludzie, którzy stają się sławni dzięki swojemu głosowi. Ja zdobyłem sławę za sprawą doskonałego fałszowania. Mieszkańcy wsi, kiedy tylko słyszeli, że śpiewam, zmieniali kierunek, w którym szli.

Dayı Küheylan zaczął się śmiać.

– Ja też nie mam dobrego głosu – powiedziałem. – Kiedy piję raki, lubię słuchać mojej żony. Mało kto ma tak piękny głos jak ona.

– Ona też lubi raki?

– Tak, lubiła. Umarła dawno temu. Kiedy jej zdrowie zaczęło się pogarszać, nie mówiąc mi nic, zaczęła nagrywać swój śpiew na kasetach. Wiedziała, że w ten sposób do końca mojego życia będzie mogła zasiadać ze mną przy stole. Wieczorami włączałem nagranie i napełniałem szklankę raki. Wpatrywałem się w Stambuł. Porównywałem światła po obu stronach morza do krain z baśni. Po prawej stronie mury i wieże pałacu Topkapı wznoszą się nad miastem jak zamek czarodziejek. Zamglone światła są jak cienki tiul, który delikatnie okrywa ściany. Po lewej stronie widać oświetloną wieżę Leandra, koszary Selimiye i jeżeli mam szczęście, także Wyspy Książęce. Nie wiem nawet, kiedy kończę drugą szklankę i sięgam po kolejną. Głos mojej

żony wydobywa się z trzeszczącego magnetofonu. Śpiewa o mieście rozstań, które rozciąga się ponad nadzieją. Nie przybywa żaden ptak, nie nadchodzi żadna wiadomość ani nawet pozdrowienie. Zdesperowane wezwania, czekanie na próżno. Zamiast ukojenia nadciąga przygnębiający wieczór. Raki kończy się w butelce, a gwiazdy na niebie się mnożą. Wtedy moja żona zaczyna śpiewać nową piosenkę. Wszędzie dookoła rozkwitają pąki. Noc kołysze się jak kryształowy żyrandol. W oddali słychać syreny statków i mewy zostawiające swoimi skrzydłami ślady na niebie...

Podniosłem głowę i spojrzałem w górę. Czy ptak czasu krąży nad nami i wskazuje drogę w ciemności? Czy naprawdę będziemy mogli stąd wyjść, dotrzeć na balkon i gawędzić, spoglądając na morze i Stambuł?

– Dayı Küheylan – mówiłem dalej – teraz przypominam mężczyznę, na którego twój ojciec natknął się w Złotym Rogu. Podejrzewam, że ja też, kiedy myślę o swojej żonie, jestem przekonany, że moje dawne szczęście na zawsze pozostało w przeszłości.

Demirtay spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– Doktorze, po raz pierwszy widzę cię strapionego.

– Wyglądam na strapionego? Nie zdawałem sobie z tego sprawy. Tutaj wolę myśleć o pozytywnych rzeczach, a smutki pozostawić przy stole okropionym raki.

– Mnie również zapraszasz do tego stołu, prawda? Wyczuwam to.

Nie odpowiedziałem. Czekałem, aż Dayı Küheylan wejdzie nam w słowo. Przyglądał się Demirtayowi jeszcze przez kilka chwil i dał mu oczekiwaną odpowiedź.

– Jesteś rozsądnym chłopcem. Zapraszamy. Napijmy się razem raki.

Demirtay zamiast się ucieszyć, nachylił się z przygnębnym wyrazem twarzy.

– Dayı Küheylan, czy możesz nie nazywać mnie chłopcem? Zaprosiliście mnie na raki, nie jestem już dzieckiem.

– Demirtay, powiedziałem tak z przyzwyczajenia. Oczywiście, jesteś już młodzieńcem.

Student z zadowoleniem oparł się o ścianę.

– Zaprosisz też Zinê Sevdę? – zapytał.

– Dobry pomysł. Ją również zaproszę.

Spod drzwi celi powiało morską bryzą. W tej samej chwili spojrzeliśmy w tamtą stronę. Wiatr, który dostał się do środka, przyniósł zapach morza i zostawił go na naszych nagich stopach. Był wspomnieniem słonego, pokrytego wodorostami świata. Poczuliśmy, że zimno pełnie po naszych kościach. Było to tylko chwilowe uczucie. Nieraz próbowaliśmy zatrzymać dochodzące do nas i równie szybko odchodzące wonie morza, sosny czy też świeżo obranej pomarańczy. Zanim zapach zostawił nas w celi i wrócił nad Bosfor, wciągaliśmy go w nozdrza ile sił w płucach. Nigdy nam go nie starczało, zawsze pragnęliśmy więcej. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się usłyszeć grzmienie burzy, a jeżeli uwierzylibyśmy trochę bardziej marzeniom i bardziej oddalibyśmy się tęsknocie, usłyszeliśmy fale wznoszące się podczas lodosu<sup>18</sup> oraz warkot silników łodzi rybackich.

<sup>18</sup> Lodos – silny wiatr wiejący z południowego zachodu, typowy dla wybrzeży morza Marmara i Morza Egejskiego.

Dayı Küheylan zapytał jak stary rybak, którego głos załamywał się podczas burzy:

– Doktorze, jak nazywała się książka, o której przed chwilą wspominałeś, ta pełna opowieści?

– *Dekameron*?

– Tak, właśnie ta. Przez dziwną nazwę nie mogłem jej zapamiętać.

– Sama książka też jest dziwna. Kiedy w mieście wybuchła epidemia dżumy, grupa kobiet i mężczyzn uciekała w poszukiwaniu schronienia w domu na wsi. Chcieli tam przeczekać zarazę. Jeżeli sposobem na uniknięcie śmierci jest ucieczka z miasta, najlepszym sposobem na zabicie czasu jest rozmowa. Przez dziesięć dni wieczorami siadali przy ognisku i opowiadali sobie historie. W języku dawnych mieszkańców Stambułu słowo *dekameron* znaczy „dziesięć dni”, stąd wziął się tytuł książki. Rozmawiali o seksie, miłości, plotkach i bez ustanku się śmiali. Złagodźli strach przed dżumą historiami, w których życie nie było brane nazbyt poważnie. Jedną z nich była powieść o księżniczce uciekającej na pustynię.

– Znałem *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*, ale nigdy nie słyszałem o historiach opowiedzianych w dziesięć dni. Dlaczego mój ojciec mi o nich nie powiedział? Znał za dużo innych historii?

– Może też je opowiedział, ale nie podał źródła.

– Któż to wie? – zastanowił się Dayı Küheylan, który odczekał chwilę, jakby próbował przypomnieć sobie wszystkie historie zapisane w pamięci, zanim zapytał: – Czy w *Dekameronie* miastem, w którym wybuchła dżuma, był Stambuł?

– Dayı Küheylan, dla nas każde miasto jest Stambułem. Miejsce, w którym dziecko w ciemności pomyliło wąskie ulice, to Stambuł. Stambuł to miasto, do którego ciągną kolejno młodzieniec w poszukiwaniu dawnej miłości, myśliwy podążający tropem czarnego lisa, statek targany przez burzę, księżę chcący dzierżyć w dłoni cały świat jak diament, buntownik przysięgający się nie poddawać, dziewczyna uciekająca z domu, by spełnić marzenia i zostać piosenkarką, ludzie żądni pieniędzy, złodzieje i poeci. Każda historia opowiada o tym mieście.

– Doktorze, mówisz jak mój ojciec. Mawiał, że w Stambule życie pod ziemią miesza się z tym na powierzchni. W obu, zanim zamacha skrzydłami ptak czasu, ciemność rozciąga się jak cień. Mój ojciec znał sekret tego miejsca, ale zamiast otworzyć go wyjawić, odsłaniał go po kawałku, opowiadając historie. Stambuł nie był częścią czegoś, ale całością składającą się z wielu części. Właśnie to próbował nam przekazać. Być może ojciec również usłyszał tę tajemnicę w takim miejscu jak to tutaj, pod ziemią.

– My teraz dowiadujemy się tego, czego kiedyś dowiedział się twój ojciec.

– Ale ci z *Dekameronu* mieli więcej szczęścia od nas. Ucieczką z miasta uchronili się przed śmiercią. My natomiast zostaliśmy wrzuceni na sam jego spód, w ciemność. Nie ma czegoś takiego, czego byśmy nie oddali, by znaleźć się teraz wśród opowiadających historie z *Dekameronu*, prawda? Oni udali się tam z własnej woli, a nas przyprowadzono tutaj siłą. Co gorsza, oni oddalili się od śmierci, a my zbliżyliśmy się do niej na wyciągnięcie ręki. Jeżeli nasz Stambuł jest tym miastem z *Dekameronu*, to podejrzewam, że los bohaterów każdej historii zmierza w innym kierunku, nieprawdaż?

– Masz rację, Dayı Küheylan – odparłem.

Zanim zdążyłem dokończyć zdanie, usłyszeliśmy odgłos otwierania żelaznych drzwi. Nasze ciała zadrżały. Spojrzeliśmy po sobie, a potem zwróciliśmy wzrok ku dziurze w drzwiach. Przysłuchiwaliśmy się rozmowom na zewnątrz. Czekaliśmy, aż głosy zaczną rozchodzić się po korytarzu. Wiedzieliśmy, że uczucie, którego doznawaliśmy od dwóch dni za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, i pytaliśmy siebie samych, czy przyszli po kogoś, czy też przynieśli jedzenie, nie było ciekawością, tylko obawą. Dzisiejszą rację żywieniową dostarczyli kilka godzin temu. Teraz albo zmienia się warta, albo wezmą jakieś dokumenty i sobie pójdą. Zastanawiałem się, czy była inna możliwość, która nie zaburzyłaby naszego spokoju w celi. Tutaj byliśmy zadowoleni z obecnego stanu rzeczy. Jeżeli tylko nas nie torturowano, siedzieliśmy, wtulając się w siebie nawzajem, rozmawialiśmy i zapadaliśmy w sen czujny jak



sen królika; to nam wystarczało. Nie traktowaliśmy szczęścia na powierzchni jako punktu odniesienia. Świat na górze składał się z odległych wspomnień. Dla nas brak bólu oznaczał szczęście. Nie przeszkadzało nam to. Jeżeliby nas tak zostawili, bylibyśmy zadowoleni.

– To też minie – powiedział Dayı Küheylan. Rozmawiał z Demirtayem.

Student z pobladłą twarzą próbował zrozumieć, o czym mówią na korytarzu. Nie były to typowe rozmowy strażników. Docierały do nas głosy wielu osób wchodzących sobie w słowo. Na zmianę szeptali i wybuchali śmiechem. Zrozumieliśmy, że dwudniowa przerwa dobiegła końca. Od kogo zaczną? Od nas, od celi naprzeciwko, czy też od końca korytarza?

– Minie, prawda? – zapytał słabym głosem Demirtay.

– Oczywiście, że minie. Czy nie mijało za każdym razem? Dlaczego teraz miałyby być inaczej? – odpowiedział Dayı Küheylan.

– Za każdym razem, gdy prowadzili mnie na tortury, czułem się gotowy. Ale od dwóch dni moje mięśnie się rozluźniły, przyzwyczailem się do wygody. Tym razem będzie bolało bardziej niż zwykle.

– Demirtay, ból jest zawsze ten sam. Ten sam, co na początku. Byliśmy tam już wiele razy. Znowu pójdziemy i znowu wrócimy pewni siebie.

Strach zawsze krążył w naszych żyłach, jak mysz zębami wgryzał się w nasze serca. Często wątpiliśmy w siebie samych. Czy będziemy w stanie wytrzymać ten ogień powodujący zawroty głowy, przerażenie wystawiające na próbę nasze zdrowie psychiczne? Wstrząsy elektryczne pozbawiają zdolności myślenia, ale równocześnie jakaś siła, której źródła nie znamy, podtrzymuje nas przy życiu. Kiedy ciało staje się coraz cięższe, czujemy, że wszelkie istnienie pogrąża się w niepewności, jak Księżyc krąży wokół Ziemi i Ziemia wokół Słońca, nabiera prędkości. Ból nie do wytrzymania skręcał zarówno nasze poczucie czasu, jak i umysł.

– Może nikogo nie wezmą – powiedziałem. – Może pójda sobie tak samo, jak przyszli.

Podobnie jak Demirtay, przyzwyczailem się do wygody ostatnich dwóch dni i prawie zaczęło mi się wydawać, że już mnie stąd nie wyprowadzą. Być może o nas zapomnieli albo nie chcieli im się schodzić tak głęboko pod powierzchnię ziemi. Byliśmy jak zwierzęta, które karmiło się od czasu do czasu i które potem zostawiało się samym sobie. Badaliśmy wilgoć na ścianach, wączaliśmy otaczające nas powietrze i wtulaliśmy się jeden w drugiego. Przychodziliśmy, kiedy nas wzywano, odchodziliśmy, kiedy kazano nam odejść. Nadstawialiśmy uszu i nasłuchiwalismy, jakbyśmy po raz pierwszy słyszeli rozchodzące się po korytarzu i powoli zbliżające się odgłosy kroków.

– Gdy wrócimy, dam ci odpowiedź na pytanie, które zadałeś – powiedział Dayı Küheylan.

– Które pytanie? – zapytał z zaciekawieniem Demirtay.

– Zapomniałeś o własnej zagadce? Pamiętasz? Stara kobieta powiedziała o dziewczynce, że jest córką jej córki i siostrą jej męża. Długo się nad tym zastanawiałem i wiem już, jak to jest możliwe. Kiedy wrócimy, porozmawiamy o tym przy raki.

Twarz Demirtaya rozpromieniła się jak oblicze dziecka gotowego uwierzyć w kłamstwo.

– Dobrze. Jeżeli znaleźliście odpowiedź na to pytanie, mam dla was kolejne. Do rana nie wstaniemy od stołu. Zgoda?

– Pewnie, Demirtay. Napić się z tobą to dla mnie nie lada honor!

Drzwi się otworzyły. Światło wdarło się do środka jak fala powstała wskutek lodosu. Podnieśliśmy ręce, by chronić twarze, zmrużyliśmy osłepione oczy.

– Wstawać!

Powoli się podnieśliśmy. Ustawiliśmy się w rzędzie.



Jednym ruchem pociągnęli za ramię Demirtaya, a potem Dayı Küheylana. Mnie natomiast kazali zostać.

Nie wzięli mnie? Nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, czy smucić z powodu moich przyjaciół. Spojrzałem na wychudłe ramiona Studenta Demirtaya i pewnie siebie kroki Dayı Küheylana. Byli skazywani na cierpienie, którego ja tym razem nie będę musiał doświadczyć. Choć z jednej strony było mi ich żal, z drugiej czułem ulgę, że moje ciało nie będzie bite, a moja twarz splamiona krwią. Ból był nieunikniony, ale tym razem przeszedł obok mnie i porwał ze sobą innych. Za sprawą instynktu w pierwszej kolejności myśleliśmy o sobie samych, interesowała nas własna korzyść. Uczyli nas tego na pierwszym roku studiów. Ale człowiek miał też inne cechy. Dla tych, których kochamy, jesteśmy gotowi cierpieć, nawet stawić czoła torturom.

– Ty też wstawaj! – krzyknęli do Fryzjera.

Kamo, który od dwóch dni nie dawał znaków życia i bez przerwy spał oparty o ścianę jak stary żółw, podniósł głowę, mamrocząc. Spojrzał na przesłuchujących, którzy stali w drzwiach. Zamiast się podnieść, wpatrywał się w nich.

– Do kogo mówię, durniu?! – wrzasnął jeden z nich.

Fryzjer Kamo nie ruszał się, jakby był nieodłączną częścią ściany. Jego plecy przykleiły się do muru, a stopy przyrosły do betonu. Nie pamiętał, od kiedy tam siedział. Westchnął ze znużenia. Drgnął. Jedną ręką złapał się ściany. Uwierzywszy, że tym razem naprawdę go zabierają, wstał z obojętnym wyrazem twarzy. Nie było widać na niej ani obawy, ani spokoju. Choć w snach wielokrotnie prowadzono go na tortury, za każdym razem budził się w celi. Dlaczego zawsze, gdy wszyscy inni cierpieli, on czekał i podczas gdy oni wychodzili przez żelazne drzwi, on spał w celi? Zadawał sobie te i inne pytania i wpadł w furję, bo nie zwiżał się z bólu tak jak pozostali. Miał nadzieję, że cierpienie ciała mogłoby zmniejszyć ból duszy. Od dłuższego czasu czekał na to niecierpliwie.

Kamo skierował się do drzwi i między przesłuchującymi wyszedł na korytarz. Nikt nie musiał go poganiać. Było to zaproszenie, na które czekał od dawna. Nie obchodziło go, co spotka go na końcu korytarza, za żelaznymi drzwiami i w pokoju tortur.

Strażnicy nie odeszli od razu. Wskazując na osobę czekającą na korytarzu, powiedzieli:

– Wrzucie tego łajdaka do Doktora.

Pociągnęli za włosy mężczyznę, którego ciało było pokryte krwią, i uderzywszy go w plecy, wpełchnęli do środka. Upadłem na ziemię wraz z nim, bo wpadł na mnie. Uderzyłem głową o ścianę. Wydawało mi się, że moje ramię, które przygniótł, jest złamane. Doszedłem do siebie po tym, jak zamknęły się drzwi, a w środku znowu zapadła ciemność. Wyprostowałem się. Spojrzałem na mężczyznę, który siedział pochylony nade mną. Wył z bólu.

– Dobrze się czujesz? – zapytałem.

Pomogłem mu się wyprostować. Z trudem usiadł i oparł się o ścianę.

– Boli mnie rana – odpowiedział.

– Która?

Jego włosy, twarz, szyja pokryte były krwią, ale złapał się za lewą łydkę.

– W nodze. Rana od postrzału.

– Od postrzału?

– Tak, dwa dni temu złapali mnie podczas strzelaniny. W szpitalu wyciągnęli nabój, a potem przywieźli mnie tutaj. Od rana mnie torturują.

Gdy wyciągnąłem rękę, aby dotknąć jego nogi, grymas wykrzywił mu twarz, a ciało się spięło.

Chorzy nie czuli się swobodnie, gdy oglądano ich rany. Kiedy w pierwszych latach mojej praktyki lekarskiej starałem się zrozumieć tę reakcję, która wprawiała mnie w zdziwienie, zauważyłem, że nie tylko pacjenci, lecz także mieszkańcy Stambułu w ogóle uciekali przed dotykiem. Dawniej, gdy zmagaliśmy się z takimi chorobami zakaźnymi jak dżuma czy cholera, ludzie mimo wszystko mieli bliższy kontakt ze swoimi ciałami. Jednak czasy się zmieniły, a miejsce chorób zakaźnych zajęły rak, cukrzyca czy choroby serca, z którymi zmagamy się indywidualnie; pacjenci ukryli się pod grubą skorupą i wiodą życie niemal pozbawione kontaktu fizycznego. Jakby stwierdzenie „jestem człowiekiem” było zapowiedzią oddalenia się od innych i stworzenia pewnego dystansu. W obecnych czasach nie tylko obcy sobie ludzie, lecz także przyjaciele uciekają przed dotykiem. Zauważyłem, że pacjenci przychodzący do mojej przychodni czuli się jak koty uwięzione w klatce. Byli spięci, czego nie dało się wytłumaczyć wyłącznie obawą przed chorobą. Gdyby w Stambule wybuchła nie epidemia dżumy, a epidemia dotyku, ci ludzie w panice rzuciliby się do ucieczki.

– Pozwól mi spojrzeć na ranę. Jestem lekarzem.

Jego spodnie były w strzępach, szwy się porozdzierały. Rana na łydce była odsłonięta. Nałożono na nią opatrunek i zawinięto bandażem. Powoli podniosłem gazę. Aby lepiej widzieć, przesunąłem nogę w kierunku smugi światła padającego przez otwór w drzwiach.

– Nie krwawi. Szwy są na swoim miejscu.

Kiedy zakładałem opatrunek z powrotem, zauważyłem, że mężczyzna trochę się uspokoił i zmęczonymi oczami śledził moje ruchy.

– Zimno mi – powiedział.

Przyłożyłem dłoń do jego czoła.

– Masz gorączkę. To normalne, gdy rana jest jeszcze świeża. Nie martw się, to przejdzie.

– Mam nadzieję.

Podąłem mu kawałek chleba i sera, które leżały obok pojemnika z wodą.

Zawahał się, jakby zobaczył coś egzotycznego. Przyglądał się chlebowi, aż w końcu zjadł go w dwóch gryzach. Sięgnął po naczynie z wodą.

Napił się i powiedział:

– Nazywam się Ali. Wszyscy mówią mi Çakmak Ali.

Znałem to imię. Wryło mi się w pamięć jak ostry gwóźdź. Zbliżyłem się, żeby lepiej widzieć jego twarz. Spojrzałem na surowe brwi i zmarszczone czoło. Nie wiem, czy miał trzydzieści lat, ale wyglądał na starszego od mojego syna.

– Mów mi Doktor – odparłem.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś Doktorem z Cerrahpaşa?

– Owszem.

Znaliśmy swoje imiona, ale nigdy wcześniej nie mieliśmy okazji poznać się osobiście. Spotkanie, które miało odbyć się kilka tygodni temu na jednej z najpiękniejszych ulic Stambułu albo w kawiarni na wybrzeżu, doszło do skutku w tej celi. Czyli nasze prawo do życia wciąż się nie wyczerpało, jeszcze nie dotarliśmy do końca drogi. On również przyglądał mi się z zainteresowaniem.

– Byłem przekonany, że jesteś studentem Wydziału Medycyny w Cerrahpaşa – oznajmił.

Czy powinienem powiedzieć mu prawdę?

Kiedy u mojej żony stwierdzono raka śledziony, jej życzeniem było jak najszybciej umrzeć. Powiedziała mi: „Zrób mi zastrzyk, oszczędź mi cierpienia. To ty odbierz mi ostatni oddech”. Kiedy zaczęliśmy się spotykać i jako para kochanków przechadzaliśmy się po Stambule, jak było

wtedy w modzie, na każdej przystani wypowiadaliśmy życzenia i w każdym parku liczyliśmy płatki kwiatów. Na podstawie ich liczby obstawialiśmy, czy będziemy mieli nieparzystą czy parzystą liczbę dzieci. Jakże chcieliśmy wtedy znać swoją przyszłość! Gdzie będziemy mieszkać za dziesięć lat, co będziemy robić za dwadzieścia? Nie myśleliśmy, co będzie za pięćdziesiąt, chcieliśmy żyć pełnią życia, zanim osiągniemy ten wiek. Moja żona dotarła do granicy państwa zwanego Śmierć i teraz chciała tylko bez bólu przejść na drugą stronę. Powiedziałem jej:

„Najdroższa, jeżeli zgodzisz się, byśmy umarli razem, zrobię ten sam zastrzyk tobie i sobie”.

Odpowiedziała, próbując się uśmiechać:

„Ty musisz zostać przy życiu. Zając się naszym synem, zobaczyć, jak jego dzieci dorastają. Potem przyjdiesz do mnie. Nie wcześniej”.

Kiedy mój syn dorósł i stał się młodzieńcem, chciałem, by jak najszybciej się ożenił i spełnił marzenia matki. On natomiast wyprowadził się z domu, przestał chodzić na zajęcia na Wydziale Medycyny, mimo że był już na ostatnim roku, i wybrał dla siebie inną drogę, dołączając do jednej z rewolucyjnych grup, które wyrastały jak grzyby po deszczu w całym mieście. Z każdej strony dochodziły mnie wieści o starciach i zabitych. W gazetach śledziłem wydarzenia. Bałem się, gdy widziałem imiona podobne do imienia mojego syna i zdjęcia osób, które go przypominały. Czasem, jak wsiadałem na statek albo szedłem ciemnym przejściem pod mostem, albo bezsenną nocą przechadzałem się wzdłuż wybrzeża, mój syn pojawiał się koło mnie i mocno mnie przytulał. Czułem wtedy zapach jego matki. Dotykałem jego palców, patrzyłem w chudną z dnia na dzień twarz i próbowałem dostrzec światło w gasnących oczach. Mawiał: „Nie martw się, tato. Te dni miną”. Ale nie mijały. Czas się dłużył, a moje strapienie i tęsknota rosły z każdym dniem.

Pewnego deszczowego, jesiennego ranka wyszedłem wcześniej z domu i osłaniając się parasolem, podążałem w kierunku przychodni oddalonej od domu o piętnaście minut spacerem. Nagle mój syn schował się pod moim parasolem i tak szliśmy ramię w ramię. Powiedział: „Nie zatrzymuj się, idźmy dalej”. Był przemoknięty do suchej nitki. Trząsł się, kaszlał, przy ustach trzymał chusteczkę. W pewnym momencie nie mógł już dalej iść. Osuwając się na ziemię, spróbował się mnie złapać. Zatrzymałem taksówkę i zawiozłem go do szpitala. Miał gruźlicę. Zachorował na nią w mieście, w którym coraz rzadziej zdarzały się choroby zakaźne, bo ludzie unikali kontaktu fizycznego. Własnym zdrowiem zapłacił za wiarę w swoje przekonania. Mój syn, który mawiał: „Tato, zło jest tak samo zaraźliwe jak dobro”, zapadł na chorobę zakaźną, jakby właśnie to było mu pisane. Stare miasto umarło, nowe nie mogło się w żaden sposób narodzić. Wycie dochodziło spod ziemi. Nawet zapach deszczu był nie do zniesienia. Młodzi ludzie w imię marzeń zapuszczają się w miasto, jak statki wypływające na zasnutę mgłą oceany; jak okręty, które kończą rozbite na brzegu, z podartymi na strzępy żaglami. Czy kiedyś to miasto kochało swoje dzieci? Czy komuś kiedykolwiek okazało czułość? Gdy mówiłem podobne rzeczy, mój syn mawiał: „Tato, naszym zadaniem nie jest żebranie o miłość, ale jej tworzenie. To właśnie jest cel naszej walki”.

Mój syn, który dał własnemu ojcu życiową lekcję, leżał teraz nieprzytomny, trzęsąc się w szpitalnym łóżku. Pot spływający z jego czoła moczył poduszkę. Siedziałem przy nim cały dzień, nasłuchiwałem jego oddechu, sprawdzałem temperaturę. Kiedy nocą korytarze szpitala opustoszały i słychać było tylko pojedyncze kroki pielęgniarek, mój syn otworzył oczy i wyszeptał:

„Muszę wstać, jutro mam spotkanie”.

Nawet gdybym mu pozwolił, prosił o coś, czemu nie był w stanie podołać.

„Tato, to bardzo ważne. To kwestia życia i śmierci moich przyjaciół. Jutro muszę się z kimś spotkać”.

Oprócz gruźlicy jego nerki i żołądek nie były w dobrym stanie. Zaniedbał się do granic możliwości. Przez dłuższy czas nie było mowy o wyjściu z łóżka. Zapropnowałem:

„Synu, jeżeli to takie ważne, pójdę za ciebie, nie martw się”.

Nie był w stanie odpowiedzieć, zamknął tylko oczy i zasnął głębokim snem. Jego twarz przybrała niewinny wyraz, ten sam, któremu przyglądałem się w blasku nocnej lampki, kiedy zakradałem się po cichu do jego pokoju. Mimo upływu lat wciąż gościł na jego twarzy. Chciałem, by po przebudzeniu wyglądał tak samo, ale kiedy nastał dzień, a on otworzył oczy, spojrział na mnie ze smutkiem. Uniósł kościste palce. Stłumionym głosem powiedział:

„Tato”.

Zbliżyłem się do jego twarzy. Odpowiedziałem:

„Synu”.

Byłem gotowy oddać mu życie, którego nie chciała jego matka. Pogładziłem go po włosach, złapałem za rękę. Z jego zakażonych piersi dochodziło rżęzenie. Mówił dalej:

„Tato, gdyby to nie było naprawdę ważne, nie prosiłbym cię o to. Pójdiesz do Biblioteki Ragipa Paszy na Laleli. Zobaczysz tam dziewczynę. Ona jest pośrednikiem. Wskaże ci miejsce spotkania z osobą o imieniu Çakmak Ali. Zwróć uwagę na porę, którą poda ci ta kobieta. Spotkanie będzie miało miejsce godzinę wcześniej. Nie znam żadnej z tych osób. Będą myśleli, że jesteś mną. Ponieważ studiuje medycynę, nazywają mnie Doktorem. Tobie nie robi to większej różnicy. Jeżeli coś pójdzie nie tak i dostaniesz się w ręce policji, powiesz im, kim jesteś naprawdę”.

Kiedy mężczyzna czuł się naprawdę spełniony? Moja żona powiedziała, że po porodzie doświadczyła uczuć, których wcześniej nie znała. Mówiła: „Teraz czuję się spełniona. Tak jakby wszystkie części we mnie wskoczyły na swoje miejsca”. Na jej twarzy malował się spokój, jakiego do tej pory nie widziałem. Patrzyłem na nią z zazdrością, ciekawiła mnie satysfakcja, której doświadczyła. Jakież było to poczucie pełni? W jaki sposób ja mogę osiągnąć taki stan? Czy wystarczy być dobrym dla innych i pójść na spotkanie zamiast syna? Czy wzięcie na własne barki części jego brzemienia połączy to, co jest we mnie rozbite i zapewni mi poczucie spełnienia? Kiedy siedziałem samotnie na stambulskim wybrzeżu bądź nocą kładłem głowę na poduszce czy też wolnym krokiem rano zmierzałem do pracy, zadawałem sobie pytanie, o którym często myślałem: „Kiedy mężczyzna czuł się naprawdę spełniony?”.

Mój syn też pewnego dnia postawi sobie to pytanie.

Powiedziałem: „Synu, zarejestrowałem cię tutaj pod imieniem i nazwiskiem jednego z moich pacjentów. Nikt nie zna twojej prawdziwej tożsamości. Jesteś bezpieczny”.

## Dzień siódmy

• *Opowiada Student Demirtay*

### ZEGAREK NA ŁAŃCUSZKU

– Kiedy dyrektor biblioteki na Beyazit, pan Şerafet, przyszedł tego ranka do pracy, zauważył, że nikogo nie było przy drzwiach. Zwykle każdego dnia dwoje miłośników książek czekało z samego rana. Tym razem był sam. Zbliżywszy się do bocznej ściany budynku, który ze stajni meczetu został zmieniony w bibliotekę, otworzył opakowanie wątróbki. Schylił się i położył na bruku cienko pokrojone kawałki mięsa. Przyglądał się zbierającym się dookoła kotom. Potem zajął się gołębiami pod jaworem. Z torby wyciągnął papierową torebkę wypełnioną pszenicą i rozsypał ziarna wokół drzewa. Tutaj koty żyły w zgodzie z ptakami, jedne nie wadziły drugim. Kiedy dyrektor się podniósł i skierował w stronę drzwi, zobaczył zbliżającą się dwójkę zapalonych czytelników. Przywitał się z nimi i zwrócił im uwagę, że dziś przyszli z dziesięciominutowym opóźnieniem. Oboje spojrzeli na swoje zegarki i powiedzieli, że są punktualnie. Dyrektor wyciągnął z marynarki zegarek na łańcuszku. Porównali czas. Zegarki miłośników czytania się spóźniały. Dyrektor uśmiechnął się pobłaźliwie, ale kiedy zauważył w ciągu dnia, że nie tylko ich zegarki się spóźniały, lecz także zegarki wszystkich w bibliotece i poza nią miały dziesięciominutowe opóźnienie, zrozumiał, że coś jest nie tak. Dostojna wskazówka czasu zmieniła swój bieg w Stambule. Choć dzwonki w szkołach, seanse kinowe, statki – wszystko było opóźnione o dziesięć minut, nikt nie czuł przesunięcia czasu. Dzieciaki, które okrzykami zachęcały do zakupu porannej gazety, nie wspominały słowem o tym wydarzeniu. Dyrektor każdego dnia otwierał bibliotekę wedle własnego zegarka i codziennie zadawał sobie to samo pytanie: „Dlaczego nagle wszystkie zegarki się spóźniają?”. To w rzeczywistości długa historia, ale wam ją streszczę. W jednym zakątku świata kończyła się wojna, w innym właśnie miała wybuchnąć. Mimo unoszącego się zapachu wiosny w Stambule czuło się ciężar powietrza. Załogi statków wypływały w morze z obojętymi wyrazami twarzy, kobiety zapomniały zebrać pranie, które od kilku dni wisiało na sznurkach. Dyrektor Şerafet, który nie mógł już znieść zmiany w czasie, denerwował się nagminnymi spóźnieniami pracowników biblioteki. Postanowił więc, że trzeba podjąć w tej sprawie jakieś kroki. Rankiem karmił koty i gołębie, potem pracował w bibliotece do południa, następnie zostawiał bibliotekę pracownikom, a sam spędzał resztę dnia, składając wizyty w pozostałych bibliotekach w mieście. Po czytelnikach rozchodziły się szept. Spiker w radiu narodowym spóźniał się z podawaniem wiadomości, a muezin wzywał do modlitwy z dziesięciominutowym opóźnieniem. W całym Stambule zmienił się czas i wydawało się, że tylko zegarek dyrektora podawał niepoprawną godzinę. Pan Şerafet nie miał pojęcia, że znalazł się w niebezpieczeństwie i obserwowały go służby specjalne. Nawet nie był w stanie sobie wyobrazić, jakie skutki miało opóźnienie w pracy radia czy nawoływania do modlitwy. Powtarzał: „Muszę chociaż uratować biblioteki”. Opowiadał bibliotekarzom o prawdziwym czasie i znikającej rzeczywistości. Mówił, że także koty i gołębie, które od lat mieszkały razem w Beyazit, się zmieniły – koty stały się bardziej agresywne, a podenerwowane gołębie machały skrzydłami. Przekonywał: „Musimy zająć się czasem, musimy pokazać następnym pokoleniom, co jest prawdą”. Jeżeli tylko zegarek na łańcuszku chodził bez ustanku i każdego dnia ktoś go nakręcał, czas działał na ich korzyść. Dyrektor wierzył w to całym sercem. Pewnego ranka panu Şerafetowi w ostatniej chwili udało się uniknąć potrącenia przez jadący na niego samochód, w południe oddał przydrożnemu



sprzedawcy zatruty şerbet<sup>19</sup>, bo szklanka była brudna, ale wieczorem nie zdołał uciec od noża, który w mroku wbito mu w plecy, kiedy przechodził przez własny ogród, by wejść do domu. Sąsiedzi zbiegli się, usłyszawszy krzyki jego żony. Wezwali lekarza. Gdy pan Şerafet zrozumiał, że doszedł już do końca swojej drogi, powierzył małżonce zegarek, który trzymał w kieszeni. Kobieta spojrzała na piękny przedmiot z kopertą wysadzaną czerwonymi rubinami i powiedziała ze smutkiem: „Jak to możliwe, że podczas gdy wszystkie inne zegarki wskazują zły czas, tylko twój dobrze chodzi?”. Pan Şerafet popatrzył na nią z czułością i poprosił, by zbliżyła się do niego. Obserwowany przez zaciekawionych sąsiadów wyszeptał jej coś do ucha, a potem na zawsze zamknął oczy. Następnego dnia umyto jego wątłe ciało, a po modlitwie, która została odprawiona z dziesięciminutowym opóźnieniem, zaniecono je na cmentarz. Jego zwłoki zasypano wilgotną ziemią. Sąsiadki zalewały się łzami, ale były też ciekawe, co pan Şerafet powiedział swojej żonie tuż przed śmiercią. Odpowiedziała z płaczem: „Nie usłyszałam, co powiedział mój mąż. Przecież jestem przygłucha”.

<sup>19</sup> Şerbet – słodki napój o konsystencji syropu, przygotowywany z owoców lub płatków kwiatów.

Dayı Küheylan powtórzył ostatnie zdanie zamiast mnie:

– Przecież jestem przygłucha.

Zaśmialiśmy się równocześnie.

W celi nie cierpieliśmy tak bardzo, ale znajdowaliśmy się na granicy bólu. Czyż nie byliśmy w takiej samej sytuacji na powierzchni? Wśród wieżowców, klaksonów i tłumu bezrobotnych też coś mogło nam się przytrafić, mogliśmy spojrzeć śmierci w oczy. Wielkie miasto, owinąwszy najpierw w sztuczne futro, mogłoby nas nagle wypchnąć i wrzucić do studzienki kanalizacyjnej jak niechciany płód. To ryzyko zwiększało nasz apetyt i skłaniało, by każdy dzień przeżywać z pasją. Wierzyliśmy, że zbliżamy się do rajy, ale wiedzieliśmy też, że piekło znajduje się pod naszymi stopami. Dlatego w mieście jest co niemiara przyjemności, ale też strach cię nie opuszcza. Pękając ze śmiechu, zapominaliśmy o otaczającym nas świecie. Każde uczucie odznaczało się zbyt dużą żarliwością, przeżywaliliśmy je samolubnie, a potem przyklejało się do naszej skóry i zużywało, zostawiając nieprzyjemny zapach. Byliśmy tego coraz bardziej świadomi, coraz bardziej chcieliśmy zmienić Stambuł.

Po wielodniowym opieraniu się, tak jak u mieszkańców Stambułu z opowieści, mój zegarek też zaczął się spóźniać, a podczas przesłuchań zadawałem sobie więcej pytań, niż stawiali mi strażnicy. Nie jestem maszyną, tylko człowiekiem; moje mięśnie i kości zbliżały się do granicy wytrzymałości. Zastanawiałem się, czy jeśli zaczną mówić, ktoś przez to wpadnie w tarapaty, i poszukiwałem sposobów na wytrzymanie bólu. Co by się stało, gdybym podał kilka informacji, by zatrzymać przesłuchanie? Co by było, gdybym rzucił im imię albo adres? Osoba, której personalia wyjawię, od dawna jest w bezpiecznym miejscu, a dom, którego adres zdradzę, od wielu dni stoi pusty. Biorąc to pod uwagę, próbowałem przekonać samego siebie. Ujawniłbym tylko mało ważne informacje i nikogo nie naraziłbym na niebezpieczeństwo. Przekonałbym przesłuchujących, jak i uchroniłbym siebie przed bólem. Czy to było niemożliwe? Nie wiem, jak w tamtej chwili słowa znajdowały drogę do mojego mózgu. Wstrząsy elektryczne, którym poddawane było moje ciało, najpierw przemieniały się w ból, potem w rozpacz, a następnie w niewinne wyrazy pałętające się po głowie. Zbliżałem się do granicy, której nigdy dotąd nie przekroczyłem.

Co powinienem zrobić, jaką postawę przyjąć? Chciałem zapytać Doktora, ale on też powiedziałby mi jedynie, bym miał nadzieję. Nie poradziłby nic na moje wychudzenie, nie



odpowiedziałby na pytania dręczące umysł. Przede mną była zakrwawiona ściana. Nie widziałem niczego poza nią. Byłem samotny jak bibliotekarz Şerafet, który na przekór wszystkim zegarom w Stambule ufał tylko własnemu. Na myśl przychodziło mi powiedzenie: „Wielkim marzeniom towarzyszy jeszcze większy smutek”. Po raz pierwszy w życiu smuciłem się z powodu poniesionej porażki, ganiłem się, że nie udało mi się wytrzymać bólu zadanego przez miasto.

– Już kiedyś opowiadałeś tę historię, ale miała inne zakończenie – powiedział Doktor.

– Tak jak nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, tak samo w Stambule nie opowiada się dwa razy tej samej historii – odpowiedziałem.

Życie było krótkie, a opowieści długie. My też chcieliśmy zamienić się w jedną z tych historii i popłynąć z nurtem rzeki nazywanej życiem. Opowiadanie było sposobem wyrażania tego pragnienia.

Dayı Küheylan dołączył do rozmowy:

– Ten zegarek na łańcuszku jest jedną z rzeczy związanych ze Stambułem, które wzbudzają moje zainteresowanie. Według opowieści mojego ojca rubiny na kopercie w ciemności świeciły jak gwiazdy. Ci, którzy spojrzeli na nie choć raz, potem przez całą noc wpatrywali się w niebo i po odnalezieniu konstelacji podobnej do ułożenia rubinów na wieczku zaczęli wierzyć w czas wskazywany przez zegarek na łańcuszku.

– Pamiętam bibliotekę, do której chodziłem, gdy byłem dzieckiem – powiedział Doktor. – Tamtejszy zegar zawsze śpieszył się o dziesięć minut. Wtedy zegarek z kopertą z rubinami często pojawiał się w opowieściach, które niemalże za każdym razem kończyły się inaczej. Tak jak Demirtay zmienia historie, które opowiada, tak samo te historie o zegarach zawsze miały inne zakończenie. W dzieciństwie nie przywiązywałem do tego zbyt dużej wagi, ale teraz zainteresował mnie ten zegarek na łańcuszku.

– Jakbyśmy nie mieli innych zmartwień w tej celi... – wymamrotałem sam do siebie.

Dayı Küheylan odwrócił się i spojrzał na mnie.

– A mamy inne zmartwienia, Demirtay? – powiedział poważnie, jakbyśmy nie siedzieli na gołym betonie pokrytym krwią, tylko przy piecu w lokalnej kawiarni.

Chciałem się zaśmiać z jego nadmiernej pewności siebie. Zamiast tego jednak zacząłem mówić o zwłokach kobiety, które widziałem w sali przesłuchań. W pewnym momencie przesłuchujący rozwiązali mi ręce i nogi, podnieśli mnie od stołu, przy którym siedziałem, i odsłoniли mi oczy. Pod ścianą leżała kobieta. Była naga. Całe jej ciało pokrywały ślady po cięciach. Widać było, że nie żyje, bo jej usta i piersi nie poruszały się przy oddechu. Jeden z przesłuchujących podszedł do kobiety i kopnął ją w brzuch. Potem kolejny zrobił to samo. I następny. Miażdżyli jej palce. Jeden z nich robił jej to wszystko i równocześnie patrzył na mnie. Był ciekaw przerażenia na mojej twarzy i tego, co powiem. W rytm pękających kości kiwał głową w obie strony, wydawał się rozbawiony. Obok ręki kobiety leżał zegarek. Miał stłuczone szkiełko. Przesłuchujący, który zauważył, że patrzyłem na ten zegarek, również spojrzał w tę samą stronę. Zapatrzył się przez chwilę, jakby ujrzał coś, o czym nie miał pojęcia. Potem nadepnął na zegarek butem pokrytym błotem i krwią. Mocno przycisnął podeszwą. Zgniół wskazówki, sprężynki i tarczę. Kiwał się na stopach, a jego głowa kreśliła koła w powietrzu. Na twarzy pojawił się wyraz upojenia. Pod jego stopami nie znajdował się zwykły zegarek, ale przeszłość i przyszłość, wczoraj i dzisiaj. Któż mógł go powstrzymać? Było to coś więcej niż ekscytująca przyjemność płynąca z jazdy szybkim samochodem czy pojawiająca się w chwili przekroczenia progu oświetlonego burdelu albo pokoju hotelowego, w którym jeszcze unosił się zapach kobiecych

perfum. Rozbijał na kawałki czas, dzierzył w dłoniach śmierć. Krew, mięśnie, kości – wszystko było w jego rękach. Nie potrafił przestać. Kiedy wskazówki godzinowa z minutową się kruszyły, czoło przesłuchującego pokrył pot, a żyły na jego skroniach pulsowały. Jak wszechmocni faraonowie, czuł, że bliżej mu do bogów niż do ludzi. Pojęcie grzechu czy kary dla niego nie istniało. Miał władzę nad bólem i ostatnim oddechem innych.

– Mnie również pokazali tę kobietę – powiedział Dayı Küheylan. – Podejrzewam, że było to po twoim przesłuchaniu. Rozbity zegarek leżał na ziemi, a szkło i metalowe części rozsypały się dookoła.

– To druga martwa osoba, którą widziałem, odkąd się tu znalazłem – odparłem.

Chciałem zapytać, czy po śmierci tej kobiety miało jakiegokolwiek znaczenie to, czy jej zegarek wskazywał poprawny czas. Albo jaki sens miało nasze cierpienie, jeśli ludzie żyjący na powierzchni nie mieli o nas pojęcia. Kiedy pierwsi ludzie porwali się na budowę wieży Babel, Bóg im to uniemożliwił poprzez pomieszanie języków, przez co nie mogli się porozumieć. Co z tego wynikło? Zapalczywy człowiek podbił zarówno ziemię, jak i niebo. Zbudował nie jedną, ale tysiące wież. Tysiące razy przebił niebo. Im wyżej sięgały budynki, tym bardziej człowiek uświadamiał sobie, że Bóg nie istnieje, i nie szukał go już więcej. Zbudowawszy miasta o strukturze bardziej skomplikowanej od mrowiska, zebrał w jednym miejscu wszystkie języki i rasy. Żył, jakby śmierć mu nie groziła. Jeżeli potrzebny byłby nowy Bóg, kto mógłby być lepszym kandydatem od człowieka? W miarę jak wzrastała jego siła, jego cień również rósł, a on, wpatrzony w ten cień, zapomniał o potrzebie czynienia dobra. Nie wiedział, co robi. Dobro zastąpiła poprawność, a miejsce poprawności zajął rachunek zysków i strat. Człowiek wymazał z pamięci wspomnienia pierwszej gorączki, pierwszego słowa, pierwszego pocałunku. Jedynym, co mu przypominało o istnieniu dobra, był ból, ale jego też próbował przyćmić lekami. Dlatego cierpiąc tu, częściej myślimy o dobru i jego miarą szacujemy swoją wartość. Ale zastanawia mnie – jakie znaczenie miało nasze cierpienie pod ziemią, skoro ci na powierzchni o nim nie wiedzieli?

– Demirtay, nie rozmawiajmy o śmierci – powiedział Doktor – tylko o pełnym energii życiu na górze. Mimo naszej nieobecności Stambuł żyje swoim hucznym, pełnym przepychu życiem. Miła jest ta świadomość, prawda?

Nie odpowiedziałem.

Dayı Küheylan przyglądał się nam obu. Kiedy zdał sobie sprawę, że na niego czekamy, powiedział spokojnym głosem:

– Na ścianie naszego domu wisiał dywan z jeleniami. Pozwólcie mi o tym opowiedzieć. Pewnego dnia mój ojciec wskazał na dywan i zapytał: „Czy potrafiłbyś kochać prawdziwego jelenia tak bardzo, jak podoba ci się ten na dywanie?”. To, że użył w jednym zdaniu słów „prawdziwy” i „jeleni”, z jakiegoś powodu mnie zdziwiło. Siedziałem przy oknie. Była noc. Na zewnątrz widziałem gwiazdy, pod gwiazdami były góry, a za górami jelenie. Ojciec spojrział na mnie, jakby ujrzał na mojej twarzy gwiazdy, góry i jelenie, i opowiedział mi historię pogrążonego w smutku młodzieńca ze Stambułu. Ten pogrążony w smutku młodzieniec zobaczył zdjęcie kobiety i zakochał się. Spędzał noce i dni, marząc o niej. Kiedy pewnego dnia się spotkali, spojrział na nią i odwrócił wzrok. Nie chciał więcej na nią patrzeć. Powiedział: „Kocham kobietę ze zdjęcia i nie żywię żadnych uczuć do tej w rzeczywistości”. Jego serce karmiło się marzeniem, a nie jej faktyczną obecnością. To miłość była dziwna czy człowiek? Mój ojciec powiedział, że mieszkańcy Stambułu również żyli w podobny sposób. Od ulic, którymi przechadzali się każdego dnia, mokrych od deszczu dachów i kawiarni ciągnących się

wzdłuż wybrzeża wolą powieszzone na ścianach obrazy przedstawiające Stambuł. Piją raki, opowiadają legendy, recytują wiersze, a potem wzdychają, patrząc na obrazy. Wydaje im się, że żyją w innym mieście. Na zewnątrz wody Bosforu płynęły wartko, statki zmagaly się z falami, a mewy przelatywały z jednej strony cieśniny na drugą. Dzieciaki próbujące się ogrzać przy ognisku rozpalonym pod mostem urządzały zakłady o marki samochodów, które przejeżdżały nad nimi, a pracownicy nocnej zmiany słuchali pełnych cierpienia piosenek. Obrazy wiszące w domach, kawiarniach i miejscach pracy pokazywały twarz Stambułu, ale miasto miało też drugie, niewidoczne oblicze. Wszyscy podziwiali obrazy jak zaczarowani, po czym zasypiali strapieni. Dzielili czas między sen a jawę.

W głowie Dayı Küheylan przewijało się tyle słów, że jego historie niosły w sobie więcej niż ulice miasta.

– Mieszkańcy Stambułu dzielą czas właśnie w ten sposób – powiedział, rozłożywszy ramiona. – Prawdziwy Stambuł uważają za miasto należące do przeszłości. Ta zmęczona stolica sułtanatu była niegdyś pełna energii, ale dziś zapadła w sen. Być może już nigdy się nie obudzi. Tak jak potężne pałace, opromienione chwałą historii, leży zasypana gruzami. Mieszkańcy Stambułu, którzy w to wierzą, czczą przeszłość i czytają powieści o dawnych czasach. Czy istniał jakiś czas poza terażniejszością? Czy to nie było miasto, które zbierało w sobie wszystkie epoki? Czy też jego początki sięgały innych miejsc? Woleli zapominać o tych i podobnych pytaniach, które czasami zaprzętały ich myśli. Nie widzieli tego, co bliskie, woleli to, co dalekie. Dzięki sztuce zapominania stawiali czoła cierpieniu, ale równocześnie nie zdawali sobie sprawy, że zapominali o terażniejszości. Życie i śmierć były dla nich jednym, a przeszłość nie miała granic. Podczas gdy odległe epoki kochali żarliwą miłością, gardzili miastem, w którym budzili się każdego dnia. Wylewali jedną warstwę betonu na drugą i wznosili kopuły, które są swoimi imitacjami. Niszczyli, łamali, a kiedy już się zmęczeni i wracali do domów, zasypiali pod pięknymi obrazami przedstawiającymi Stambuł.

Dayı Küheylan zwrócił się w moją stronę:

– Demirtay, słuchasz? Choć podobał mi się jeleń na dywanie, wolałem te żyjące w górach. Byłem przywiązany do opowieści o dawnym Stambule, ale ceniłem także jego obecny wygląd. Zrozumiałem jednak, że nawet jeżeli ludzie kochali dzisiejszy Stambuł, nie myśleli o nim z czułością. Miłość bez czułości czyniła ich samolubnymi. Nie znali swoich wad jak kochankowie, którzy mimo że kochali z całych sił, krzywdzili ukochanych. Ponieważ byli przekonani, że epoka szczęścia już minęła, nie wierzyli w Stambuł.

– Dlatego chciałeś tutaj przyjechać? Żeby zobaczyć rzeczywisty Stambuł? – zapytałem.

– Zastanawiałem się, czy przed śmiercią zdołam się skonfrontować ze swoim marzeniem. W ostatniej fazie mojego życia udało mi się zrobić ten krok i oto jestem. Czy ceną tej obecności musiało być cierpienie, którego doświadczam? Dlaczego nie spróbowałem wcześniej i nie udałem się tutaj, kiedy stanąłem twarzą w twarz ze śmiercią? Nie przejmuję się tymi pytaniami. Kiedy mnie złapano, powiedziałem przesłuchującym, że wyjawię im wszystkie tajemnice, jeśli tylko zabiorą mnie do Stambułu. Teraz jak maszyny każdego dnia zadają mi te same pytania. Opowiadam im o tym mieście, a oni nie rozumieją. Pokazuję, a oni nie widzą. Chcą, abym się poddał z powodu bólu i zrezygnował z przywiązania. Chcą, bym stracił wiarę w siebie i w Stambuł i stał się podobny do nich. Poddają mnie każdemu rodzajowi tortur. Rozrywają ciało, aby moja dusza była taka sama jak ich dusze. Nie zdają sobie sprawy, że w ten sposób moja wiara w to miasto się umacnia.

– Dayı Küheylan, nawet jeżeli nasza wiara staje się silniejsza, to co z tego? – powiedziałem

znużonym głosem. – Nikt nie wie, że cierpimy. Ludzie nie mają o nas pojęcia.

– Oprawcy wiedzą, że zadają nam ból.

Wiedziałem, że nasze cierpienie tutaj należy zarówno do miasta, jak i do czasu. Miasto i czas były tym samym. Właśnie dlatego Bóg stracił władzę nad tym miejscem. Nikt nad nami nie czuwał. Ci, którzy twierdzili, że Bóg stworzył dobro, a zło pochodziło od człowieka, mylili się. Gdyby Bóg chciał, stworzyłby bezgraniczne dobro. Dlaczego tego nie zrobił? Moim zdaniem to Bóg stworzył zło, a ludzie – dobro. Czy ci na górze byli tego świadomi? Czy istniał ktoś, kto myślał o nas i przejmował się tym, przez co przechodziliśmy?

– Najlepszymi świadkami cierpienia są ci, którzy je zadają. Tak bardzo jak oni są w nas, my jesteśmy w nich – podkreślił Dayı Küheylan.

– Mówicie o czasie – powiedział Doktor. – Çakmak Ali był tak samo ciekawski. Bez przerwy pytał o godzinę.

Doktor rozmawiał z Çakmak Alim, którego przyprowadzono tu wczoraj. Opatrzył jego ranę i kiedy zobaczył, jak bardzo zmarzł, ściągnął marynarkę i zarzucił mu ją na ramiona. Çakmak Ali chciał wiedzieć, która jest godzina, narzekał, że nie ma tutaj zegara. Tak jak wszyscy nowo przybyli, był ciekaw, w jaki sposób mija tu czas. Na zewnątrz w ciągu dnia upływał, podążając za słońcem, a w nocy był na niebie, na którym zapadał zmierzch. W miejscu pracy rozciągał się między jedną a drugą zmianą. W szkole – pomiędzy dzwonekami na przerwę, w samochodzie – na liczniku prędkości. Na górze każdy hałas, każdy przedmiot na ulicach wskazywał czas. Ale tutaj, gdzie on był? Na szarej ścianie, ciemnym suficie, w żelaznych drzwiach? W krzykach słyszanych z daleka jak wycie wilka, w krwi na ścianach, w ostatnim spojrzeniu zabieranych na tortury, z których mieli już nigdy nie wrócić? Çakmak Ali też się nad tym zastanawiał. Kiedy przyszli po niego i ze zranioną nogą wychodził powoli z celi, pierwsze, co zrobił, to zapytał strażników o godzinę. Odpowiedzieli mu: „Jesteś na końcu czasu. Dla ciebie czas już nie istnieje”.

W dniu, kiedy go złapano, Çakmak Ali był z przyjaciółmi w Lesie Belgradzkim<sup>20</sup>. Spotkali się w tym miejscu, bo mieli nadzieję, że z powodu zimna i śniegu będzie tam pusto. Było ich dwudziestu. Po raz pierwszy widzieli się w tak licznej grupie. Pracowali nad poznaniem planu tajnego budynku tortur zwanego Centrum Przesłuchań, schodzącego trzy piętra pod ziemię. Zastanawiali się, jak na niego napaść. Wzięli pod uwagę wszystkie wejścia, strażników i alternatywne drogi dostępu. Podzielili się zadaniami i zdecydowali, kto będzie za co odpowiedzialny. Palili papierosy jeden po drugim i rozmawiali o przyjaciółach, których aresztowano, oraz o młodych, którzy dopiero co do nich dołączyli. Mimo docierających złych wiadomości nie przestawali żartować i się śmiać. Nawet jeżeli nie wierzyli w dzisiaj, mieli wiarę w jutro.

<sup>20</sup> Las Belgradzki – las położony w europejskiej części Stambułu, swoją nazwę wziął od tysięcy Serbów, którzy wyemigrowali do Stambułu po podboju Belgradu przez Sulejmana Wspaniałego w 1521 roku.

Kiedy siedzieli ramię w ramię ubrani w płaszcze, z kaszkietami na głowach, ich uwagę rozproszył gwizdek ostrzegawczy strażników. Jeden z mężczyzn wstał i udał się w tamtym kierunku. Po chwili wrócił i powiedział: „Jesteśmy otoczeni, przygotujcie się do starcia”. Podzielili się na czteroosobowe grupy i rozbiegli po lesie. Nie zamierzali stać się zwierzyną łowną. Próbowali się zorientować, z której strony skoncentrują się przeciwnicy. Byстрыm wzrokiem rozglądali się dookoła. Wkrótce usłyszeli pierwsze strzały. Jedna z grup znalazła się blisko wroga. Odgłosy wystrzałów się powtórzyły. Grupa, której przewodniczył Çakmak Ali,

próbowała podejść otaczających ich strażników z innej strony niż reszta. Gdyby tylko mogli otworzyć korytarz po zachodniej stronie, łatwo byłoby dostać się stamtąd do strefy zabudowanej. Krążące helikoptery sprawiały, że gałęzie się trzęsły. Wróble, szpaki i kruki odlatywały w pośpiechu. Członkowie grupy przemierzali się niezauważeni przez helikoptery dzięki rozległym gałęziom drzew. Trudno im będzie wydostać się stamtąd przed zmrokiem.

Çakmak Ali i jego towarzysze przemierzający wzgórze rzucili się na ziemię, gdy tylko nieopodal usłyszeli strzały. Kiedy się zorientowali, że w zasięgu wzroku nie ma nikogo, zrozumieli, że strzały nie były wymierzone w nich. Po drugiej stronie wzgórza starły się dwie inne grupy. Żołnierze Çakmak Alego zdecydowali przyjść im z pomocą. Być może uda im się zaskoczyć atakujących i ułatwić ucieczkę przyjaciom. Poruszali się po cichu. Wszystko potoczyło się jednak inaczej, niż oczekiwali. Omijając jedną grupę napastników, wpadli w zasadzkę innych. Pod ostrzałem pomyliły im się kierunki. Kto strzelał, kto atakował, kto się wycofywał? Nie mieli szansy się dowiedzieć. Gałęzie się łamały, a śnieg kłębił się na wietrze, dlatego nie byli w stanie nawzajem się usłyszeć. Strzelali, aż helikopter nad nimi opuścił to miejsce i udał się w inne. Potem strzały ucichły. Çakmak Ali zrozumiał, że odłączył się od przyjaciół i został sam. Rozglądnął się, ale nikogo nie dostrzegł. Tropiąc ślady na śniegu, sprawdził za krzakami. Jego towarzysze albo zostali postrzeleni, albo udali się w inną stronę.

Bez ustanku zmieniał kierunek marszu. Zamiast szukać drogi ucieczki w pojedynkę, zdecydował się pójść w stronę, z której dochodziły dźwięki wystrzałów, i pomóc innym grupom. Za każdym razem udawało mu się uniknąć zasadzki przeciwnika. Kiedy załadował broń ostatnim magazynkiem, ledwo łapał oddech. Był zmęczony. Upadł na kolana między drzewami, następnie położył się w śniegu. Chciał ochłonać. Kiedy zastanawiał się, w którą stronę się udać, spojrzął na gałęzie nad głową. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że zaczyna zapadać zmrok. Chmury zanikały, w niebie robiły się dziury. Ciemność się rozprzestrzeniała jak atrament w wodzie. Drzewa wydawały się coraz wyższe. Nie było widać księżyca. Kiedy Çakmak Ali usłyszał, że ktoś go wzywa, złapał za broń.

Poszedł w kierunku postaci przy drzewie. Jak tylko zobaczył Mine Bade ze swojej grupy, padł na kolana. Siedziała na ziemi oparta plecami o rudawy pień. Ciężko oddychała.

„Straciłam sporo krwi”, powiedziała.

„Gdzie masz ranę?”, zapytał.

„Postrzelili mnie w pierś”.

„Zabiorę cię stąd”.

„Nawet nie próbuj. Wiem, że zbliża się koniec”.

„Nie, idziemy stąd!”, nalegał.

„Mam nadzieję, że innym udało się uciec”.

„Biorąc pod uwagę, że strzały ustały...”.

„Poszli stąd”.

„Mogę cię nieść. Po ciemku łatwo będzie wyjść z lasu”.

„Çakmak Ali, wiem, że nigdy nie zostawiasz żadnego zadania niedokończonego. Ale daj sobie spokój ze mną, doprowadź do końca plan, o którym dziś rozmawialiśmy”.

„Skok?”.

„Tak, musimy zaatakować Centrum Przesłuchań i uratować tych, którzy są tam torturowani”.

„Zrobimy to razem”.

„Bardzo bym chciała. Tam jest mężczyzna, którego kocham. Marzę o tym, by go uratować, przytulić...”. Zanim Mine Bade dokończyła zdanie, zamknęła oczy. Çakmak Ali zaniepokojony



dotknął jej twarzy.

Z daleka dochodziło pohukiwanie starej sowy. Kobieta otworzyła oczy.

„Chce mi się pić”, powiedziała.

Çakmak Ali wziął do ręki trochę śniegu i podał jej.

„Rozpuści się w twoich ustach”.

„Ali, wiesz, kogo kocham?”.

„Wiem”.

„Nie odważyłam się mu powiedzieć”.

„Nie martw się. On też cię kocha”, zapewnił.

„Naprawdę? Mówisz serio?”.

„Znajomi o was rozmawiali. Wszyscy wiedzą, że się kochacie. Chyba tylko wy dwoje tego nie widzieliście”.

Mine Bade wzięła głęboki wdech. Oparła głowę o drzewo. Spojrzała w niebo. Kiedy zobaczyła dwie spadające gwiazdy, jedna po drugiej, ucieszyła się jak dziecko:

„Widziałeś te gwiazdy?”.

Przytaknął.

„Pomyślałam życzenie”.

„Na pewno się spełni, nie martw się”.

„Czuję gorąco na twarzy”.

„Kiedy cię postrzelili?”.

„Jakąś godzinę temu. Szłam na oślep. W końcu upadłam pod tym drzewem”.

„Mogą cię wytropić po śladach krwi”.

„Do rana nie będą szukać śladów. A ja i tak nie dotrwam do świtu”.

„Mogą przyjść po ciemku. Nie powinniśmy tutaj zostawać. Nieopodal wyjścia z lasu są domy, w których możemy się schronić”.

„Ali, już się nie boję. Czy to dlatego, że wiem, że mężczyzna, którego kocham, również mnie kocha?”.

„Dobrze, że przestałaś się bać”.

„Nie muszę mu nawet mówić, że go kocham. Wystarczyłoby, żebym go przytuliła”.

„Może on bardziej od ciebie wstydział się tej rozmowy”.

„To dlatego tak na mnie patrzył?”.

„Jak?”.

„To spojrzenie... Bardzo cierpi podczas tortur?”.

„Uwolnimy go od tego cierpienia”, obiecał.

„Nie marnuj czasu na mnie, Ali. Idź i znajdź przyjaciół. Uratuj ich przed bólem”.

W oddali znowu rozległo się pohukiwanie starej sowy. Gałęzie się zatrzęsły. W pobliżu ktoś oddał strzał.

Çakmak Ali położył Mine Bade na ziemi. Sam ułożył się obok. Rozejrzał się dookoła, przyglądając się otaczającym drzewom i krzakom. Nie widział nikogo. Było ciemno. W bezksiężycową noc światło gwiazd nie wystarczało, żeby daleko sięgnąć wzrokiem. Wstrzymał oddech. Kiedy nieopodal usłyszał trzepot skrzydeł odlatujących ptaków, powiedział: „Czekaj spokojnie, sprawdzę tylko tamtą stronę i wrócę”.

Szedł powoli, w ciszy. Rozejrzał się za drzewami. Podniósł głowę i spojrzał na gałęzie. Nie zobaczywszy nikogo, pomyślał, że poszedł w złym kierunku. W momencie, gdy miał już zawrócić, dotarł do niego odgłos strzału i Ali upadł na ziemię. Zwinął się z bólu. Podczas gdy



jedną ręką trzymał się za ranną nogę, drugą szukał broni, którą upuścił w śnieg. Nie dali mu szansy. Otoczyli go. Przyłożyli mu broń do skroni i do pleców. Założyli kajdanki.

Krzyczał ile tchu w piersiach: „Zostawcie mnie! Zostawcie mnie!”.

Zachowanie Çakmak Alego wzbudziło podejrzenia mężczyzn, ruszyli więc po śladach na śniegu i dotarli do miejsca, gdzie leżała Mine Bade. Kiedy doszli do drzewa o rudawej korze, oświetlili latarką okolicę. Zobaczyli plamy krwi, ale nikogo nie znaleźli.

„Kto tu jest? Kogo ostrzegłeś krzykiem?”.

Çakmak Ali odpowiedział: „Nikommu nie dawałem żadnego sygnału”.

„Twoje ślady tutaj prowadzą. Mów, kto zostawił te plamy krwi!”.

„Jakiej krwi? Nie widzę nic poza śniegiem”.

Kiedy Çakmak Ali upadł na ziemię powalony ciosami, pomyślał o Mine Bade. Ucieszył się, że udało jej się uciec pomimo tak poważnej rany. Sam był już u kresu drogi. Albo zabiją go tutaj, albo pozwolą mu żyć jeszcze kilka dni. Był na to gotowy. Chciał przekląć, ale z ust wypełnionych krwią nie był w stanie wydać niczego poza jękiem. Gdy już tracił przytomność, zobaczył nad sobą światła helikoptera i usłyszał strzały padające ze wszystkich stron lasu.

Czy marzenie Mine Bade się spełni? Czy uda jej się uciec z lasu i czy rana na jej piersi się zagoi?

Zaprotestowałem. Doktor opowiadał tak, jakby był świadkiem tych wydarzeń.

– To nie było życzenie Mine Bade. Ona chciała, by napadnięto na Centrum Przesłuchań i ocalono cierpiących. Być może jej życzenie się spełni i nas uratują.

– Może masz rację, Demirtay. Może jej życzenie odnosiło się do nas.

– Poza tym dwie gwiazdy spadły tej nocy. Nawet jeżeli jedna nie spełni życzenia, druga na pewno to zrobi.

– Oby.

– W kim była zakochana Mine Bade? Çakmak Ali wyjawiał jego imię?

– Nie.

– Ten mężczyzna jest tutaj z nami, w tej rzeźni.

– W podziemiu jest wiele cel. Któż wie, w której on się znajduje? – odpowiedział zamyślnym głosem Doktor.

– W opowieści najbardziej spodobało mi się to, jak bardzo Mine Bade ucieszyła się na wieść, że jest kochana. Życzyłbym sobie tego samego: dowiedzieć się tutaj, że ktoś mnie kocha...

– Demirtay, to nie fikcja, ale prawdziwa historia.

– Doktorze, czy wszystko, co wydarzyło się w przeszłości i o czym się mówi, nie staje się opowieścią? Tu nie ma czegoś takiego jak przeszłość. Czy to miejsce nie nauczyło nas tego?

Przypominaliśmy zwykłych mieszkańców Stambułu. Albo tęskniliśmy za dniem wczorajszym, albo marzyliśmy o jutrze. Za wszelką cenę chcieliśmy ignorować teraźniejszość. Opowiadaliśmy na zmianę historie o przeszłości i o przyszłości, a dzień dzisiejszy uważaliśmy za most między przeszłością a przyszłością. Baliśmy się, że się zerwie i runie w przepaść pod nami. Bez ustanku zadawaliśmy sobie to samo pytanie: „Do kogo należało dzisiaj?”.

Z korytarza, zza żelaznych drzwi doszedł do nas głośny dźwięk. Zaczęliśmy się przysłuchiwać. Kiedy ten sam odgłos powtórzył się kilka razy, zrozumieliśmy, że były to strzały. Przesłuchujący albo testowali broń, albo właśnie pozbawili kogoś życia. Dayı Küheylan, chcąc się pochwalić, że zna rodzaje broni tak dobrze jak ludzi, stwierdził:

– To beretta.

Czekaliśmy na kolejne wystrzały. Korytarze za żelaznymi drzwiami były długie, kręte

i oddzielone licznymi ścianami. Nie było wiadomo, skąd dochodziły odgłosy. Kiedy znowu usłyszeliśmy strzały, Dayı Küheylan powiedział:

– Tym razem to browning.

Potem dźwięki ustały. Ściany wróciły do dawnego milczenia.

– Robi się późno, nikogo nie ma – powiedział Dayı Küheylan. – Zachodzi słońce i zapada zmierzch. Wczoraj mieliśmy napić się raki, ale nam się nie udało. Co powiecie na szklaneczkę?

Mieliśmy pić na balkonie domu Doktora. Tak sobie wymarzyliśmy. Gdy po drugiej stronie zapalały się światła, z każdej dzielnicy mieliśmy wybrać po piosence. Po kolei wyliczyć: Üsküdar, Kuzguncuk, Altunizade, Salacak, Harem, Kadıköy, Kınalıada, Sultanahamet, Beyazıt. Mieliśmy rozpoznawać meczety po minaretach i po dźwięku klaksonów zgadnąć, gdzie zrobił się korek. Od wieków robili co w ich mocy, by zniszczyć to miasto. Burzyli, rozbijali, budowali budynki jeden na drugim. Pomimo takiego nagromadzenia zła, nadal dziwiliśmy się, jak Stambułowi udało się tak długo stawiać opór i pozostać równie pięknym. Byliśmy pod wrażeniem jego bezgranicznego uroku.

Przed oczami malowała się nam następująca scena: Doktor nakrył stół białym obrusem. Przyniósł ser, melona, fasolę, humus i jogurtowy dip haydari<sup>21</sup>. Dołożył przyrumieniony chleb, sałatę i caciki. Między tym wszystkim rozstawił talerze z dolmami i ezme<sup>22</sup>. Na środku umieścił wazon z żółtymi różami. Na stole nie zostawił centymetra wolnego miejsca. Kiedy napełniał szklanki raki, upewnił się, że wszystkim nalał po równo. Do alkoholu dołał wody. Włączył muzykę. Zabrzmiała rzewna piosenka.

<sup>21</sup> Haydari – tradycyjny dodatek do potraw przygotowywany z jogurtu i sera typu feta, z dodatkiem czosnku, koperku i mięty.

<sup>22</sup> Ezme – przystawka z ostrej papryki i pomidorów podawana z oliwą z oliwek, cytryną i melasą z granatów.

– Zapraszam do stołu.

Unieśliśmy puste dłonie i wykonaliśmy gest, jakbyśmy wznosili toast.

– Na zdrowie.

– Na zdrowie!

– Niechże to będzie najgorszy dzień naszego życia!

Nasze dłonie przez chwilę zawisły w powietrzu.

– Niechże to będzie najgorszy dzień naszego życia – powtórzył Dayı Küheylan.

Wszyscy wybuchliśmy śmiechem.

Dobrze, że nie piliśmy w tawernie, tylko na balkonie u Doktora. Hałasowaliśmy tak, że moglibyśmy przeszkadzać ludziom przy stolikach obok.

Na dole dźwięk klaksonów mieszał się z krzykiem mew. Stambuł, nieświadomy naszego istnienia, żył swoim własnym rytmem. Na tarasie naprzeciwko młodzi popijali piwo. Jeden z nich grał na gitarze, inni próbowali mu po cichu wtórować. Na samej górze sąsiedniego budynku kobieta w oknie rozmawiała przez telefon, a wolną ręką poprawiała włosy. Okienne większości domów były otwarte. Starszy mężczyzna w fotelu oglądał telewizję, a obok niego bawiły się dzieci. Wraz z zachodzącym słońcem kolor morza ciemniał. Statek z Eminönü do Üsküdaru zapalił światła i przemierzał cieśninę wypełniony radością i nadzieją.

– Zinê Sevda niedługo przyjdzie. Ma trochę spraw do załatwienia. Powiedziała, że się spóźni – rzekł Dayı Küheylan.

Wznieśliśmy szklanki w toaście.

– Za dziewczynę z gór, Zinê Sevdê.

– Za dziewczynę z gór, Zinê Sevdê!

Zapaliły się światła na wieży Leandra. Błyszczały i kołysały się niczym naszyjnik z pereł na szyi Stambułu. Wyciągnąwszy rękę, mogliśmy ich dotknąć. Wpatrywaliśmy się w wieżę Leandra, każdy z nas zatopił się w innych wspomnieniach i wsłuchał się w melodię piosenki dochodzącej z magnetofonu.

– Teraz już wiemy, jaki był powód – powiedział Doktor. – Wiadomo, dlaczego przez ostatnie dwa dni nas nie torturowali i nikt nie zabrał nas z celi. Zeszło się to w czasie z potyczką w Lesie Belgradzkim. Strzelanina była dosyć duża. Zająła rozległy teren i trwała długo. Może nasi strażnicy też do niej dołączyli? A nas zostawili samym sobie.

Dayı Küheylan uśmiechnął się i powiedział:

– Kiedy nasze cierpienie się zmniejszyło, gdzie indziej umierali inni. Cóż za przedziwny świat! Miejmy nadzieję, że gdy znów będziemy cierpieć, ludzie w innym miejscu będą mieli się dobrze.

Wznieśliśmy szklanki.

– Za zdrowie innych.

– Za zdrowie innych!

Piliśmy szybko. Stęskniliśmy się za raki.

Chciałbym być teraz tak radosny jak ci młodzi na tarasie naprzeciwko, szczęśliwy jak kobieta w oknie i spokojny jak mężczyzna w fotelu przed telewizorem. Gdybym mógł zejść z tego balkonu, udałbym się na most Galata. Zjadłbym kanapkę z rybą. Obserwowałbym łódki przepływające przez Złoty Róg. Potem wszedłbym pod górę na Beyoğlu i udał się do kina. Czasem nie wybieram filmu, tylko kino. Decyzję opieram na budynku, dekoracjach i wspomnieniach, jakie mam z tego miejsca. W kinie, które odpowiada mojemu stanowi ducha, każdy film oglądam z przyjemnością.

– Dayı Küheylan, czy nie przyszedł czas na rozwiązanie zagadki? Co ty na to? – zapytałem.

– Masz rację.

Powtórzyłem pytanie, które zadała mi babcia w *gecekondu*: „Ze starszą kobietą mieszkała mała dziewczynka. Kobieta wyjaśniła: to córka mojej córki, a zarazem siostra mojego męża. Powiedz mi, jak to możliwe?”.

Dayı Küheylan wziął do ręki kawałek chleba i zanurzył go w humusie. Powoli żuł ugryziony kęs. Wierzchem dłoni przetarł wąsy. Kiedy zobaczył, że patrzę na niego z zaciekawieniem, powiedział:

– Bądź cierpliwy, Demirtay, opowiem ci coś. W naszej wsi żyła kobieta o ciemnej karnacji, koło czterdziestki. Mieszkała sama z blondwłosą dziewczynką. Ich sąsiadem był młodzieniec w wieku około dwudziestu lat. Kobieta była blisko z młodzieńcem. Często spotykali się w stodole, a potem się pobrali. W tym samym czasie do wsi wrócił ojciec chłopaka. Wiele lat wcześniej wyjechał do Stambułu za pracą i ślad po nim zaginął. Wszyscy myśleli, że albo umarł, albo zapomniał o wsi. Ojciec miał około czterdziestu lat. Był sam. Zakochał się w blond dziewczynce i zaczął z nią nowe życie. Wkrótce urodziła im się córka. Kobieta o ciemnej karnacji, która została babcią, bardzo się z tego ucieszyła i każdą wolną chwilę spędzała z wnuczką. Gdy bawiły się przed domem, zawsze powtarzała te same słowa: „Córka mojej córki, siostra mojego męża, na świecie nie ma takiej drugiej jak ona”. Choć wszyscy patrzyli na nią z niedowierzaniem, miała rację, prawda?

– Ale tak być nie może! – zdziwiłem się tą odpowiedzią.

– Jak to? Mylę się?

– Niestety masz rację. Ale to niemożliwe. Jak udało ci się zgadnąć za pierwszym razem?

Dayı Küheylan i Doktor wybuchli śmiechem jak starcy, którzy spędzili razem całe życie. Wzniesli toast i wzięli po łyku raki.

– Nie znałem odpowiedzi od razu. Dwa dni myślałem nad tym i przez myśl przeszło mi czterdzieści różnych możliwości. Dopiero po jakimś czasie udało mi się znaleźć rozwiązanie.

– A historia, którą opowiedziałeś, jest prawdziwa, czy ją wymyśliłeś?

– Cóż to za pytanie, Demirtay? Czy nie ty powiedziałeś, że wszystko, co miało miejsce w przeszłości i o czym się mówi, jest opowieścią? W takim razie działa to także w drugą stronę. Każda historia, którą tu opowiedzieliśmy, wydarzyła się i jest prawdziwa.

Miał rację. Moja zagadka również zawierała element, który czynił ją prawdziwą: babcia mieszkająca na Hisarüstü wypatrywała mnie, czekała, aż przyjdę z rozwiązaniem zagadki. Obiecałem, że wrócę cały i zdrowy. Że nie wpadnę w pułapkę Stambułu. Że będę pomagał potrzebującym, że będę szedł sam w tłumie, że nie poddam się przyprawiającemu o zawrót głowy urokowi ulic oświetlonych neonami. Być może na jakimś przystanku spotkam się z Yasemin. Być może którejś pięknej nocy usiądę obok niej i będę słuchał, jak recytuje. Uwierzę tej poezji. Na zewnątrz wszędzie księżyc, a niebo rozświetli się żółtymi, różowymi i czerwonymi gwiazdami.

– Demirtay, jakie było kolejne pytanie?

– Które pytanie?

– Wczoraj powiedziałeś: „Jeżeli będziecie znać rozwiązanie tej zagadki, zadam wam kolejną”.

Byłem pełen nadziei, gdy wychodziłem z *gecekondu* babci. Myślałem o zagadce i zadaniu jej innej, kiedy przyjdę w odwiedziny. Miałem nadzieję, że jeśli odpowiem pytaniem na pytanie, nasza więź się zacieśni i będę mógł składać częstsze wizyty. Ale nie biegłem wystarczająco szybko, los mnie dopadł i wylądowałem w tej celi. Zagadkę, którą zarezerwowałem dla babci i którą miałem zadać w *gecekondu* z widokiem na cały Stambuł, zadawałem teraz w podziemnym lochu.

– Obok mężczyzny siedzi młoda dziewczyna – powiedziałem. – Tym, którzy pytają, kim ona dla niego jest, odpowiada: „Jest ona zarówno moją żoną, jak i córką, i siostrą. Czy to możliwe?”.

– Wygląda na skomplikowane.

– No jasne. Myślałeś, że zadam proste pytanie?

– Zarówno żona, jak i córka, i siostra, tak?

– Zgadza się.

– Chcesz mnie zmęczyć.

– Zajrzyj w zakamarki pamięci, być może żył w waszej wsi ktoś taki.

Dayı Küheylan odpowiedział, śmiejąc się:

– Niechże trochę pomyślę. Jeżeli sobie nie poradzę, poproszę Doktora o pomoc. Co ty na to, Doktorze, pomożesz mi?

– Oczywiście.

– Jak wolisz, możesz zapytać też Fryzjera Kamo... – zaproponowałem.

Wszyscy trzej spojrzeliśmy na siebie i w tym samym momencie unieśliśmy szklanki z raki.

– Za Fryzjera Kamo.

– Za Fryzjera Kamo!

– By wrócił cały!

Podczas gdy w pierwszych dniach życzyliśmy sobie wyjść stąd i zmieszać się ze stambulskim tłumem, w miarę jak mijały dni, nasze oczekiwania się zmniejszały i w końcu mieściły się

w granicach tej celi. Teraz marzyliśmy o tym, by zabrani na tortury wrócili cali, bez skaz na umysłach i duszach. Tak właśnie czekaliśmy na Fryzjera Kamo, którego wzięli wczoraj. Opowiadaliśmy sobie historie, piliśmy raki, słuchaliśmy muzyki. Obróciliśmy głowy i patrzyliśmy na światła migoczące na morzu. Próbowaliśmy zapomnieć o ranach. Gdy tylko usłyszeliśmy dźwięk, który przypominał otwierające się drzwi, spojrzeliśmy po sobie. To był odgłos przeklętych żelaznych drzwi. Wybił nas z rozmarzenia, nagle przypomniał nam sobie, że nie znajdowaliśmy się na balkonie Doktora, tylko w podziemnej celi.

Dzień ósmy

• *Opowiada Doktor*

## **STRZELISTE WIEŻOWCE**

– Kiedy z powodu awarii elektryczności samolot z czwórką załogi i trzydziestoma siedmioma pasażerami na pokładzie nie mógł wylądować na stambulskim lotnisku i zniknął nad ciemnym morzem, kolejnego ranka mieszkańcy Stambułu obudzili się zaniepokojeni. Gdy o wpół do ósmej przepływali statkiem z Kadıköy na europejską stronę, przy herbacie czytali poranną prasę i od czasu do czasu spoglądali na gazetę sąsiada, by upewnić się, czy nie ma w niej innych wiadomości. Siedzący przy oknach starli parę i przykleili nosy do szyb, jakby mieli zobaczyć za burtą kogoś wołającego o pomoc. Przepływając przez tunel czasu składający się z jednej strony ze stacji kolejowej Haydarpaşa, koszar Selimiye i wieży Leandra, a z drugiej z Błękitnego Meczetu, Hagii Sophii i pałacu Topkapı, dotarli do brzegu, z którego wyrastały betonowe budynki i strzeliste wieżowce. Każdego dnia z ciekawością i nadzieją przepływali z jednej strony na drugą. Nawet jeżeli w domu ich nastrój się zmieniał, na statku, w pociągu czy w autobusie przybierali wyraz twarzy, którego wymagał od nich dany dzień. Rankiem trzeciego dnia, kiedy z tą samą powagą czytali gazety, popijając herbatę, młodzieniec o długich włosach grał na gitarze i śpiewał piosenkę rockową w hołdzie tym, którzy zginęli w katastrofie samolotu. Utwór spodobałby się zmarłym. W tym momencie za burtą rozległy się krzyki. Kiedy wszyscy wyszli na zewnątrz i spojrzeli na brzeg, zobaczyli nieprzytomną kobietę, którą zimne fale wyrzuciły na skały Złotego Rogu. Była jedyną osobą, której udało się przeżyć katastrofę. Według jednej z gazet miała tylko połamane nogi. Według innych popękały jej bębenki w uszach, język doznał paraliżu albo oślepała na jedno oko. Na pierwszych stronach wszystkich gazet widniało jej zdjęcie. Leżała w szpitalu zaplątana w rurki i kroplówki, a obok niej siedział mężczyzna w garniturze i filcowym kapeluszu. Według jednego z nagłówków miał powiedzieć: „Cieszę się, że moja żona wyszła cało z wypadku”. W innej gazecie ten sam mężczyzna mówił: „Udało mi się nawiązać kontakt z córką”. Jeszcze w innej: „Bóg oddał nam z powrotem naszą siostrę”. Pasażerowie statku podzielili się przeczytanymi wiadomościami i dyskutowali, która wersja jest prawdziwa. Kiedy każdy bronił swojej, dyskusja przeciągnęła się na kolejny dzień. Jedyną informacją, która zgadzała się we wszystkich gazetach, były imiona: pani Filiz i pan Jean. Pozostałe części historii były zdradzane każdego dnia jak powieść w odcinkach, a szczegóły wydarzenia nie pojawiały się już w dziale z wiadomościami z kraju, tylko na stronach poświęconych kulturze i literaturze. Do coraz dłuższej opowieści za każdym razem dodawano nowe elementy z życia pani Filiz i pana Jeana: pan Jean, który urodził się i wychował w Europie – według niektórych wersji we Francji, wedle innych w Szwajcarii – w młodości przyjechał do Stambułu. W jednym z domów uciech na Beyoğlu miał romans z występującą tam piosenkarką – Francuzką bądź też Szwajcarką. Wspólnie zwiedzili turystyczne miejsca Stambułu i on wrócił do kraju, zostawiwszy kobietę w ciąży, czego nie był świadomy. Kiedy zaczął pracować na uniwersytecie, który wcześniej ukończył, jako wykładowca socjologii albo biologii bądź też fizyki, ożenił się z wykładowczynią z tego samego wydziału. Był szczęśliwy, pracowity, doceniany. Gdy po pięciu – według niektórych dziesięciu – latach rozszedł się z żoną z nieznanych przyczyn, przysiągł sobie, że nigdy więcej się nie ożeni. Przez lata żył sam i pozostał wierny temu postanowieniu, dopóki nie zakochał się w jednej ze swoich studentek. Była to pochodząca ze Stambułu pani Filiz. Zdecydowali się pobrać i zaprosili na ślub matkę



narzeczonej. Gdy ze względu na opóźnienie samolotu matka dotarła na wesele w ostatniej chwili i weszła do sali, w której zebrali się goście, pan Jean nie wiedział, co począć ze zdziwienia. Stojąca przed nim kobieta była piosenkarką z domu uciech, z którą przed laty miał romans w Stambule. Rozpoznali się od razu, ale udali, że się nie znają. Pasażerowie statku, którzy przeczytali w gazecie, że pani Filiz jest zarówno żoną, jak i córką pana Jeana, popatrzyli na siebie zaskoczeni. Od dawna nie słyszeli o tak niefortunnym zbiegu okoliczności. Kolejnego dnia dowiedzieli się, że to nie był koniec opowieści. Kiedy pan Jean był niemowlęciem, jego matka opuściła dom i zostawiła go na wychowanie ojcu. Gdy ojciec pana Jeana, który siedział na początku weselnego stołu, zobaczył matkę panny młodej, nie uwierzył własnym oczom. Była to jego żona, która przed laty odeszła z domu. Poznali się od razu, ale udali, że się nie znają. Tak też młoda pani Filiz była nie tylko żoną i córką pana Jeana, lecz także jego siostrą. Pasażerowie statku, czytając historię słowo po słowie, wzdychali ze zdziwienia na końcu każdego zdania. Ponieważ dorastali, oglądając czarno-białe dramaty, wierzyli we wszystko, co przeczytali. Nawet jeżeli wersje w gazetach nie pokrywały się, prawdę widzieli nie w tym, co się zgadzało, ale w tym, co było ze sobą sprzeczne. Jeden z pasażerów podniósł gazetę i powiedział: „To jeszcze nie koniec. Dobrze, wiemy, że pani Filiz była zarówno żoną, córką, jak i siostrą pana Jeana, ale moja gazeta dodaje jeszcze jedną informację. Była również jego ciotką”. Pasażerowie statku wyrazili sprzeciw, twierdząc, że to już przesada. Ale z nadzieją, że uda im się poznać jeszcze bardziej zadziwiające detale, chcieli usłyszeć również tę wersję historii. Jak każdy, kto lubi plotki, próbowali wyglądać zarówno na zainteresowanych, jak i obojętnych. Pomieszali cukier w herbacie i spojrzeli przez okno. Statek przepływał przez zamglone morze zwane czasem, powoli zmierzając w kierunku epoki strzelistych wieżowców po drugiej stronie cieśniny.

Zatrzymałem się. Zmrużyłem oczy jak podróżujący, który wypatruje czegoś z daleka. Rozejrzałem się dookoła.

– Statek przepływał przez zamglone morze zwane czasem...

Student Demirtay, który z zaciekawieniem czekał na to, jak zakończę historię, uśmiechnął się.

– Doktorze, pomogłeś Dayı Küheylanowi. Rozwiązałeś za niego zagadkę, którą zadałem – powiedział.

Widać było, że Demirtay miał trudności ze śmianiem się. Ciało bolało go coraz bardziej. Kiedy dzisiaj przyprowadzili go z przesłuchania, był na wpół przytomny. Mamrotał niezrozumiałe słowa, jęczał. Nie mógł poruszać ramionami. Opuścił głowę. Położył się na betonie, jakby kładł się do łóżka, wziął głęboki wdech i odpłynął. Zdjąłem marynarkę i zamiast podłożyć mu ją pod głowę, by spał spokojniej, przykryłem go, żeby było mu nieco cieplej. Poprawiłem jego włosy. Starłem mu krew z czoła i szyi.

Kiedy później przyprowadzili Dayı Küheylana, poczułem się jak na dyżurze na pogotowiu. Co chwilę przychodzili ranni. Łuk brwiowy Dayı Küheylana był rozcięty. Koszulę i spodnie znowu miał całe zakrwawione. Podeszwy stóp obite. Położyłem go obok Demirtaya i powiedziałem:

– Obudźcie się lepszego poranka.

Rozłożyłem marynarkę na piersiach obojga. Przysłuchiwałem się ich ciężkim oddechem. Przyglądałem się ich twarzom. Czuwałem przy nich, dopóki nie przyszła kolej naszej celi na toaletę. Pomogłem im dotrzeć do łazienki na początku korytarza. Demirtay mógł iść sam, choć z trudem, a Dayı Küheylan kuśtykał, opierając się o mnie.

– Czy jest z tym jakiś problem? – zapytał. – Wczoraj zadałeś pytanie nam obu, ale odpowiedział na nie Doktor.

– Miałeś trudność ze znalezieniem odpowiedzi?  
– Zastanawiałem się nad nim przez dłuższy czas, ale nie wpadłem na żaden pomysł i poprosiłem Doktora o pomoc.

– Czyli odpowiedź na to pytanie była ukryta nie w waszej wsi, tylko w Stambule?

– Tak, na to wygląda. Która wieś może współzawodniczyć ze Stambułem w zagadkach, które zmieniają kłamstwo w prawdę?

Demirtay zapytał, jakby znał odpowiedź na pytanie:

– Dayı Küheylan, Stambuł też kiedyś taki był? Czy to miasto wciąż kłamie, od zawsze oszukuje?

Natura nie kłamie. Dzień i noc, narodziny i śmierć, trzęsienie ziemi i burza były prawdziwe. Stambuł nauczył się prawdy od natury, ale sam stworzył kłamstwo. Wymyślił malowanie oczu, zmienianie twarzy, zabawy z pamięcią. Przywiązał do siebie wszystkich i stworzył pijaków, którzy wierzyli, że następnego ranka obudzą się w ramionach ukochanej. Stworzył biedaków, którzy byli przekonani, że bogacze zarabiali pieniądze w uczciwy sposób. Dawał dużo nadziei. Do tych ze złamanymi sercami na pewno któregoś dnia uśmiechnie się szczęście. Bezrobotni któregoś dnia wrócą do domu z chlebem i mięsem. Aby ukryć samotność, oświetlał witryny sklepowe. Zamiast zadowolić się nieobecnością Boga, stworzył umysł, który uważał się za Boga. Stambuł, kuszący swoim zapachem, był jak kochanka składająca obietnice, ale zawsze trzymająca na dystans. Potrafił najlepiej kłamać. Stworzył kobiety i mężczyzn, którzy z całych sił chcieli mu wierzyć.

– Demirtay, coraz bardziej zaczynasz przypominać mojego ojca. Jak on zadajesz trudne pytania – powiedział Dayı Küheylan.

– Już za późno.

– Na co za późno?

Demirtay wzruszył ramionami i powtórzył:

– Już za późno.

Ciekawe, czy Student na zewnątrz też taki był. Czy łatwo stawał się pesymistą, gdy przechadzał się między sklepowymi szyldami, kawiarniami i żebrakami? Podczas gdy wszystko na ulicy zmieniało się co chwilę, a kształty mieszały jeden z drugim, być może również jego wnętrze ewoluowało. Student przeżywał radość i smutek jednocześnie. Smucił się podczas śmiechu i czasem w połowie zdania milknął. „Już za późno”. Czy sam wiedział, na co było za późno?

– Demirtay, jako że nie zaprzeczyłeś, przyznajesz, że znalazłem rozwiązanie zagadki – włączyłem się do rozmowy.

– Jeżeli mam być z tobą szczerą, Doktorze, bardziej od zagadki zainteresowała mnie katastrofa samolotu z opowieści.

– Słyszałeś o tym wypadku?

– Tak, koleżanka mojej matki była w tym samolocie. Miały się spotkać następnego dnia. Mama zamierzała dać jej powieść, którą właśnie przeczytała. Kiedy usłyszała o wypadku, najpierw nie uwierzyła. Całymi dniami czekała na dobre wieści.

– Co twoja matka zrobiła z książką?

Demirtay spuścił głowę i przez chwilę wpatrywał się w swoje stopy. Każdego dnia marzył coraz bardziej. Nieważne, na którą stronę się obrócił, bolało go całe ciało. Jego ruchy spowalniały, a blask w oczach gasł. Ani rozmowa, ani milczenie nie przynosiły mu ukojenia.

– Nie wiem. Chyba została na półce. Nigdy nie zapytałem o to matki – odpowiedział.

– Gdybym był na twoim miejscu, ciekawiłaby mnie ta książka.

– Doktorze, ja nie myślę teraz o książce, tylko o pasażerach samolotu. Myślałem, że wszyscy zginęli w wypadku, nie wiedziałem, że jedna osoba ocalała.

Interesowała go kobieta, która uszła z życiem, ale wcale nie kwestionował, że ta część historii była prawdziwa. Człowiek zamknięty w tej celi rozumiał różne koncepcje, ale nie mógł być pewien, co dokładnie każda z nich oznacza. Wydawało mu się, że po raz pierwszy widzi światło, wodę i ścianę. Znaczenie każdego z dźwięków było inne. Człowiek, który stawiał sobie wiele pytań, nawet na swoje dłonie patrzył z powątpiewaniem. Nie był w stanie zrozumieć, dlaczego podczas gdy jedna strona opowieści miała otwarte zakończenie, druga była domknięta. Czy Stambuł nie był taki sam – życie toczyło się tu zarówno na ziemi, jak i pod jej powierzchnią. Demirtay, który dowiedział się tego dzięki cierpieniu, nie mógł zapytać, czym jest prawda.

– Szkoda, że moja matka nie miała o tym pojęcia – powiedział. – Gdyby wiedziała, że jedna osoba ocalała, dodałoby jej to otuchy. Łatwiej byłoby jej pogodzić się z losem, kiedy nocami paliła jednego papierosa za drugim. Samotne wychowywanie mnie było dla niej wystarczającym ciężarem. Podawała herbatę w jednej z firm. Chciała, żebym studiował i miał inne życie niż ona. Szła spać później niż ja, a wychodziła z domu ze mną, o tej samej porze. Kiedy patrzyła na zmieniające się reklamy na przystanku autobusowym, na niektórych widziała miejsca, gdzie wymarzyła sobie wakacje, na innych piękny dom, w którym kiedyś moglibyśmy zamieszkać. Z podekscytowaniem mówiła o naszym przyszłym życiu. Aby odłożyć pieniądze, chodziła sprzątać mieszkania w odległych częściach miasta. Dzielnice różniły się od siebie. Bogaci i biedni, ci ze wschodu i ci z zachodu, o twardych i miękkich akcentach, wszyscy mieszkali w różnych rejonach. Ci, którzy kiedyś mieli trudności z zaśnieciem z pełnym żołądkiem, podczas gdy ich sąsiedzi byli głodni, przeprowadzali się do innych dzielnic. W Stambule istniały małe miasta, w których syci i głodni pozostawali z dala od siebie. Kiedy w jednej części stolicy dzień się kończył, w drugiej zaczynała się zabawa. Kiedy jedna strona budziła się, by pójść do pracy, druga dopiero zasypiała. Każdy żył w swoim własnym Stambule, wśród podobnych do siebie. Gdy ludzie z różnych części patrzyli na morze, każdy z nich miał przed sobą inny widok. Kiedy moja mama biegła z jednej pracy do drugiej, marząc o tym, że dzięki temu uda jej się zmienić dom i dzielnicę, w której mieszkaliśmy, częściej wymieniała telewizor i lodówkę, była przekonana, że moja przyszłość będzie inna. Nie wiedziała, że ja w to nie wierzyłem. Doktorze, opowiadałem ci to? Kopciuszką zapytano: „Dlaczego zakochałaś się w księciu?”. Odpowiedziała: „Bajka nie dała mi innego wyboru”. Życie w naszej dzielnicy również nie dawało innego wyboru. Każda rodzina miała te same marzenia, ale wciąż znajdowała się w sytuacji bez wyjścia. Nikt nie pytał dlaczego. Ja też nie pytałem, aż nie przeczytałem książek, które dali mi starsi koledzy, z którymi graliśmy na pustym polu w piłkę.

Demirtay położył się i wziął do ręki pojemnik z wodą. Po dwóch łykach mówił dalej:

– W Stambule chleb i wolność były dwoma, nierozzerwalnie ze sobą związanymi pragnieniami. Albo dla chleba rezygnuje się z części wolności, albo w imię wolności rzeka się chleba. Nie można posiadać obu naraz. Młodzi z naszej dzielnicy chcieli zmienić swój los, marzyli o nowej przyszłości w cieniu oświetlonych witryn sklepowych. Im więcej książek czytałem, tym częściej zastanawiałem się, czy możliwa była inna przyszłość w Stambule naznaczonym ranami. Ulice były pełne samochodów, a połacie ziemi budynków. Liczba ptaków, które miały trudności ze znalezieniem pokarmu, zwiększała się tak jak liczba biednych. A ja, pochłaniając coraz więcej książek, starałem się zrozumieć to miasto, do którego tak bardzo przywiązana była moja matka, moi nauczyciele i bliscy.

Ochrypli głos Demirtaya po przebudzeniu teraz zmiękł.

– Moja matka nie mogła nadążyć za pędem miasta. Coraz bardziej męczyła się ciągłą pracą. Gdy opowiadała o swoim dzieciństwie, mówiła, że kiedyś życie nie zmieniało się tak szybko. Wtedy nowości pojawiały się powoli. Przyzwyczajaliśmy się do nich krok po kroku. Nowinki napawały nas ekscytacją, ale nie dziwiły tak bardzo. Wiedzieliśmy, co nas czeka kolejnego dnia. A teraz? Nowości pojawiają się jedna po drugiej i znikają równie szybko. Nie zostawiają po sobie ani śladu, żadnych wspomnień. Zanim uda nam się nadążyć za jedną, jej miejsce zajmuje kolejna. Wszyscy mamy swoje granice. Jesteśmy szybsi od żółwia, ale wolniejsi od zająca. Nasz umysł i nasze uczucia też nie są nieograniczone. Przekraczamy tradycje, ale nie nadążamy za nowościami. Zmiany, które wywierają na nas presję, zaburzają naszą równowagę. Coś nowego nie może być kontynuacją starego, bo ciągłość nie istnieje. Wszystko zamienia się w odpady. Brakuje kontynuacji. Przywiązanie traci swoją wartość. Serca, tak jak śmietniki, wypełniają się resztkami. Ten pęd męczył moją matkę. Nocą zasypiała ze smutkiem, za dnia żyła marzeniami. Cóż mogła zrobić? Nie wiedziała, jak ułożyć sobie życie w chaotycznym Stambule, więc czego innego mogła się trzymać niż marzeń?

Demirtay nie lubił samotności. Bał się zostać sam w celi, cieszył się, gdy było nas coraz więcej. Tęsknił za stacjami kolejowymi, starymi statkami i ulicami, na których wszyscy się przepychali. Piękno miasta tkwiło w tłumie: każde miejsce było przepełnione ludźmi, dźwiękami i światłami. Życie, które zamierało na jednej ulicy, ożywało na kolejnej. Beton mieszał się z żelazem, a stal pokrywało szkło. Ludzie w Stambule byli podobni do tego miasta. Zrodzili się z ziemi, ognia, wody i powietrza. Byli twardzi jak stal, ale krusi jak szkło. Zajmowali się alchemią, za którą tak wielu poszukiwaczy przygód w przeszłości oddało życie. Tutejszemu człowiekowi nie wystarczało to, co miał. Pędził za wynalazkami, których nikt nie mógł sobie wyobrazić. Łączył ogień z wodą i miłość z nienawiścią. Uważał naturę za brzydką i aby ją zmienić, dodawał zło do dobra. Kupował kłamstwa, dekorował dom plastikowymi kwiatami, wstrzykiwał sobie pod skórę silikon. Każdego ranka budził się z nadzieją, że w lustrze zobaczy twarz, która bardziej mu się spodoba. W Stambule przygodę z alchemią zaczynał od samego siebie.

Matka Demirtaya była tak samo silna, jak i słaba, szybka i wolna, pełna nadziei i pesymistyczna. Nie rozumiała, jak mogła łączyć w sobie te wszystkie cechy. Próbowwała nadążyć za zachodem słońca, reklamami i klaksonami samochodów. Bała się wspomnień, bo przypominały jej, że lepsze czasy należą do przeszłości. Miasto było pokawałkowane. Życie było jałowe. Ludzie – zepsuci. Każdy dzień gorszy od poprzedniego. Tak jak wszyscy pogrążeni w samotności, ona również lubiła, kiedy powieści dobrze się kończyły. Znajdowała w nich poczucie całości, którego brakowało w domu, w pracy, na ulicy. Łączyła ze sobą najdalsze punkty swojej duszy. Jedna jej strona była ze stali, druga – ze szkła, jedna była wypełniona łzami, a druga – wściekłością.

– Moja matka wierzyła książkom – powiedział Demirtay. Spojrzał na nas, jakby chciał sprawdzić, czy my też im ufaliśmy. – Czasem nocami, kiedy zaczytana zapominała o mnie albo wypalała więcej papierosów niż zwykle, zastanawiałem się, czy w jej sercu otworzyła się nowa rana. Nigdy nie pytałem, a ona nie opowiadała. Była jak nieumiejące pływać dziecko, które za wszelką cenę próbuje wydostać się na powierzchnię, by złapać oddech. Nie tonie, ale nie może też wypłynąć. Narzekała na to miasto, które zostało zbudowane nie w oparciu o marzenia, ale o kalkulacje. Porównywała Stambuł do książek w zdobnych okładkach. Ornamenty wprowadzają czytelnika w błąd, oddalają go od prawdy, która kryje się w środku. Czasem

pytałem ją jak dziecko: „Mamo, dlaczego tak dużo pracujesz?”. Odpowiadała: „Demirtay, chcę kupić dom, żebyś w przyszłości mógł w nim wygodnie mieszkać. Teraz nie mogę zapewnić ci luksusowego życia, ale robię wszystko, byś mógł być szczęśliwy za kilka lat. Niech przyszłość nie wydaje ci się odległą, w rzeczywistości jest bardzo blisko. Gdy przeczytasz o losach bohaterów z powieści, lepiej to zrozumiesz”. Słuchałem uważnie, kiedy to mówiła. Od niej nauczyłem się wierzyć książkom.

– Czy twoja matka wie, że cię złapali? – zapytałem.

– Nie. Nie widziałem jej od miesiący. Nie pojawiałem się w naszej dzielnicy, bo byłem poszukiwany.

– Dlaczego? Kiedy wracała z pracy, mogłeś do niej podejść niezauważony w najbardziej zatłoczonym miejscu.

– Myślałem o tym, Doktorze. Kilka razy chciałem spróbować, ale w końcu zrezygnowałem. Mogli ją obserwować.

Mój syn przychodził do mnie po kryjomu. Czasem wślizgiwał mi się pod ramię w tłumie, czasem w najciemniejszym zakątku ulicy. Szedł obok, równając swój krok z moim. Kiedy słuchałem Demirtaya, rozumiałem, że miałem szczęście. Gdy pomyślałem o tych, którzy od dawna czekali na swoich synów i córki i dowiadywali się o ich śmierci, rozumiałem, że należałem do uprzywilejowanej mniejszości. Znalazłem swojego syna i zaprowadziłem go do szpitala. Oddałem go w dobre ręce.

– Demirtay, miałem znajomego lekarza, z którym pracowałem długie lata – powiedziałem. – Jego córka opuściła dom, gdy była jeszcze nastolatką, i dołączyła do jednej z grup rewolucyjnych. Pewnego dnia dowiedział się, że została zastrzelona i po kryjomu pochowana przez przyjaciół. Odszukał jej grób. Zamówił pomnik z marmuru. Na nagrobku kazał wykuć wizerunek statku. Był to obrazek z okładki *Ilustrowanej księgi Stambułu*, którą oglądali wspólnie, gdy była dzieckiem. Co tydzień chodził na grób i rozmawiał z pochowaną tam córką. Czytał jej rozdziały z tej książki. Opowiadał o kopułach świecących jak gwiazdy, ulicach ciągnących się zakolami jak rzeki, o strzelistych budynkach. Pewnego dnia przyszli tam przyjaciele jego córki i powiedzieli mu, że nastąpiła pomyłka: „Tutaj jest pochowany inny z naszych znajomych, pańska córka leży na cmentarzu po drugiej stronie Bosforu”. Mój kolega nie spał tej nocy. Nie spał też kolejnej. Trzeciej nocy zasnął przy grobie, na który zawsze się udawał. Obudził się o świcie. Spojrzał na Wenus. Słuchał wiatru w gałęziach cyprysów. Wziął w dłoń garść ziemi z grobu. Powąchał ją i rzucił w kierunku nieba. Przyglądał się, kiedy grudki się rozpadły i w końcu zniknęły na wietrze. Powiedział sam do siebie: „To ja jestem właścicielem tego grobu. Przywiązałem się do niego, a on do mnie”. Padł na kolana i zaczął płakać. Uwierzył, że jeżeli opuści to miejsce, to jego córka i pozostali zmarli pochowani na innym cmentarzu zostaną opuszczeni. Mój kolega dalej regularnie odwiedzał ten grób. Przynosił ze sobą *Ilustrowaną księgę Stambułu*, czytał historie, opisywał obrazki. Wiesz, dlaczego ci o tym mówię? Moim zdaniem twoja matka zrobiła to samo. Przeczytała książkę, którą miała dać swojej koleżance nad Bosforem, i być może wrzuciła ją do wody, gdy skończyła.

Demirtay zapytał z niepokojem:

– Doktorze, drugi raz z kolei opowiadasz smutną historię. Co się stało? Kiedyś doradzałeś nam, żebyśmy tutaj nie mówili o śmierci i bólu.

Po namyśle przyznałem mu rację.

– Nie byłem tego świadomy – odrzekłem. – Czasami tracę nad sobą kontrolę.

Dotknąłem czoła Demirtaya, który próbował ogrzać dłonie własnym oddechem. Sprawdziłem



temperaturę jego ciała, potem puls. Zostały z niego tylko skóra i kości. Trząśnięcie było bez przerwy. Miał gorączkę. Poleciłem, żeby się położył. Powoli podniosłem jego nogi i ułożyłem je na swoich kolanach. Miał poranione pięty: pokrywały je czerwone, różowe i białe pręgi. Były pozbawione życia. Wziąłem jego palce stóp w dłonie. Otuliłem je jak wata. Próbowałem ogrzać. Zaśmiało się.

– Co się stało? – zapytałem.

– Mam łaskotki.

– Dobrze, zobacz, śmiejesz się.

– Mam się śmiać?

– Tak, musimy się śmiać. W przeciwnym wypadku dostaniemy ochrzan od Dayı Küheylana, że opowiedzieliśmy przygnębiające historie. Patrzy na nas srogim wzrokiem.

– Pozwól mi więc przytoczyć anegdotę.

Demirtayowi przyszła na myśl jakaś nowa historyjka, czy też zamierzał powtórzyć jedną ze starych?

– Jaką anegdotę?

– O niedźwiedziu polarnym.

– Jakim znowu niedźwiedziu polarnym?

– O nowo narodzonym niedźwiadku polarnym.

– Opowiadaj.

Demirtay wsunął swoje stopy w moje ręce i zaczął opowiadać:

– Na północy ziemia była lodem, wzgórza były lodem, wydychane powietrze zamieniało się w lód. Niedźwiadek wtulił się w mamę niedźwiedzicę i zakopał się w jej gęstym, ciepłym futrze. Zapytał: „Mamo, czy ty jesteś moją prawdziwą mamą?”. Zdziwiła się: „Oczywiście, moje dziecko”. „A twoja mama też była niedźwiedziem polarnym?”. „Tak, moja mama też była niedźwiedziem polarnym”. „A twój tato?”. „On również był niedźwiedziem polarnym”. Wtedy niedźwiadek oddalił się od matki i podszedł do ojca. Wtulił się w jego gęstą sierść i zapytał: „Tato, jesteś moim prawdziwym ojcem?”. „Oczywiście”, odpowiedział. „A twój tato również był niedźwiedziem polarnym?”. „Tak”. „A twoja mama?”. „Również”. To w rzeczywistości długa historia, ale wam ją streszczam. Kiedy niedźwiadek otrzymał odpowiedzi, ze złością stanął na lodzie i krzyknął: „Skoro tak, to dlaczego ja cały czas marznę?!”.  
Śmialiśmy się po cichu. Gdybyśmy się nie kontrolowali, nasz śmiech mógłby przedostać się przez ściany i dotrzeć na powierzchnię.

Demirtay powtórzył własne słowa:

– Skoro tak, to dlaczego cały czas marznę? – i mówił dalej, zziębnięty jak dzieci, które przebiegły długą drogę.

– Mnie też jest cały czas zimno. Czuję się, jakbym pod skórą miał nie kości, a lód. Dlaczego to ja najbardziej marznę w tej celi?

– Bo jesteś niedźwiadkiem polarnym – dałem mu odpowiedź, której oczekiwał.

– Chyba tak.

Ucichliśmy, jak tylko żelazne drzwi się otworzyły. Zaczęliśmy przysłuchiwać się głosom na korytarzu. Wampiry pijące krew dziewcząt w ciemności wracały do jaskini, wilki rozrywające dzieci w lesie wchodziły do środka. Z każdej strony dolatywał duszący fetor. Wydawało się, że wpadliśmy do przepaści na pustyni i czekaliśmy, aż karawana poruszająca się według położenia gwiazd na niebie nas uratuje. Marzyliśmy, by któregoś ranka znaleźć się z dala od tego miejsca, na gorących wzgórzach z piasku, gdzie nie było słyhać zgrzytania żelaznych drzwi.



Byliśmy zdesperowani jak statek zmagający się z falami. Każdy z nas uważał się za członka załogi, któremu udało się uratować z pokładu tonącego okrętu, baliśmy się podzielić los tonących marynarzy.

Czekaliśmy w bezruchu. Nasłuchiwalismy głosów z zewnątrz. Strażnicy otworzyli i po chwili zamknęli drzwi jednej z cel na początku korytarza. Potem przeszli na jego drugi koniec. Uderzyli w kolejne drzwi. Narobili hałasu. Zaśmiali się pijanymi głosami. Zaśpiewali piosenkę, której słów nie dało się zrozumieć. Wrócili rozradowani. Zbliżyli się do nas, echo ich kroków odbijało się od ścian. Przyszli sporą grupą. Ich pomrukiwania były głośne, a odór silny. Zatrzymali się przed naszą celą. Ale otworzyli drzwi do celi naprzeciwko. Zostawili tam Zinê Sevde, którą przyprowadzili z przesłuchania. Przeklinali. Poniżali ją. Z hukiem trzasnęli drzwiami. Śmiali się bez opanowania jak pacjenci szpitala psychiatrycznego. Wrócili drogą, którą przyszli.

Demirtay się wyprostował i powoli zbliżył do otworu w drzwiach. Spojrzał na celę naprzeciwko i powiedział:

– Nie widać Zinê Sevdy.

– Dopiero co przyszła. Niedługo wstanie.

Demirtay nie był świadomy, że stał bosymi stopami na betonie.

– Poczekam tutaj – powiedział.

Czekał jak zwykle.

Życie w celi było powtarzalne. Kiedy ciemność opadała na nas powoli, nasze słowa traktowały o tych samych ludziach, opowieści działały się w tym samym mieście i dawały nam tę samą nadzieję. Mimo to i tak zaczynaliśmy każdy dzień ciekawi, czy tym razem zdarzy się coś nowego. Patrzyliśmy na siebie, jakbyśmy spotkali się po raz pierwszy. Kiedy zrozumieliśmy, że wraz z cierpieniem wracały nasze marzenia, milkliśmy na chwilę. Jeżeli szczęście ma swoje granice, to czy jego brak mógł być nieograniczony? Jeżeli śmiech miał swój kres, to czy cierpienie mogło być nieskończone? Każdego dnia znajdowaliśmy nowe powody do radości i gdy poczuliśmy, że nasz śmiech się powtarza, zrozumieliśmy, że wytyczyliśmy nową granicę.

Podnieśliśmy głowy i spojrzeliśmy w sufit. Próbowaliśmy przypomnieć sobie, czy ten Stambuł na górze również się powtarzał. Czy stoiska na targu, gołębie w meczetach, głosy dzieci wychodzących ze szkoły były takie same po obu stronach Bosforu? Czy prąd w cieśninie był taki sam w każdej dzielnicy? Czy wszystkie dzieci budziły się z takim samym płaczem, a wszyscy starcy oddawali takie samo ostatnie tchnienie na łożu śmierci? Śmierć nas frapowała. Czy ona również się powtarzała, czy każda śmierć była podobna do pozostałych?

– Zinê Sevda jest przy drzwiach, wzywa was – powiedział Demirtay.

– Nas obu?

– Tak, chce rozmawiać z wami oboma.

Pomogłem wstać Dayı Küheylanowi. Zrobiliśmy dwa kroki w kierunku drzwi. Zmrużyliśmy oczy w świetle dochodzącym korytarza. Ucieszyliśmy się, jakbyśmy zobaczyli własną córkę; uśmiechnęliśmy się do Zinê Sevdy.

Dayı Küheylan napisał w powietrzu: „Czy wszystko dobrze?”. Zinê Sevda odpowiedziała: „Tak”, i zadała pytanie: „A co u was?”. „U nas wszystko w porządku, dziecko”.

Lewe oko Zinê Sevdy mocno spuchło, na jej twarzy pojawiło się więcej siniaków. Rozcięcie na dolnej wardze się powiększyło, szyja pociemniała z brudu. Przetłuszczone włosy przylepiły się do skóry głowy. Spojrzała na mnie i przyglądała się mojej twarzy, jakby jedną po drugiej liczyła moje rany. Zapytała: „Doktorze, jak się masz?”. Odpowiedziałem: „Dobrze. Ale ty dopiero co wróciłaś z przesłuchania, powinnaś się przespać i wypocząć”. Zanim skończyłem

pisać, Zinê Sevda podniosła palec i nakreśliła w pośpiechu: „Zdradzacie sobie tajemnice podczas rozmów w celi?”. Odpowiedziałem, że nie. Dayı Küheylan i Demirtay potwierdzili skinieniem. Zinê Sevda zapytała: „Jesteście pewni?”. „Do czego zmierzasz?”. Jaki był cel jej pytania? Czas poza torturami spędzaliśmy na spaniu, rozmowie albo marznięciu. Opowiadaliśmy sobie o marzeniach i budowaliśmy własne niebo. Tak jak Stambuł skrywał swoje tajemnice, tak samo my nie wyjawialiśmy swoich.

Zinê Sevda napisała: „Doktorze”. Poczekała moment z palcem uniesionym w powietrzu i dokończyła zdanie po chwilowym zawahaniu: „Przesłuchujący znają twoją tajemnicę”. Moją tajemnicę? Przelknąłem ślinę. Mocno zamknąłem oczy, które bolały mnie od światła, i po chwili znowu je otworzyłem.

Zapytałem: „Jak mogą ją znać?”. „Sam im ją wyjawiał”. „Niemożliwe. Nie powiedziałem niczego podczas tortur”. „Nie podczas tortur, ale w celi. Wysłali między was jednego ze swoich. On dowiedział się wszystkiego od ciebie”. „O czym ty mówisz, dziecko?”.

Co miała na myśli?

Zinê Sevda cierpliwie pisała: „Kiedy leżałam nieprzytomna w sali przesłuchań, na chwilę doszłam do siebie. Przesłuchujący zostawili mnie przy ścianie i rozmawiali między sobą. Słyszałam, o czym mówili. Wczoraj ktoś, kogo przyprowadzili na przesłuchanie, ściągnął przepaskę z oczu i złapał za broń jednego z nich. Zaczął strzelać na oślep. Wbiegł w nieznaną korytarze i podążył na przemian w prawo i w lewo. Ale nie udało mu się uciec daleko. Otoczyli go i bez chwili wahania zastrzelili. To stąd te strzały, które słyszeliśmy”.

Przerwała na chwilę, by sprawdzić, czy śledzę to, co pisze. „Doktorze, miałam zawiązane oczy. Nie widziałam ich twarzy. Myśleli, że jestem nieprzytomna. Mieszali cukier w herbacie, palili papierosy. Potem padło twoje imię. Jeden z mężczyzn mówił, jak z tobą rozmawiał, jak zdobył twoje zaufanie. Opowiedział wszystko, czego dowiedział się od ciebie”.

Czego mógł się ode mnie dowiedzieć?

„Co to było?”.

„Podobno nie jesteś prawdziwym Doktorem...”.

Odszedłem od otworu w drzwiach. Powoli się wycofałem. Dotarłem do tylnej ściany celi. Stałem w bezruchu jak dzieci, które chcą krzyknąć we śnie, ale nie mogą wydusić z siebie słowa.

Wymamrotałem do siebie:

– Wiedzą, drogi Boże, wiedzą.

Powoli wróciłem do drzwi.

Zinê Sevda napisała: „I jeszcze jedno. Mówili o kimś, kto nazywa się Mine Bade. Ty nie jesteś mężczyzną, którego kocha. Mine Bade kocha innego doktora”.

Nie miałem siły zrobić kroku. Upadłem na ziemię tam, gdzie stałem. Uniosłem ręce do oczu, czoła i włosów. Moja koszula zrobiła się za ciasna. Wyrwałem guziki jeden za drugim. Dayı Küheylan przytrzymał mnie za nadgarstki. Oparłem się o ścianę. Kiedy próbowałem się od niego uwolnić, ścisnął moje ręce jeszcze mocniej.

Mawiali, że od trzech rzeczy w życiu nie ma odwrotu. Czym one były? Czy była wśród nich tajemnica, która została wyjawiona? Bardzo chciałbym cofnąć się w czasie. Nie do momentu sprzed miesiąca czy roku, ale do najdalszych czasów. Jakże pięknie było żyć, kiedy człowiek nie był jeszcze człowiekiem, a na ziemi nie istniało okrucieństwo. Wątpliwości nie istniały. Cierpienie nie było podstawą istnienia. Ludziom wystarczyło to, że patrzyli i dotykali. Nie było rejestrów narodzin, ludzie umierali, kiedy przyszła na nich kolej. Niepotrzebne były tajemnice.

Demirtay, który trzymał mnie za jeden z nadgarstków, powiedział:

– My nie jesteśmy szpiegami. – Jego głos był słaby. – Nie znamy twoich tajemnic, nie mogliśmy ich wyjawić. Prawda, Dayı Küheylan?

– Wy... – wydukałem.

– My niczego nikomu nie powiedzieliśmy.

– Cóż możecie powiedzieć? Złapali mnie zamiast mojego syna. On jest prawdziwym Doktorem. Nigdy wam o tym nie mówiłem. Poszedłem na spotkanie zamiast mojego syna. Kiedy wpadłem w pułapkę policji, przyjąłem jego tożsamość.

Mój syn miał się spotkać z Çakmak Alim. To był jeden z ostatnich ciepłych dni w roku. Zobaczyłem piękne promienie słońca. Po raz ostatni pokochałem Stambuł z Biblioteki Ragıpa Paszy. Położyłem się na patio. Własnymi rękami kopałem, rzuciłem się pod ziemię i piętro po piętrze jak dżdżownica zszedłem do tej celi w ciemności. Zrzuciłem swoją skórę i pod spodem pojawiła się nowa. W samotności jadłem własne ciało i z pragnienia piłem swoją krew. Moja żona śpiewała piosenkę w klasycznym osmańskim stylu. Wyryłem jej słowa paznokciem na ścianie. Powiedziałem: „Otwórzcie się, paki. Nie sądz, że zbyt długo potrważą przyjemności tego świata”. Zamknąłem oczy. Rozmawiałem z ciemnością. To właśnie tu miał miejsce dzień Sądu Ostatecznego. Wszyscy żywi umarli, a wszyscy zmarli powstali. Słuchałem ich błagań. Któregoś dnia drzwi się otworzyły. Wszedł przez nie Çakmak Ali. Był ranny. Jego kieszenie były wypełnione światłem. Kiedy wzmagало się jego cierpienie, krople światła przesiąkały na zewnątrz i wysychały. Tęsknił za zmarłymi przyjaciółmi, rozmawiał o Mine Bade, smucił się w moim imieniu. Mówił: „Doktorze, ona ma dwie rany, jedną w piersi, a drugą zadaną przez ciebie. Rana po postrzale się zagoi, ale co z tą drugą? Jak Mine Bade ukoji ból serca?”. W miarę jak Çakmak Ali mówił, sufit się otwierał, a wewnątrz wypełniało się gwiazdami. Z daleka było słyhać piosenkę śpiewaną przez moją żonę. Słowa szły następująco: „Jestem słowikiem, a ty różą w ogrodzie otoczonym płotem. Mój syn był na zewnątrz, kochał tę dziewczynę, a ona oddała mu serce. Znajdą się i już niedługo będą szczęśliwi”. Çakmak Ali również powinien wyzdrowieć, wyzwolić się od strapienia. Powinien zatrzymać dla siebie światło, które emanowało z jego kieszeni. Chciałem mu pomóc. Otworzyłem dłoń i podarowałem mu część swojej tajemnicy. Powiedziałem: „Nie smuć się, ta dziewczyna nie kocha mnie, tylko mojego syna. Oni się spotkają i pomogą sobie nawzajem. Nie smuć się, wkrótce wszystko będzie dobrze”.

– Tylko tyle? – zapytał Dayı Küheylan.

– Jak to tylko tyle?

– Tylko tyle wiedz?

– Tak.

– Więc w czym problem?

– Dowiedzieli się, że mój syn jest na wolności. Będą go szukać.

– A wiedz?

– Nie.

Nie byłem tu sobą. Byłem ojcem, który podawał się za swojego syna. Çakmak Ali również nie był Çakmak Alim. Był policjantem postrzelonym w Lesie Belgradzkim. Opatrzono go, a potem przyszedł do mnie ze zmęczoną twarzą. Zdradził mi informacje, które pozyskał z dokumentów i od złapanych osób, jakby były jego własną tajemnicą. Był ranny, więc mu uwierzyłem. Cierpiał, więc mu zaufałem. Dałem mu wodę, podzieliłem się z nim chlebem. Kiedy mówił o dziewczynie, którą kochał mój syn, stał się jeszcze bardziej wiarygodny. Chciałem, żeby poczuł się lepiej. Pragnąłem ulżyć jego cierpieniu. Zdradziłem mu część swojej tajemnicy, ale

nie powiedziałem mu, gdzie jest mój syn.

– Jesteś pewien?

– Tak, jestem. Nikomu nie wyjawiałem miejsca jego pobytu.

Dayı Küheylan powiedział, trzymając mnie za ramiona:

– Na pewno nie zdradziłeś, bo sam nie wiesz, gdzie on jest.

– Właśnie – odpowiedziałem.

– Nie możesz komuś powiedzieć czegoś, czego nie wiesz.

– Racja.

– Bo nie znasz prawdy.

– Bo jej nie znam.

– Więc czego się boisz?

– Nie udało mi się dochować tajemnicy. Co będzie, jeżeli wytrzymałość również mnie zdradzi?

Nie byłem świadomy, że do teraz czułem się szczęśliwy w celi. Nawet jeżeli cierpiałem, wyłem z bólu i plułem krwią. Byłem samowystarczalny. Lubiłem swoją tajemnicę. Być może się wykrwawię, być może to tu wyzionę ducha. Ale nikt nie będzie wiedział, co miałem w sercu. Kiedy moje ciało zamieniało się w jedną wielką ranę, mój syn zdrowiał na zewnątrz. Nawet jeżeli umrę, on będzie żył. Człowiek wie, kiedy jest nieszczęśliwy, ale nie zawsze dostrzega szczęście. Teraz zdałem sobie z tego sprawę.

Dayı Küheylan złapał mnie za szyję. Podał mi wodę.

– Uspokój się. Wszystko się ułoży – powiedział.

– Ułoży się, prawda?

– Nie martw się, Doktorze. Teraz już wszystko będzie dobrze.

– Pewnie umrę. Może to i lepiej.

Zaczęła się zima. Słońce wcześniej zachodziło. Na dachach leżał śnieg. Na górze, w Stambule, wystawy świeciły wszystkimi barwami, a tłum płynął żwawo aleją Istiklal. Każdy centymetr zajmowały plakaty filmowe, wszędzie rozchodziły się zapachy jedzenia i dźwięki muzyki. Z nieskończoności w nieskończoność przez tłum przejeżdżał tramwaj. Z tyłu wagonu młodzieniec trzymał za rękę dziewczynę, którą kochał. To był mój syn. Szeptał jej coś do ucha. Dałbym wszystko, by dowiedzieć się, co do niej mówić. Jego twarz była niewinna, uśmiechał się jak w dzieciństwie. Z zewnątrz dobiegała piosenka w klasycznym osmańskim stylu. Kiedy mój syn ją usłyszał, wyrzwał na zewnątrz przez okno tramwaju. Szła następująco: „Rozkwitnij, pąku, niech jak najmilej upłynie ta krótka chwila”. Mój syn rozglądał się, jakby szukał kogoś znajomego. Potem mocniej ścisnął rękę dziewczyny. Tramwaj, który przyjeżdżał z nieskończoności, wiozł mojego syna przez Beyoğlu, jak promień światła, w kierunku nieskończoności.

W tym momencie otworzyły się żelazne drzwi. Dźwięk poniósł się po korytarzu.

– Pewnie umrę – powtórzyłem.

– Czemu mówisz o śmierci? – zapytał Dayı Küheylan.

– Jeżeli umrę, nikt nie pozna miejsca pobytu mojego syna.

– Doktorze, przecież ty nie wiesz, gdzie on teraz jest!

– Już za późno...

– Nie, nie jest za późno!

– Jest za późno...

Dayı Küheylan spojrział na mnie. Wymierzył mi siarczysty policzek. Poczekał. Jeszcze raz dał mi po twarzy.

## Dzień dziewiąty

• *Opowiada Fryzjer Kamo*

### WIERSZ NAD WIERSZAMI

– Podróżny, który przybył nocnym pociągiem, na schodach prowadzących w stronę morza naprzeciwko dworca Haydarpaşa natrafia na szczupłego mężczyznę w czapce. Patrzy na fotografię, którą ten trzyma między kościstymi palcami. Raz płacze, raz wybucha śmiechem. Kiedy płacze, pochyla się do przodu, kiedy się śmieje, przypomina szaleńca. Podróżny stawia na ziemi małą torbę i siada koło mężczyzny. Woła sprzedawcę simitu<sup>23</sup> i kupuje sobie i temu drugiemu po obwarzanku. Patrzy na kopuły tłoczące się pod chmurami po drugiej stronie Bosforu. Rozmawiają o pięknej pogodzie, o zapachu Stambułu zmieniającym się w zależności od pory roku. Podróżny czyta nazwy statków przepływających jeden za drugim i każdej z nich nadaje znaczenie. W tym mieście prawda wydawała się oczywista, choć w rzeczywistości było zupełnie odwrotnie. Schody prowadzące do morza, schody tworzące połączenie między pociągami a statkami, schody w sam raz, by na nich usiąść i zrobić zdjęcie – miały w sobie nie jedną prawdę, ale kilka jej rodzajów. Ta, której wszyscy się trzymali, znajdowała się zawsze po drugiej stronie cieśniny. Nie wiadomo, czy słońce w tej części Stambułu i po jego przeciwnej stronie było takie samo. Nikt nie mógł być pewien, czy wiatr wieje tak samo tu i na europejskim brzegu. Podróżny i mężczyzna w czapce postanowili wstać. Chcieli sprawdzić, jakie jest słońce i wiatr po drugiej stronie. Wsiedli na statek. Popijając herbatę na tylnej burcie, patrzyli na stare pałace, garnizony wojskowe i wieże. Pomyśleli, że Stambuł nie był miastem, które chłonęło historię, ale raczej miastem, które nie potrafiło wydostać się z jej najgłębszych zakamarków. Kolorowe pocztówki sprzedawały tę historię. Ale kiedy zeszli ze statku na ląd i przechodzili obok straganiarzy i śpiewających piosenki ślepców, od razu zmienili zdanie. Stwierdzili, że pocztówki sprzedawały kłamstwa na temat historii. Na dworcu Sirkeci<sup>24</sup> wsiedli do kolejki podmiejskiej i pojechali aż do ostatniej stacji, mijając dzielnice zamieszkałe przez starców, wcześniej rozpoczynające pracę tawerny i rozpadające się mury miejskie. Spojrzeli na Stambuł i nowy kolor nieba tam, gdzie nie było już żadnych przystanków. Przyglądali się, jak żyjące na śmietniku psy zjadały truchła ptaków. Mieli przy sobie żetony na powrót. Wsiedli do tej samej kolejki, a potem na statek, przemierzyli te same tory i fale, by wrócić na schody z widokiem na morze przy stacji kolejowej Haydarpaşa. Słońce chyliło się ku zachodowi. Klucze ptaków leciały w kierunku rumieniącego się horyzontu, prześlizgiwały się między minaretami i wieżami. Mężczyzna w czapce, który wziął od podróżnego papierosa, zaczął mówić, jakby czekał na tę rozmowę cały dzień: „Wszystko stało się właśnie o tej porze. Moja żona wyszła z domu wieczorem i już nigdy nie wróciła. Powiedzieli, że albo uciekła, albo się zgubiła, albo umarła. Miałem ich gdzieś. Rozwiesiłem plakaty, rozdałem ulotki. Najpierw sprawdziłem posterunki policji i szpitale, potem tawerny. Piłem, wspominając żonę. Żeby o niej zapomnieć, przespałem się z dziwkami. We własnym mieście liczyłem dni, miesiące, pory roku, jakbym był na uchodźstwie. Zobacz, to zdjęcie mojej żony. Zawsze mam je przy sobie. Jej uroda przypomina picie ze szmaragdowego kubka, który zawsze napelnia się czystą wodą. Bez końca. Może rywalizować z pięknem Stambułu. Kiedy wspominam dni spędzone razem, śmieję się ze szczęścia. Ale kiedy myślę o przyszłości, zdaję sobie sprawę, że już nigdy jej nie zobaczę. Taki właśnie jestem, wpadłem w pustkę. Śmieję się na wspomnienie minionych dni i płacę



na myśl o przyszłości”.

[23](#) Simit – tureckie bajgle; pieczywo o okrągłym kształcie posypane sezamem.

[24](#) Sirkeci – nazwa dzielnicy i stacji kolejowej znajdujących się po europejskiej stronie Bosforu, w bezpośrednim sąsiedztwie Złotego Rogu. Jest stacją końcową wszystkich pociągów jadących z Europy, był też ostatnią stacją Orient Expressu.

Kiedy Dayı Küheylan zauważył, że mam trudności z wymówieniem ostatnich słów, pomógł mi się podnieść. Oparł mnie o ścianę. Nachylił się i sięgnął po pojemnik, w którym zostały dwa łyki wody.

– Napij się, zwilż gardło – powiedział.

– Dayı Küheylan – ciągnąłem – tak jak ten chudy mężczyzna w czapce, ja też się śmieję na wspomnienie minionych dni. Ale nie płaczę, myśląc o przyszłości, nienawidzę jej.

– Kamo, możesz śmiać się, z czego chcesz, i nienawidzić, czego tylko chcesz. Najważniejsze, byś nie stracił sił, żeby stawiać czoła cierpieniu.

– Mam gdzieś cierpienie – odpowiedziałem mimo bólu, który czułem w całym ciele.

Bolało mnie dosłownie wszystko – od palców stóp po krocze, od pasa po szyję, od skroni po szczękę. Podczas każdego oddechu, miałem wrażenie, że moja klatka piersiowa rozpada się na kawałki, a przed jednym okiem, które byłem w stanie otworzyć, światło zapalało się i gasło.

Z trudem napiłem się wody. Przełykając ją, czułem pieczenie w gardle.

Następnie Dayı Küheylan włożył mi do ręki kawałek chleba i powiedział:

– Teraz kolej na to.

– Z tym będzie problem – odrzekłem, patrząc na chleb, który wydawał się twardy jak skała.

– Nie dasz rady pogryźć?

– Bolał mnie zęby, podniebienie mam całe poranione.

– W takim razie daj, pogryzę go za ciebie.

Dayı Küheylan zabrał mi z ręki chleb. Ugryzł kawałek.

– Od kiedy jesteś tu sam? – zapytałem, rozglądając się po celi, jakbym patrzył na nie wiadomo jak wielką przestrzeń.

– Niedługo przed twoim przyjściem zabrali Doktora i Studenta.

– Jak tam Student? Jeszcze nie postradał zmysłów? Nie poddał się?

– Nie, Kamo. Obydwaj nie poddają się na torturach.

– Dayı Küheylan, zastanawiam się, ile osób w celach wzdłuż tego korytarza jeszcze się opiera. Podczas przesłuchania widziałem wielu więźniów, którym rozwiązał się język, którzy się poddali. Byli w fatalnym stanie. Błagali o łaskę.

– Wycie w celach czasami jest tak straszne, że nie wiem, co począć. Kamo, ci, którzy się poddają, także są naszymi braćmi. Nie możemy zrobić nic innego, jak tylko im współczuć.

– Współczuć? To nie dla mnie. Za każdym razem, gdy rozwiązywali mi opaskę na oczach, myślałem, że przyprowadzą Studenta. I że on też, tak jak reszta, będzie płakał naprzeciwko mnie, z desperacji, będzie błagał o litość oprawców o czerwonych oczach...

– Przestań o tym myśleć i zjedz trochę.

Dayı Küheylan wziął w koniuszki palców pogryziony przez siebie chleb i włożył mi go do ust, które otworzyłem jak pisklak.

To dopiero było wyzwanie. Dotknąłem chleba językiem. Potrzymałem go chwilę przy policzku. Przełknąłem ślinę i zwilżyłem gardło. Położyłem okruchy na języku i popchnąłem je w kierunku gardła. Były jak kulka najeżona kolcami. Zeszły w dół, raniąc mi przełyk.

– Jeszcze trochę – powiedział Dayı Küheylan, podając mi kolejny kawałek chleba, który



zmiękczył w palcach.

– Nie, muszę odpocząć.

– Dobrze, poczekajmy.

– Kiedy go zawiązałeś? – zapytałem, podnosząc do góry nadgarstek z opatrunkiem.

– Bardzo boli? Musiałem zawiązać dosyć ciasno.

– Nie boli od ucisku, tylko od rany.

– Kiedy cię tu przyprowadzili, twoja ręka krwawiła. Rozdarłem rękaw koszuli i opatrzyłem nim ranę. Byłeś na wpół przytomny. Nie pamiętasz?

– Ostatnie, co pamiętam, to gwóźdź.

– Jaki gwóźdź?

– Wbili mi gwóźdź w nadgarstek.

– W nadgarstek?

– Tak.

– Niech ich diabli wezmą! Nie mogę w to uwierzyć. Co to za ludzie?

– Ludzie? Dayı Küheylan, to właśnie oni są ludźmi. Nadal tego nie pojmujesz? Kiedy Bóg stworzył naturę i uznał niebo za swoje miejsce, Szatan wziął pod swoje skrzydła człowieka i karmił go owocami z drzewa poznania dobra i zła. Człowiek, który posiadał tę wiedzę, zrobił to, czego nie były w stanie zrobić inne stworzenia – stał się świadomy swojego istnienia. Im więcej wiedział, tym bardziej podziwiał samego siebie. Nikogo innego nie kochał bardziej niż siebie, nawet Boga. Jego przywiązanie do Wszechmogącego brało się z pożądania nieśmiertelności. Miarą był on sam. Zniszczył naturę, zabił żywe stworzenia. Kiedy nadejdzie czas, zabije również Boga. Dlatego na świecie przeważa zło. To samo powiedziałem oprawcom. Bękarty diabła! Wsadzili mi igłę do ucha. Potem włali mi do niego jakąś substancję. Była gorąca jak ogień. Próbowali dostać się do mojego mózgu. Usiłowałem wyrwać się z kajdan, by nie zwariować. Waliłem głową w ścianę. Kiedy chcieli, bym błagał o litość, przeklinałem ich. Czasami wyłem, czasami się śmiałem. Powiedziałem: „Jesteście ludźmi. Prawdziwymi ludźmi”. Wydawałem z siebie odgłosy, których sam się nie spodziewałem. Wsadzili mi głowę pod wodę. Sprawdzali, czy jestem przytomny, aby mieć pewność, że w pełni czuję ból. Pracowali jak chirurg, rzemieślnik i rzeźnik. Znaleźli najcieńsze żyły i otworzyli kanały bólu. Zrobili to, do czego tylko człowiek jest zdolny.

Dayı Küheylan czekał z kawałkiem chleba w palcach.

– Dayı Küheylan, nie przyłączyłem się do rewolucjonistów, bo nie mają racji, jeżeli chodzi o ludzką naturę. Sądzą, że człowiek jest z gruntu dobry, i wierzą, że może uratować się od zła. Egoizm i okrucieństwo uważają za efekt niesprzyjających warunków. Nie dostrzegają piekła w ludzkiej duszy, nie zauważają żądz do zamieniania świata w piekło. Rewolucjoniści tracą swój czas i siebie samych, szukając prawdy w niewłaściwym miejscu. Człowiek nie wyzdrowieje. Człowieka nie da się uratować. Od człowieka można co najwyżej uciec.

Dayı Küheylan patrzył na mnie z zaciekawieniem i politowaniem. Jak wszyscy, myślał, że jestem nieuleczalnym świrem. Słuchał mnie cierpliwie.

– Dayı Küheylan, czy na świecie zostało jeszcze jakieś miejsce, do którego ludzie nie dotarli? Wsiadają do luksusowych jeepów, wozów policyjnych i busów wożących pracowników do zakładów pracy. Wypełnili banki, szkoły, miejsca kultu. Zajęli miasta i wsie, góry i lasy. Twój ukochany Sтамбуł również do nich należy. Kłamią, znęcają się nad innymi. Nie wystarcza im to, że mogą wszędzie dotrzeć, chcą również dostać się do naszych wnętrz. Zawładnąć naszymi ciałami. Nawet jeżeli uda nam się uciec od ludzi, jak możemy uciec od siebie samych?

Jak możemy uratować się przed sobą? Rewolucjoniści, politycy, nauczyciele i kaznodzieje zamiast o tym myśleć, mówią dużo i ze wszystkimi innymi zdradzają siebie samych. Dlatego mam szacunek do oprawców. Nie kłamią. Nie ukrywają prawdy. Bez owijania w bawełnę przywłaszczyli sobie zło. Powiedziałem im: „Jesteście ludźmi, do których mam największy szacunek”. W tym samym momencie cięli moje ciało jak zwierzę w ubojni. Powtórzyłem: „Naprawdę was szanuję. Jesteście tacy sami na zewnątrz i wewnątrz. Jesteście sobą”. Zdenerwowali się moimi słowami, stracili nad sobą kontrolę. Walili w ściany, tłukli szkło. Krzyczeli z wściekłości. Głośno trzasnęli drzwiami. Zostawili mnie z zawiązanymi oczami, przykutego łańcuchami do ściany i wyszli z pokoju. Był dzień czy noc? Czy życie na zewnątrz płynęło szybko czy powoli? Być może weszli do jednego z pokojów obok. Może sięgnęli po telefon i zadzwonili do swoich żon, by powiedzieć im, że za nimi tęsknią. Może powiedzieli: „Bardzo się zmęczyłem”, albo: „Miałem koszmar. Chcę się upić i spać w twoich ramionach”. Ich żony przepełniała czułość. Kobiety, które od dzieciństwa były przysposabiane do roli, którą miały przyjąć, były dobrymi żonami. W takich sytuacjach ich głosy miękły, a serca się smuciły. Mówiły ukochanym mężczyznom, że gdy wrócą do domu, przytulą ich, pocałują i wpuszczą między nogi. Obiecywały im swoje namiętne ciała. Nic innego nie mogły im ofiarować. One też nie wiedziały, czy na zewnątrz jest dzień czy noc. Czy życie płynęło szybko czy powoli? Były tam tłumy czy pustki? Kiedy moi oprawcy odłożyli telefon, zamilkli. Starli pot z czoła. Usiedli pod ścianą i zapalili papierosy. Poczekali, aż bicie ich serc zwolni. Kiedy złość ustała, otworzyli drzwi pokoju, w którym siedziałem związany, i weszli z powrotem. Mówili spokojnie: „Kamo, musisz nam opowiedzieć o swojej przeszłości. Musisz nam zdradzić swoje tajemnice”. Podniosłem głowę i odpowiedziałem, patrząc w ciemność przez opaskę: „Czy jesteście gotowi usłyszeć o czymś więcej niż o przeszłości? Nawet Bóg nie może zmienić przeszłości i zostawia nas z nią sam na sam, a wy chcecie usłyszeć jeszcze więcej? Bękarty z piekła! Podludzie!”. Rozwiązali łańcuchy i ściągnęli mi opaskę z oczu. Usadowili mnie naprzeciwko lustra. Kazali mi spojrzeć w twarz, która przypominała oblicze umarłego. Powiedzieli: „Przyszłość należy do nas. Kamo, spójrz w lustro. Ty nie masz przyszłości, masz tylko przeszłość. I tę przeszłość też nam oddasz”. Dayı Küheylan, twarz, którą zobaczyłem w lustrze, była zakrwawiona, posiniaczona, brudna. Z jednego ucha ciekła mi krew, z drugiego ropa. Jedno oko było otwarte, drugie – zamknięte. Łuk brwiowy był rozcięty. Tak jak i wargi. Z ust wypływała mi ślina. Ta twarz nie przypominała twarzy człowieka. Dayı Küheylan, my wiemy, jak działa tafla lustra. Znamy oprawy – drewniane, z metalu, udekorowane kwiatami albo złożone. A jego wnętrze? Czy możemy poznać pustkę na jego dnie? Czy możemy pojąć tajemnicę ukrytą w warstwach tworzących lustro? W dzieciństwie nachylałem się nad lustrem, godzinami je oglądałem, przypominało studnię. Jego boki były jasne, ale pośrodku znajdował się ciemny wir. Tkwiłem właśnie w centrum tego wiru. Miałem słaby oddech. Ból w piersiach ciążył mi jak kamień. Nie mogłem przestać kaszleć. Myślałem, że wypluję płuca. Zastanawiałem się, co teraz powinienem zrobić. Rozbić lustro, które stało przede mną, czy złamać nos jednemu z przesłuchujących stojących obok? Wydałem dziecięco brzmiące odgłosy i zacząłem się śmiać. Jakbym stał naprzeciwko jednego z krzywych zwierciadeł w parku rozrywki. Nie przejmowałem się bólem w piersiach. Mój śmiech przerodził się w rechot. Odbijał się echem od ścian.

Dayı Küheylan wsadził mi w usta kawałek chleba, który zmiażdżył w palcach, jakby chciał mnie uciszyć.

– Zjedz to, musisz nabrać sił – powiedział.

W nozdrzach poczułem zapach pleśni. Zrobiło mi się niedobrze. Odbiło mi się. Wyciągnąłem

chleb.

- Nie mogę, nie przełknę tego.
- Dobrze, poczekamy jeszcze trochę.
- Widziałem tam też Zinê Sevde.
- Zinê Sevde? W sali przesłuchań?

Wiedziałem, że Dayı Küheylan się ożywi, gdy usłyszy to imię.

– Tak – odpowiedziałem. – Kiedy rozbiłem lustro na twarzy jednego z przesłuchujących, rzucili się na mnie. Okładali mnie z wściekłością. Zapomnieli o swoich wysublimowanych technikach zadawania bólu. Bili tak długo, aż straciłem przytomność. Nie wiem, ile to trwało. Wylali na mnie kubek zimnej wody. Kiedy się ocknąłem, trząsałem się na betonie. Moje ciało stało się cięższe. Dym spowijał jedyne widzące oko. Wszystko widziałem jak za mgłą. Rozróżniałem tylko kształty. Stół. Krzesło. Osoby czekające na stojąco. Długa ściana. Dwie szerokie kolumny przy końcu ściany, naprzeciwko. Ciało wiszące między nimi. Aby rozpoznać, do kogo należało, musiałbym albo się zbliżyć, albo rozgonić dym. Potarłem oko, starłem krew. Podniosłem głowę z ziemi i jeszcze raz spojrzałem w tamtą stronę. Między kolumnami wisiało ciało kobiety. Jej ramiona były z obu stron przywiązane do żelaznej rury, a jej tors i nogi wisiały w powietrzu. Z trudem poruszała głowę. Była naga. Krew ciekła z jej piersi. Cięcia zaczynające się od ramion schodziły czerwonymi liniami do brzucha, krocza i nóg. Poprzez torturowanie kogoś na moich oczach przesłuchujący znowu próbowali obudzić we mnie współczucie i chcieli, bym się poddał. Myśleli, że należę do ludzi, którzy poddają się, prosząc o litość. Jeszcze raz przetarłem oko. Wyciągnąłem szyję, jak tylko mogłem, i znów spojrzałem w tym samym kierunku. Zrozumiałem, że kobieta, która wisiała jak święta przytwierdzona do krzyża, to Zinê Sevda. Była lekka. Jak jesienny liść na drzewie wysoko nad ziemią i blisko nieba. Sznurowy na jej ramionach nie podtrzymywały jej, ale zabezpieczały, by nie poleciała do góry. Czy ta wychudzona dziewczyna była tą samą osobą, która kilka dni temu upadła na kolana przed naszą całą, nie obawiając się gniewu strażników? Czy ta wisząca kobieta była Zinê Sevda, która nawet nie drgnęła mimo zadawanych kopniaków? Rozpoznała mnie. Podniosła głowę trochę wyżej. Jej zdrowe oko się powiększyło. Poruszyły się kąciki ust. Próbowwała się uśmiechnąć. Nie trwało to długo, straciła siły i głowa znowu opadła na klatkę piersiową. Nie mogłem przestać na nią patrzeć. Nie wstydziałem się ani jej, ani swojej nagości. Wiedziałem, że przesłuchujący chcieli przejąć nasze uczucia, zanim zawładną naszymi ciałami. Położyłem ręce na ziemi i używając całej siły w ramionach, podniosłem się. Wstałem na kolana. Starłem pot z czoła oraz krople krwi, które spadały z policzków na szyję. Wyprostowałem się jak posąg. Stałem w bezruchu. Na korytarzu panowała cisza. Słyszeć było tylko kapanie krwi z palców u stóp Zinê Sevdy. Tak jak posągi stoją nieporuszone na słońcu, deszczu czy też śniegu, tak samo czekałem na kolanach. Przesłuchujący zaburczeli. Przeklęli ze znużeniem. Zrozumieli, że naśladuję Zinê Sevde na kolanach na korytarzu kilka dni temu. Pochylili się nade mną. Złapali mnie za włosy i zawlekli pod ścianę. Oparli moje ramiona o belkę. Przynieśli długi, cienki i błyszczący gwóźdź i przyłożyli go do mojego lewego nadgarstka. Uderzyli w niego ciężkim młotem. Myślałem, że wbili go nie w nadgarstek, tylko w mózg. Zawyłem. Łzy pociekły zarówno z otwartego, jak i zamkniętego oka. Powiedziałem: „Podziwiam was. Robicie to, czego inni nie potrafiliby uczynić, pokazujecie swoje wnętrza dokładnie takim, jakim jest. Przed duszami więźniów otwieracie i rozbryzgujecie wokół jak przejrzały granat swoją duszę”. Zabrali ode mnie ręce. Cofnęli się i spojrzeli po sobie. Nie mieli innego wyboru jak tylko kontynuować. Wyciągnęli z pudełka jeszcze jeden gwóźdź. Przyłożyli go do mojego drugiego nadgarstka. Tym razem mój

oddech osłabł, oko się zamknęło. Traciłem przytomność. Zanim zemdlałem, przyszło mi na myśl ostatnie pytanie: czy powiesili przede mną Zinê Sevde, żeby zmusić mnie do mówienia, czy raczej przytwierdzali mnie do krzyża błyszczącymi gwoździami na jej oczach, żeby to ona się poddała?

Dayı Küheylan dotknął mojego zdrowego nadgarstka, otoczył go palcami. Pocałował, jakby całował kawałek chleba. Podniósł i przyłożył do czoła. Zamknął oczy. Czekał, trzymając nadgarstek przy swoim czole. Jęknął ze skromnością typową dla niewielu ludzi, którzy okazywali szacunek cierpieniu. To nie było potrzebne. Potrafię sobie poradzić ze swoim bólem, a on powinien zająć się własnym. Dwukrotnie próbowałem zabrać rękę, ale mi na to nie pozwolił. Trzymał ją w swoich dużych dłoniach przy czole, aż zacząłem kaszleć. Kiedy zauważył, że kaszel nie mija, podniósł głowę. Odłożył moją rękę na ziemię jak pisklę. Złapał mnie za ramiona. Wyprostował mój tors, który zsuwał się na bok, i oparł mnie plecami o ścianę. Kawałkiem materiału, który podniósł z ziemi, starł krew płynącą mi z ust. Wydaje mi się, że to był jego drugi rękaw. Wytarł mi czoło i szyję. Zwilżył wargi ostatnimi kroplami wody, które wylał na szmatkę.

Głos, który pulsował w moich skroniach, kiedy kręciło mi się w głowie, nie był głosem serca, tylko czasu. Czasu, który przybył z przeszłości, uderzał w falochron przyszłości i zostawiał mnie tam samego sobie. Nie nadążałem za nim. Raz się pienił, raz cichł. Krążył między chwilą a nieskończonością. Zabrał daleko ode mnie moją żonę Mahizer, ale równocześnie wyrył jej imię na mojej aorticie, bym czuł ją jeszcze mocniej. Z jednej strony chciał, bym się naśmiewał z przeszłości, z drugiej zaś oczekiwał, że na myśl o przyszłości będę płakał.

Kiedy Dayı Küheylan opowiadał, że w niebie istnieje świat, który jest naszym odbiciem i w którym mieszka sobowtór każdego z nas, podniosłem głowę i spojrzałem na sufit. W ciemności zobaczyłem deszczowy Sztambuł wypełniony tłumami jak zwykle śpieszących się ludzi. Usłyszałem nawoływania przydrożnych sprzedawców, hałas samochodów, które w korkach wypuszczają tumany spalin, i dzwonki ogłaszające koniec pracy. Sztambuł, który rozciągał się pod niebem, połykał kobiety i mężczyzn, trawił ich, a potem nimi wymiotował. W powietrzu było czuć zapach zepsutego mięsa. Wszyscy uważali się za obcych, nikt z nikim nie rozmawiał. Mieszkańcy podobni do swojego miasta jednego dnia budzili się radośni, kolejnego przygnębieni. Pracowali od rana do wieczora, od wieczora do rana. Pogodzili się ze śmiercią i byli gotowi na wszystko z wyjątkiem zmierzenia się z prawdą we własnych sercach. Płynęli ulicami jak błotnisty potok, a gdy się zmęczyli, zbierali się na placach. Ja też miałem swojego sobowtóra wśród tych ludzi. Kiedy przechadzał się samotnie pośród tłumu, zawiązywał na szyi cienki szal. Odbijał mnie jak w krzywym zwierciadle. Ja byłem mężczyzną, on kobietą. Byłem nerwowy, ona – spokojna. Byłem brzydki, a ona – piękna. Byłem złym człowiekiem, ona – dobrym. Ja byłem Fryzjerem Kamo, a ona moją żoną Mahizer. Kiedy znajdowaliśmy się obok siebie, stawaliśmy się jednym cieniem. Czytaliśmy wiersze, które spajały nas ze sobą. Dzięki nim tworzyliśmy dla siebie wspólny język pośród pomieszania języków. Porozumiewaliśmy się w tym nieznanym innym ludziom dialekcie, śmialiśmy się, kochaliśmy się. Chcieliśmy nawet w snach czytać wiersze i zaczynać nimi każdy dzień. Ale czas nie pozwolił nam zapuścić korzeni i przywiązać do ziemi. Kurewski czas.

Kiedy Mahizer mnie opuściła i wyprowadziła się z domu, najpierw poszukałem wiersza nad wierszami.

Nie wystarczał mi język, którego nauczyłem się od matki. Wychowałem się, słuchając go, nauczyłem się słów, poznawałem przedmioty i ludzi po ich nazwach. Wydawało mi się,

że znajomość języka jest jednoznaczna ze znajomością prawdy, i przygotowałem się do życia jak każdy. Wypowiadałem kilka słów i taką samą liczbę słów zatrzymywałem dla siebie, nie zdradzając ich nikomu. Nie stworzyłem tego języka, matka mnie w nim urodziła. Dopóki przeglądając stare notatniki w jej szufladzie, nie znalazłem ręcznie napisanych wierszy, nie sądziłem, że uda mi się przekroczyć granicę tego języka. Kartki, na których atrament wyblakł, należały do mojego ojca. Po raz pierwszy widziałem jego podpis i pismo. Nawet jeżeli mój ojciec używał w swojej poezji słów, które znałem, zmieniał ich wydźwięk, dodawał ciężkości i powagi literom. Nadawał słowom wcześniej nieznanne znaczenia. Tak jak Luqman, który poszukiwał wody dającej nieśmiertelność, mój ojciec poszukiwał czystego języka życia. Ściągał z nieba gwiazdy i w ich miejsce wieszał poezję. Twierdził, że poezja i miłość piły mleko z piersi śmierci. Odsuwał zasłonę i przecierał ręką parę na oknie otwierającym się na prawdę. Należał do pokolenia poetów, których czas zbliżał się ku końcowi, tak samo jak w przypadku zagrożonych gatunków zwierząt, na które nadal polowali kłusownicy. Choć umarł, zanim przyszedłem na świat, zostawił mi nieocenioną pamiątkę. Dzięki swoim wierszom ocalił mnie od bagna pożądania. Pożądanie było nowym Bogiem. Jak Bóg starało się wszędzie dotrzeć i wszystko opanować. Nie znało granic. A Bóg przecież nie był prawdziwy. Pożądanie to powtórka tego zakłamania. Kiedy dodało się do tego jeszcze zakłamanie człowieka, życie stawało się nie do zniesienia. Kto inny, oprócz poetów, mógł przerwać to błędne koło? Kto poza nimi potrafił rozmawiać językiem śmierci i obiecywał ludziom w miejsce nieskończonego pożądania bezgraniczną prawdę?

Chodziłem od biblioteki do biblioteki z nadzieją na znalezienie najpiękniejszego wiersza, z którym mógłbym wyjść naprzeciw Mahizer. Sprawdziłem katalogi. Przejrzałem numer za numerem czasopisma i książki w czytelnich. Kiedy przyszła kolej na wiersze dla dzieci, pewnego słonecznego popołudnia przepłynąłem na azjatycką stronę i dotarłem do Biblioteki dla Dzieci Çinili w Üsküdar.

Mały ogródek był przepełniony ćwierkaniem ptaków jak w lirykach mojego ojca. Cień winorośli przywodził na myśl spokojny sen. W miejscu, gdzie trawnik spotykał się z murem, stała drewniana ławka, z której złaźła farba. Przeszedłem po kamieniach i trawniku. Usiadłem na ławce, chcąc odpocząć po przejściu z portu w Üsküdar do biblioteki po wijących się podejściach pod górę. Było cicho. Wokół żywej duszy. Kiedy już miałem zamknąć oczy, otworzyła się brama ogrodu. Do środka weszła dziewczynka. Była ubrana w szkolny mundurek, a w ręce trzymała szkolną torbę. Najpierw spojrzała na schody prowadzące do biblioteki, a potem na mnie. Nie wiem, czy dobrze mnie widziała przez grube szkła okularów. Podeszła i usiadła obok.

„Czym jesteś ojcem?“, zapytała.

„Nie jestem niczym ojcem“, odrzekłem.

„W takim razie kogo przyszedłeś odebrać?“,

„Nie przyszedłem nikogo odebrać“.

„Jesteś nowym bibliotekarzem?“,

„Nie. A co się stało z dotychczasowym? Przeszedł na emeryturę?“,

„Umarła“.

Zamilkłem. Zastanawiałem się, jak kontynuować rozmowę.

„Była już stara?“, zapytałem po chwili.

„Była starsza od mojej mamy. W noc, kiedy umarła bibliotekarka, do biblioteki włamali się złodzieje. Ponieważ nie znaleźli niczego poza książkami, ukradli zegar ścienny. Teraz nie mamy



zegara”.

„Jak przyjdzie nowy bibliotekarz, kupi zegar i zawiesi go na ścianie”.

„Stary zegar śpieszył się o dziesięć minut. Przyzwyczajaliśmy się do niego”.

„Nowy też można nakręcić dziesięć minut do przodu”.

„Bibliotekarka mawiała: «Zapomnijcie o tym, co na zewnątrz, zapomnijcie o czasie, który tam płynie»”.

„I co, udawało się wam zapomnieć?”.

„Czasem”.

Chciałbym wiedzieć, jak oni to robili. Co im pomagało zapomnieć o czasie: wiekowe kamienne ściany, ilustrowane książki, ćwierkanie ptaków czy też bibliotekarka?

„Nazywam się Kamo, a ty?”, powiedziałem.

„Kıvanç”.

„Kıvanç, daleko widzisz w tych okularach?”.

„Kamo, jesteś taki sam jak inne dzieci. Naśmiewasz się z moich okularów”.

„Nie, nie naśmiewam się. Zastanawiam się tylko, czy nocą widzisz gwiazdy na niebie”.

„Nie widzę. Niebo jest tak daleko, że przypomina mgłę. Znam gwiazdy z ilustrowanych książek. Na mapach gwiazd wyszukuję północ i znajduję Gwiazdę Polarną”.

„Kiedy byłem w twoim wieku, interesowałem się nie północą, a południem. A to dlatego, że południe przypominało mi schodzenie w dół. W naszym ogrodzie była studnia. Dzieciństwo upłynęło mi na zabawie przy niej. Kiedy ktoś powiedział «południe», na myśl przychodziło mi dno studni, podziemie”.

„Ale biblioteka jest na piętrze. Żeby się dostać do czytelni, będziesz musiał wejść po dziesięciu schodach”.

„Dorosłem i przyzwyczałem się do bycia na górze. Lubisz liczyć?”.

„Tak. Liczę schody, linie, okna. Nigdy nie zapominam liczb”.

„Kıvanç, kto otwiera bibliotekę? Kto was pilnuje?”.

„Osoba odpowiedzialna za łaźnię turecką obok otwiera i zamyka bibliotekę. Zostawia nas samym sobie. Odrabiamy tu lekcje. Nie rozrabiamy, od kiedy bibliotekarka umarła”.

„Brawo. Ja też popracuję tu z wami przez kilka dni”.

„Kamo, ale to jest biblioteka dla dzieci. Nad czym możesz tu pracować?”.

„Prowadzę badania. Będę sprawdzał książki z wierszami. A ty czemu tu przyszedłeś? Masz do odrobienia zadanie domowe?”.

„Przychodzę tu codziennie po szkole. Czekam, aż moja mama wyjdzie z pracy. Odrabiam lekcje do jej przyjścia”.

Kıvanç ześliznęła się z ławki. Założyła torbę na plecy. Udała się w kierunku wejścia. Poszedłem za nią. Wszedłem po schodach. Biblioteka składała się z jednego pomieszczenia w kształcie kwadratu, grupka dzieci odrabiała tam lekcje. Na ścianach wisało wiele półek z książkami. Panował porządek. Stoły były czyste. Nie było widać żadnych plam poza zaciekami na tynku kopuły. Kıvanç wybrała stół koło okna. Zaprosiła mnie, żebym usiadł obok niej. Rozejrzałem się po półkach. Ominąwszy książki do nauk ścisłych, historii i geografii, znalazłem dział z poezją. Wziąłem do ręki kilka tomików. Usiadłem na krześle, które wskazała mi Kıvanç. Wyciągnąłem z kieszeni papier i długopis i położyłem obok tomów poezji. Na ścianie naprzeciwko widniał ślad po skradzionym zegarze. W górnej części pozegarowego cienia czekał zardzewiały gwóźdź.

Tego dnia oprócz czytania wierszy napisanych przez starych poetów tęskniących

za dzieciństwem praca w towarzystwie dzieci sprawiła mi ogromną przyjemność. Cieszyłem się ciszą. Przewracałem strony. Przechodziłem z jednej książki do drugiej. Dopóki Kivanç, która wyglądała przez okno, nie pozbierała swoich rzeczy, robiłem krótkie notatki na kartkach. Wtedy dopiero zorientowałem się, że nastał wieczór. Zszedłem na dół w ślad za Kivanç. Zobaczyłem, jak przytula matkę, która weszła wcześniej do środka przez bramę ogrodu.

„Mamo, to jest Kamo”, przedstawiła mnie. Matka dziewczynki zobaczywszy mnie z kartkami i długopisem w ręce, pomyślała, że jestem nauczycielem. Wyciągnęła rękę, mówiąc:

„Bardzo mi miło, panie nauczycielu”.

Uścisnąłem jej dłoń.

„Mnie również miło. Ma pani bardzo mądrą córkę. Kivanç jest tutaj najbardziej pracowitym dzieckiem”, powiedziałem.

„Dziękuję”, odrzekła.

Wyszły, trzymając się za ręce. Usłyszałem, jak matka powiedziała do Kivanç: „Mam dla ciebie niespodziankę”.

Zapaliłem papierosa. Wciągnąłem i wypuściłem dym. Wyszedłem z biblioteki z radością, jakiej nie czułem od dawna. Ulica była pusta. Z lewej strony lśniły światła meczetu Çinili, z prawej zaś łaźni tureckiej. Dni stawały się krótsze, słońce zachodziło coraz wcześniej. Zmrok szybko spowił okoliczne domy. Pranie wietrzyło się na jesiennym wietrze. Kivanç, która przy swojej matce przypominała szczęśliwego kota, szła, przyglądając się balkonom. Starła się zobaczyć jak najwięcej przez grube szkła swoich okularów. W pewnym momencie odwróciła głowę i spojrzała w dal ulicy, chciała przejść, szacowała odległość. Puściła rękę matki i zaczęła biec. Ten widok przypomniał mi zdjęcie, które widziałem przed laty, nie wiem gdzie. Żółte światło padało na czarno-białe ściany i chodniki. Nagie gałęzie się wydłużały. Ptaki siedziały na drutach elektrycznych jak świecidełka. W pewnej odległości od drzew i ptaków, przy latarni, której żarówka nie świeciła, czekała kobieta. Zeszła z chodnika, otworzyła ramiona i przytuliła biegnącą w jej kierunku Kivanç. Stały tak w uścisku przez chwilę, potem chwyciły się pod ramiona i wykonały obrót jak wiatrowskaz. Szły, zarzucając spódnicami. To musiała być ta niespodzianka, o której mówiła mama Kivanç. Po chwili wszystkie trzy zamieniły się w ledwo widoczne sylwetki i zniknęły mi z oczu.

Kiedy ulica opustoszała i zostały tylko drzewa i ptaki, doszedłem do siebie. Przez chwilę wydawało mi się, że kobieta, która przytulała Kivanç, to była Mahizer. Stała daleko, latarnia nie działała. Czasami zdarzało mi się w ciemności mylić obce osoby z Mahizer. Mimo braku pewności rzuciłem papierosa na ziemię i pobiegłem za nimi. Zaglądałem w każdą boczną uliczkę, sprawdzając, czy czasem nie skręciły w jedną z nich. Podążając w kierunku głównej drogi na końcu ulicy, zaglądałem w okna mieszkań, w których były zapalone światła. Kiedy dotarłem do samochodów jadących po obu stronach ulicy i strumienia przechodzących ludzi, zrozumiałem, że je zgubiłem. Wróciłem tą samą drogą, sprawdziłem te same ulice i okna. Przemierzyłem tę trasę wiele razy tej nocy. Zmarłem i zmęczyłem się. Kiedy następnego popołudnia spotkałem Kivanç w bibliotecznym ogrodzie, nie mogłem ukryć wyczerpania.

Siedziałem na ławce. Kivanç przekroczyła bramę i podeszła do mnie. Miała włosy splecione w warkocze. Rozmawiała ze mną, jakbym był jej kolegą z klasy.

„Dlaczego wyglądasz na zmęczonego?”, zapytała.

„Pracowałem do późna”.

„Ja też muszę pracować. Mam dzisiaj dużo zadane”.

„Pomóc ci?”, zaproponowałem.

„Mówisz serio?”, zdziwiła się.

„Jeżelibyś chciała, to oczywiście”.

„No pewnie!”.

„W takim razie zgoda”.

„Jeśli odrobę wszystkie zadania, to wieczorem pójdę do kina”, oznajmiła.

„Jak miło. Pójdiesz z mamą?”.

„Abla Yasemin pójdzie ze mną. Mama musi dzisiaj zostać w pracy do późna”.

„Kim jest Abla Yasemin? Waszą krewną?”.

„Nie, koleżanką mamy. Wczoraj przysłała, dzisiaj też jest u nas”.

„Czy to właśnie była ta niespodzianka, o której mówiła twoja mama?”, chciałem wiedzieć.

„Tak. Abla Yasemin niekiedy przychodzi do nas. Spędzamy razem czas”.

„Co robicie? Bawicie się w dom?”.

„Bawimy się w dom, w chowanego...”.

„A potem śpicie razem...?”.

„Śpimy, przytulając się do siebie”.

„Zobacz, ja też mam dla ciebie niespodziankę!”.

Wyciągnąłem z kieszeni tabliczkę czekolady i położyłem ją na malutkich dłoniach Kivanç. Jej zielone oczy rozszerzyły się, aż przezroczysty kolor grubych szkielek zmienił się w szmaragdowy.

Tego dnia nie czytałem wierszy, spędziłem czas z Kivanç, pomagając jej w zadaniach domowych. Zjadłem trochę czekolady, którą się ze mną podzieliła. Pomogłem jej napisać opowiadanie i narysować w zeszycie górę, owcę i drzewo. Dałem jej kilka wskazówek przy rozwiązywaniu testu składającego się z dziesięciu pytań. Kiedy skończyliśmy, zauważyłem, że zaczęło się ściemniać. Powiedziałem jej, że muszę już iść, i wstałem. Opuściłem bibliotekę trochę wcześniej niż poprzedniego dnia. Z uśmiechem pożegnałem się z dziećmi, z którymi znałem się już z widzenia. Wszystkie siedziały obrócone w kierunku zegara. Mimo że go tam nie było, pozostały do niego przywiązane. Uważałem się za jedno z nich i z podobnym przywiązaniem do nieobecnego zegara zszedłem po dziesięciu schodach, naśladowując zegarowe tik-tak. Przekroczyłem uchyloną bramę ogrodu. Dużymi krokami przeszedłem na dziedziniec meczetu po drugiej stronie ulicy. Usiadłem na taborecie i czekałem na wieczór wraz ze zgarbionymi starcami.

Kiedy zobaczyłem przez bramę dziedzińca wychodzące z naprzeciwka kobiety z dziećmi, a chwilę potem również kroczącą radośnie Kivanç, wstałem. Zacząłem ją śledzić. Wiedziałem, że pobiegnie tą samą drogą i Abla Yasemin będzie czekać na nią w tym samym miejscu, z dala od świateł latarni. Utrzymywałem dystans. Byłem wystarczająco blisko nich, by je widzieć, ale też odpowiednio daleko, by nie były w stanie mnie dostrzec. Kobieta miała na sobie ten sam płaszcz co wczoraj. To była moja żona Mahizer, wciąż emanowała typowym dla siebie wdziękiem. Jej różowe usta i duże oczy tutaj były. Oparłem się o ścianę i patrzyłem, jak przytulały się do siebie ze wszystkich sił. Próbowałem sobie wyobrazić, że czuły swoje wzajemne ciepło i zapach.

Wiedziałem, że po tym jak mnie opuściła, Mahizer dołączyła do rewolucjonistów, ukrywała się i często zmieniała imię. Czyli teraz nazywa się Yasemin. Sama sobie wyrządzała krzywdę. Tak jak kwiat kwitł nieświadomy swojego piękna, a liść spadał, nie wiedząc nic o śmierci, tak samo Mahizer żyła bez wieści o samej sobie. Nie wiedziała, że podczas snu zamieniła się w czarodziejkę i posiadała magiczną różdżkę. Ja byłem tego świadom zamiast niej. Piękno jej twarzy istniało w mojej, a nie w jej głowie. Gdybym podczas odrabiania pracy domowej

w bibliotece natknął się na pytanie: „Czym jest piękno?”, narysowałem Mahizer, a pod spodem napisał: „Nieosiągalne piękno albo miłość są podobne do bycia świadomym, czym jest woda, i jednocześnie życia w ciągłym pragnieniu”. To właśnie stan, w którym się znajdowałem. Wiedziałem, czym jest woda, ale bez przerwy byłem spragniony. Widziałem Mahizer, ale żyłem bez niej. Przeklinałem czas, ludzi i Stambuł, nienawidziłem każdego z nich.

One z przodu, ja z tyłu, wąskimi uliczkami doszliśmy do głównej ulicy. Wsiadliśmy do taksówek i pojechaliśmy w kierunku ulicy Bahariye. Najpierw zjedliśmy po toście, potem poszliśmy na film, na którego tytuł nawet nie spojrzałem. One usiadły z przodu, ja w fotelu blisko drzwi. Próbowalem przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni byliśmy z Mahizer w kinie. Przez cały czas patrzyłem na nie i na kurtynę. Kiedy one były rozbawione filmem, ja rozpamiętywałem minione dni. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, zrobiło się naprawdę zimno. Wiatr przynosił chłód typowy nie dla jesieni, ale dla zimy. Szliśmy wmieszani w tłum. Kupiliśmy kasztany od przydrożnego sprzedawcy. Obejrzeliśmy wystawy. Wsiadliśmy do dwóch osobnych taksówek i wróciliśmy na ulicę, na której mieszkała Kivanç. Podczas gdy one zatrzymały się przy budynku o zielonych drzwiach, ja wysiadłem za następnym rogiem. Schowałem się za murem i czekałem na mężczyznę w szarym płaszczu, który od kilku godzin śledził Mahizer.

Od kiedy Mahizer spotkała się z Kivanç, podążał za nimi niski człowiek. Postawił szary kołnierz, aby przypominać detektywa z zagranicznego filmu. On też wsiadł do taksówki, poszedł do kina i przyglądał się wystawom sklepowym. Często zapalał papierosa i rozglądał się dookoła, ale nie zauważył, że na niego patrzę. Pod koniec wieczora wrócił w to samo miejsce. Wysiadając z taksówki, zapalił jeszcze jednego papierosa. Podeszedł do zielonych drzwi budynku. Zwolnił i zajrzał do środka. Napisał krótką notatkę na kartce papieru, którą wyciągnął z kieszeni. Kiedy skończył, znów podniósł kołnierz i przeszedł na drugą stronę ulicy. Wszedł na pusty skrawek ziemi za murem. Poszedłem za nim. Widziałem, jak czekał pod drzewem w ciemności. Podeszedłem do niego i poprosiłem o ogień. Z kieszeni wyciągnął zapalniczkę. Po kilku próbach jej odpalenia zbliżył ogień do mojej twarzy. Gdy tylko ją zobaczył, wolną rękę położył na biodrze. Nie dając mu szansy na wyciągnięcie broni, podrzuciłem nóż i przyłożyłem mu do gardła. Kopnąłem go w kolano i przewróciłem na ziemię. Zabrałem broń przytwierdzoną do pasa. Zapytałem:

„Kim jesteś? Kogo śledzisz? Na czyją żonę próbujesz zastawić pułapkę?”

Kiedy mężczyzna otrząsnął się ze zdziwienia, powiedział pewnym tonem:

„Reprezentuję państwo. Jeżeli nie zostawisz mnie teraz w spokoju, pożałujesz tego”.

Uderzyłem go w twarz i przewróciłem na plecy. Kolanem docisnąłem jego pierś do ziemi.

„Ty jesteś szatańskim pomiotem, bękartem państwa!”, krzyknąłem.

Nie byłem w stanie powstrzymać zapału, uderzyłem go raz jeszcze. Z jego ust wyszedł niewyraźny bełkot. Nie wiem, czy było to przekleństwo, czy błaganie o litość. Obracał swoje wątłe ciało to na prawo, to na lewo. Im mocniej na niego naciskałem, tym bardziej próbował uwolnić się spod mojego kolana. Zajęczał w momencie, gdy jego żebra zaczęły pękać. Poczulem na twarzy jego okropny oddech. Powiedziałem: „Wiesz, czym jesteś? Powiem ci coś, czego i tak nie zrozumiesz. Moja żona Mahizer jest prawdziwa. Ty jesteś upiorem, który próbuje ją zniszczyć. Cień prawdy nie ma żadnej wartości. Tym, co chroni ją przed utratą wartości i tworzy od nowa, jest poezja. Ja poszukuję dobrej poezji. A ty? Ty jesteś wrogiem prawdy”.

Po tej nocy coraz częściej wygrywałem symfonię na noże. W ciągu jednego tygodnia uratowałem swoją żonę przed trzema różnymi upiorami. Mahizer była naiwna. Myślała, że wie wszystko o świecie i że może go zmienić, nie była świadoma, że jestem tuż obok. Poruszała się

po ulicach Stambułu, nie wiedząc, co działo się za jej plecami. Kursowała między dwoma brzegami Bosforu. Czekala na przystankach autobusowych, siedziała w kawiarniach, przechadzała się wokół bibliotek. Kiedy osoba, z którą miała się spotkać, nie stawiała się, z zaniepokojeniem oddalała się od miejsca spotkania. Zatrzymywała się w wilgotnych domach o dachach porośniętych mchem na Üsküdar, Laleli i Hisarüstü. Zasypiała późno, wstawała wcześniej. W domach, do których się udawała, zajmowała się kwiatami i dziećmi. Kiedy któregoś wieczora znowu przytuliła Kivanç na ulicy prowadzącej do biblioteki dla dzieci w Çinili, ucieszyłem się tak bardzo jak one.

Tej nocy Mahizer zatrzymała się w domu Kivanç, a kolejnego dnia nie wyszła stamtąd. Ostatnio wyglądała na zmęczoną i chorą. Jej twarz wychudła. Powinna dbać o swoje zdrowie, wypocząć. Dobrze, że choć jeden dzień spędziła spokojnie. Kiedy ona odpoczywała w domu, ja zdecydowałem się pójść do biblioteki i czytać wiersze. Kupiłem czekoladę. Powoli kroczyłem ulicą, której częścią sam się stałem. Po chwili Kivanç otworzyła bramę i weszła z szerokim uśmiechem na twarzy. Usiadła obok mnie i powiedziała:

„Od kilku dni nie przychodzisz. Martwiłam się o ciebie. Gdzie się podziewałeś?”

„Chodziłem do innych bibliotek”.

„Abla Yasemin też się o ciebie martwiła”.

Zdziwiłem się:

„Abla Yasemin? O kogo się martwiła?”

„O ciebie. O kogo innego miałyby się martwić?”, powiedziała beztrząsowo Kivanç.

„Wie o mnie? Wie, że tu przychodzę?”

„Oczywiście, powiedziałam jej”.

„Kiedy?”

„W zeszłym tygodniu, kiedy poszliśmy do kina, opowiedziałam jej o tobie. Powiedziałam, jak pomogłeś mi odrobić zadanie domowe”.

„Wie od tygodnia...”

Przytaknęła.

„Co powiedziała?”, indagowałem dalej.

„Powiedziała, że cię zna i lubi”.

„Powiedziała, że mnie lubi? Jesteś pewna?”

„Jestem pewna”.

„Co jeszcze mówiła?”

„Wczoraj wieczorem napisała list. Włożyła mi go do torby, żebym ci go przekazała. Zobacz, jest tutaj”.

Wziąłem do ręki zaklejoną kopertę. Obejrzałem ją. Nie wiedziałem, co z nią zrobić. Kilka razy obróciłem ją w dłoni. Kiedy do głowy przychodziły mi zarówno dobre, jak i złe wersje tego, co tam jest napisane, zauważyłem, że Kivanç przygląda mi się z przebiegłym uśmiechem. Ja też się uśmiechnąłem. Poglądziłem ją po głowie i powiedziałem:

„Jesteś najładniejszą dziewczynką w tej bibliotece”.

„Dzisiaj mam za zadanie napisać wiersz. Pomożesz mi?”

„Niedługo będę musiał iść. Możesz dziś odrobić lekcje sama?”

„Pewnie”.

„To teraz uciekaj na górę i zacznij pisać wiersz”.

„Dobrze, Kamo”.

„Połamania pióra, Kivanç!”



„Dziękuję... Ale tylko tyle?”.

„Jak to tylko tyle?”.

„Dzisiaj nie masz dla mnie niespodzianki?”.

„Niemał zapomniałem. Kupiłem to dla ciebie”, wręczyłem jej paczuszkę.

„Czekolada! Dziękuję bardzo, Kamo. Uwielbiam czekoladowe niespodzianki!”.

Kiedy przyglądałem się Kivanç wchodzącej po schodach do czytelnicy, poczułem, że spoczęły mi się ręce, w których trzymałem list.

Otworzyłem kopertę. Spojrzałem na obie strony kawałka papieru zapisanego tak drobnymi literami jak sama Mahizer. W liście pisała: „miłość”, „cierpienie”, „rana”, „pamięć”. Wymieniała jedno po drugim znane mi słowa, a w każdym słowie tworzyła wir. Powtarzała raz po raz: „żałować”, „łzy”, „złość”, „rozstanie”, „łzy”, „żałować”, „zapomnieć”, „wybaczyć”, „los”, „śmierć”, „samotność”, „los”, „żałować”, „łzy” i „zapomnieć”. Co kilka linijek to samo. Używała zamiennie słów: „blisko” i „daleko”, „życie” i „śmierć”, „spotkanie” i „rozstanie”. W innym miejscu i o innej porze znałem ich znaczenie, ale tym razem nie rozumiałem, co miała na myśli Mahizer. Jej język nie przypominał języka ani mojej matki, ani mojego ojca. Słowa, które miały znaczenie, pozbawiała sensu. Jak stado ptaków odlatujących w pośpiechu powpychała wyrazy jeden w drugi. Skrzydła każdego z nich uderzały i łamały skrzydła kolejnego. Niszczyła to, co wcześniej nas łączyło, a równocześnie zamykała drzwi do przyszłości. Pisała: „Chcę, byś o mnie zapomniał. W wielkim Stambule czuję się uwięziona w jednym pokoju. Nawet jeżeli nadal cię kocham, przeszłość jest naszym przeznaczeniem, Kamo. Nie możemy uwolnić się od niego”.

Jakaż to była pomyłka! Słowa „miłość” używała na równi z innymi, nie nadawała mu żadnego specjalnego znaczenia. Wyłem pożerany przez wyrzuty sumienia. Ach, niedające mi spokoju wyrzuty sumienia! Kiedy czytałem list od nowa, pytałem samego siebie: czy po tak długim cierpieniu miałem władzę nad czasem? Czy mogłem pokonać ślepy i głuchy los? Byłem uzależniony. Byłem samotny. Mój sen zamienił się w koszmar. Ach, moje pokonane serce! Ach, niedające mi spokoju wyrzuty sumienia! Kto wytrzymałby taki ból? Kto tak długo stawiałby czoła okrucieństwu życia? Mahizer prosiła, bym pozwolił jej zostać zapomnianą, ale to ja potrzebowałem pozwolenia na zapomnienie. Nie byłem w stanie choć na chwilę wymazać z pamięci jej twarzy. W przeciwnym wypadku nie byłbym sobą. Straciłbym duszę. Zamieniłbym się w zmarłego, którego nie chciał przyjąć żaden grób. Ach, wyrzuty sumienia, które celują w moje serce zatrutymi strzałami! Gdybym wyrzucił z siebie Mahizer, pozostałoby po mnie martwe ciało. Trup, który zostałby zjedzony przez robaki.

Mahizer zebrała w swoim liście wiersze, które kiedyś czytaliśmy, i niszczyła je. Przypominała osierocone dzieci. Cierpiała, stękała. Mówiła, że jest zamknięta w pokoju, i chciała, bym otworzył drzwi i ją uratował. Pisała: „Otwórz drzwi! Otwórz i uczyni mnie wolną! Ty idź swoją drogą, a ja pójdę swoją!”. Małymi piąstkami uderzała w drzwi: „Otwórz!”. Twierdziła, że to ja mam klucz potrzebny, by ją uratować, ale nie wiedziałem, co mogę z nim zrobić. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajdowałem. Słyszałem w oddali szczekanie psów, które zbliżało się w moją stronę. Rozpoznawałem głos białego psa. Było mi zimno. Czułem ból w piersiach. Szczekanie odbijało się echem w ciemności. Puk! Puk!

– Otwórzcie drzwi! Strażnik! Otwórzcie drzwi!

Mimo że nie chciałem w to uwierzyć, powoli zdawałem sobie sprawę, że głos, który słyszałem, należał do Dayi Küheylana.

– Otwórzcie drzwi! Mój kolega umiera! Pomocy!

Puk! Puk!

Uniosłem jedną powiekę i spojrzałem w ciemność. Zobaczyłem, że Dayı Küheylan stoi i wali w drzwi celi. Nie mogłem go zawołać. Nie byłem w stanie ruszyć palcem. Z trudnością jęknąłem słabym głosem. Dayı Küheylan nachylił się nade mną.

– Żyjesz, mój drogi Fryzjerze, żyjesz – powiedział.

Poprawił moją głowę, która opadała na bok. Podniósł z ziemi kawałek materiału i zwilżył mi usta. Przetarł mi czoło. Kiedy gładził moje włosy, wypowiadał słowa pełne nadziei. Powiedział, że któregoś dnia stąd wyjdziemy i razem zwiedzimy Sztambuł. Piękne marzenia były dla zakochanych o złamanym sercach albo dla ludzi na łożu śmierci. Kiedy Dayı Küheylan trzymał mnie za rękę, widział, że zbliżam się do kresu swojego życia. Tak jak zużyłem czas, który miałem na górze, teraz zużywałem ten, który miałem tutaj.

Usłyszeliśmy odgłos przesuwania metalowego pręta. Drzwi celi się otworzyły. W świetle pojawił się olbrzymi strażnik.

– Czemu się drzecie?

– Mój kolega jest w złym stanie. Potrzebuje pomocy – powiedział Dayı Küheylan delikatnym głosem.

– Niech zdycha. On się uwolni i my się uwolnimy od niego.

– Mógłbym prosić o odrobinę wody i tabletkę przeciwbólową...?

– Tabletkę przeciwbólową będzie potrzebna tobie. Wzywają cię do sali przesłuchań. Wstawaj!

Obok ogromnych stóp strażnika zobaczyłem cień białego psa. Kroczył dostojnie, wreszcie stanął w świetle, wyglądał, jakby był z marmuru. Miał szeroki kark. Nastawił uszu. Długa sierść otulała go jak ciepły koc, sięgała ogona. Jak za dawnych dni jego oczy przypominające ślepie wilka patrzyły bystro.

Strażnik, który nie zauważył białego psa, złapał Dayı Küheylana za fraki i wyciągnął go na zewnątrz. Zamknął mi drzwi przed nosem. Zostawił mnie sam na sam z białym psem.

Nie miałem już sił. Zamykały mi się oczy. Chciałem zasnąć na zawsze.

Zwierzę podeszło wolnym krokiem, czułem jego oddech, ułożyło się obok mnie, aby mi towarzyszyć. Położyło swój długi ogon wzdłuż moich nóg. Oddychało razem ze mną. Czekalo, aż się ogrzeje. Gdybyśmy mieli czas, leżałby tak godzinami. Ale nie było czasu. Podniósł głowę. Zbliżył ją. Polizał mnie po twarzy. Przejechał swoim różowym, mokrym językiem po moim ciele, jakby wylizywał szczenię. Leczył moje rany od oka po ucho, od piersi po nadgarstki. Uśmierzał ból. W tym świecie nie do zniesienia człowiek, kiedy zamknie oczy, powinien móc wziąć głęboki wdech bez bólu. W przeciwnym wypadku jaką wartość miało życie? Biały pies poruszył swoim ciężkim ciałem. Jeszcze silniej oparł się o moje ramię. Wyciągnął śliski język i polizał również wszelkie fobie, które zbierałem od dzieciństwa. Uspokoił mnie. Zabrał cały ciężar, który w sobie nosiłem. Poczułem się lekki. Jakbym wchodził do ciepłej i spokojnej wody. Gdyby tylko życie było tak miłosierne jak biały pies. Gdyby tylko życie wskazało mi nową drogę, bo moja własna dobiegła już końca.

## Dzień dziesiąty

• *Opowiada Dayı Küheylan*

### **ŻÓŁTY ŚMIECH**

– „Wyślij mi trzy jabłka i niech w jednym będzie ząb”. Stary kartograf na statku powtórzył zdanie, na które natknął się, wyciągnąwszy ze szkatułki listy od ukochanej, która umarła przed laty, i przeczytał: „Wyślij mi trzy jabłka i niech w jednym będzie ząb”. Doktorze, czy już wcześniej opowiadałem ci tę historię? Tak? Zatem tym razem opowiem ją inaczej. Słuchaj. Stary kartograf zjeździł wszystkie morza świata z dwiema pamiątkami, które pozostały mu po ukochanej: samotnością i małą szkatułką na listy. Na każdym kontynencie szkicował nowe mapy, a każdej wyspie nadawał nową nazwę. Mężczyzna o siwych włosach wypłynął w morze w swoją ostatnią, pożegnalną już podróż. Planował spędzić ostatnie lata życia na lądzie. Mimo że był pełen podziwu dla marynarzy, którzy oddali dusze falom, chciał, by pochowano go obok jego ukochanej z lat młodości. Powiedział o tym nawigatorowi, z którym dzielił kajutę. Jemu było obojętne, czy umrze na morzu, czy na lądzie. Liczyło się tylko, by umrzeć w odpowiednim momencie. Nawigator wyciągnął z kieszeni zegarek na łańcuszku, pogłodził go czule i powiedział: „Jestem przywiązany do czasu, który wskazuje ten zegarek”. Na wieczku znajdował się znak wykonany z rubinów, którego tajemnicy nie udało mu się odkryć. Albo też po prostu świadomość, że taka tajemnica naprawdę istnieje, sprawiała mu przyjemność. To była gwiazdzista noc. Kiedy silna fala rozbijała się o statek, coś zatrzęszczało na zewnątrz. Stary kartograf i nawigator wyszli z kajuty i po schodach dostali się na pokład. Kiedy zobaczyli gwiazdy, które rozpościerały się na niebie i migotały aż po horyzont, stali z minami upodabniającymi ich bardziej do ciekawskich dzieci aniżeli starców, którzy spędzili całe życie na morzu. Przyglądali się powolnym ruchom Drogi Mlecznej. Stary kartograf wskazał na miejsce, w którym gwiazdy przypominały meandrującą rzekę. Powiedział do nawigatora: „Spójrz, czy nie są podobne do ornamentu na twoim zegarku?”. Wyciągnęli czasomierz na łańcuszku i porównali. Zobaczyli, że rubinowe zdobienie i meandrujące gwiazdy na niebie były identyczne. Stary kartograf mówił dalej: „Zgadza się, czas wskazywany przez twój zegarek i znaki na nim są poprawne”. Chmury szybko się nagromadziły i całkowicie zakryły niebo. Żagle wyły, a liny świstały jak baty. Statek, który zmierzał ku oceanowi, był targany jak liść na wietrze. Od deszczu z każdej strony tworzyły się wiry. Zaniepokoił się. Próbowali ustawić ster i żagle według grzmiących dyspozycji kapitana. Biegali na prawo i lewo – na zmianę luzowali i zaciskali wiązania. Podczas trzydniowego sztormu deszcz nie przestał padać nawet na chwilę, a niebo nie rozjaśniło się ani na moment. Targało nimi z jednego miejsca w drugie, spychało ich być może w kierunku oceanu albo dotąd nieprzemierzonych mórz. Kiedy pod koniec trzeciego dnia morze się uspokoiło, wiatr ucichł, a na niebie znów pojawiły się gwiazdy, uwierzyli, że burza się skończyła. Próbowali się zorientować, dokąd zostali zepchnięci. Szukali skrawka lądu, aby na nim naprawić podarte żagle i uzupełnić zapasy wody pitnej, która wyciekła z rozbitych pojemników. Kapitan sprawdził wszystkie rozpostarte przed sobą mapy i przyglądał się gwiazdom. W końcu udało mu się dopasować kształty na starej mapie do układu gwiazd na niebie. Położywszy palec wskazujący na morzu w rogu mapy, powiedział: „Oto miejsce, w którym się znajdujemy”. Potem dodał: „W odległości jednego dnia drogi jest wyspa, możemy tam popłynąć”. Stary kartograf i nawigator, którzy stali obok kapitana, spojrzeli po sobie. Mieli wątpliwości co do wskazanego przez kapitana, pomalowanego na niebiesko skrawka lądu.

Powiedzieli: „Kapitanie, to w przeciwnym kierunku, nie powinniśmy tak bardzo zbaczać z kursu”. Wysepka przypominała nieistniejące wyspy szkicowane przez ślepo zakochanych kartografów. Kiedyś niektórzy z nich rysowali na pustych skrajach map nieprawdziwe wyspy i nazywali je imionami ukochanych kobiet. W ten sposób zostawiali ślad po swojej miłości. Często opowiadano o statkach, które kierowały się w stronę tych nieistniejących wysp i których załogi doświadczały rozczarowania. Wątpliwości starego kartografa i nawigatora nie były jedynie domysłami. Wiedzieli, że to stary kartograf w swojej młodości umieścił tę wyspę na mapie, jednak nie mógł powiedzieć tego otwarcie w obawie przed gniewem kapitana i wyrzuceniem za burtę ze związanymi rękoma i nogami. Dwaj przyjaciele zeszli do kajuty i rozmawiali tam przez całą noc. Stary kartograf opowiadał: „Moją ukochaną zobaczyłem po raz pierwszy na bazarze w naszej wsi. Byłem wtedy jeszcze nastolatkiem. Pisałem do niej. Niekiedy czytałem jej listy, które wysyłała do mnie po kryjomu w strachu przed starszymi braćmi. Kiedy wypłynąłem w swoją pierwszą podróż po oceanie, obiecałem przywieźć jej prezent, o którym nigdy nie zapomni. Moim celem było zarobić trochę pieniędzy, polując na wieloryby, i po powrocie uciec z nią jak najdalej. Była piękna, drobna, subtelna. Pod moją nieobecność rozchorowała się, tygodniami leżała rozpalona gorączką. Jej ciało, delikatne jak porcelana, w końcu uległo śmierci. Kiedy wróciłem z morskiej podróży, poszedłem na jej mogiłę. Obok wykopałem sobie grób. Nocami pracowałem nad mapą. Na pustym skraju morza narysowałem i pokolorowałem na niebiesko najpiękniejszą wyspę, nazwałem ją imieniem ukochanej. Obiecałem sobie, że dopóki Ziemia będzie kręcić się wokół własnej osi, będę szukał tej wyspy, która nosiła imię mojej miłości, mimo że przecież nie istniała. Właśnie z tym marzeniem wypływałem w każdy rejs”. Biały statek z poszarpanymi żaglami przemierzał fale i kierował się ku otwartym wodom. Stary kartograf i nawigator zasnęli o świcie. Kiedy wieczorem dotarli do miejsca, w którym zaznaczona była nieistniejąca wyspa, obudziły ich krzyki: „Widać ląd!”. Pojawił się ląd? Jak to było możliwe? Stary kartograf nie wierzył własnym uszom. Zakłopotany wyszedł na pokład. We mgle zobaczył wynurzające się niebieskie miasto z murami, kopułami i wieżami. Mamrocząc imię zmarłej ukochanej, powiedział: „Stambuł, najdroższa, to Stambuł!”. Z niedowierzaniem i podziwem patrzył na wyspę, którą przed laty sam umiejscowił na mapie i która okazała się prawdziwa. Zmiękły mu kolana i upadł na ziemię. Uśmiechnął się do nawigatora z wyrazem twarzy wskazującym na to, że osiągnął pełnię szczęścia. Zapytał: „Czy to, co widzę, jest prawdziwe? Czyżbym podarował Stambuł mojej ukochanej, a naprzeciwko nas jest wyspa, która miała nie istnieć?”. Mewy zamachały skrzydłami, a bryza powiała znad brzegu w kierunku statku. Stary kartograf wyzionął ducha i wedle żeglarskiej tradycji jego ciało zostało wrzucone w głębiny. Mimo upływu lat mieszkańcy Stambułu, którzy uważali swoje miasto za prawdziwe, a statek we mgle za marę, opowiadali różne wersje historii o kartografie i nawigatorze.

Byłem sam w celi, ale opowiadałem, wyobrażając sobie, że Doktor siedzi naprzeciwko mnie. Podałem mu papierosa, którego powoli skręciłem zmiażdżonymi palcami. Wyciągnąłem zapałki i najpierw odpaliłem jemu, a następnie sobie.

– Mieszkańcy Stambułu uważali swoje miasto za prawdziwe i nie wiedzieli, że żyją na mapie pochodzącej z białego statku – powiedziałem. Zaciągnąłem się głęboko papierosem i wypuściłem dym. – Jak sądzisz, Doktorze? Chciałbyś naszkicować na mapie wyspę, a potem dołączyć do łowców wielorybów i zapuścić się na bezbrzeżne morza?

Od dzieciństwa moją sekretną wyspą był Stambuł. W noc, kiedy usłyszałem od ojca historię o starym kartografie, wyciągnąłem mapę ze szkolnej teczki i dorysowałem wyspę. Wyobraziłem

ją sobie z radością i pokochałem ją. To był czas, kiedy ludzie woleli widzieć rzeczy, niż próbować je zrozumieć. Świat zmieniał się z każdej strony. Wszyscy zapomnieli, że można kochać, nie widząc. Nie było wysp, o których marzyli, nie wiedzieli, czego szukali. Nie rozumieli, jak przez dziesiątki lat mogłem na odległość darzyć uczuciem Stambuł. Już dawno wymazali z pamięci dumę ze zdobycia miasta. Każda wygrana otwierała drogę innym marzeniom. Wędrowka Jezusa była inna od marszruty Aleksandra Wielkiego. Podczas gdy Aleksander podbijał miasto, Jezus chciał podbić serca jego mieszkańców. Moim marzeniem jest zdobyć zarówno miasto, jak i serca jego mieszkańców. Trzeba uratować jedno i drugie. Stambuł tego potrzebował.

Wszyscy opowiadają o pięknie Stambułu, ale nikt nie potrafi w nim żyć szczęśliwie. Niepewność, samolubstwo i przemoc przesłaniały piękno. Miasto symbolizowało piękno i poczucie pełni, których ludzie poszukiwali. Od dawna wiara w Boga nie wystarczała, by to osiągnąć. Człowiek próbował stworzyć w mieście własną wersję przyrody i znaleźć swoje miejsce pośród niej. Czy Bóg nie zrobił tego samego? Czy nie stworzył ziemi, nieba i człowieka, by zrozumieć siebie samego? Od tego czasu minęły wieki. Rzeczywistość się zmieniła. Człowiek pogrążył miasto w chaosie, który teraz zaczął go wypychać na zewnątrz. Ten sam człowiek, który w każdym miejscu rozprzestrzenił własną wersję przyrody, tworzył nową epokę, nie będąc nawet tego świadomym. Stąd też brała się melancholia. Była to melancholia nie człowieka, tylko Boga, który nie pasował do nowej epoki. Sprawdzało się to, czego obawiał się od czasów wieży Babel.

Członkowie plemienia żyjącego po drugiej stronie morza ranili twarze swoich dzieci – okaleczali je, by nie zostały porwane przez wrogów i sprzedane na targu niewolników. W ten sposób dzieci pozostawały wolne. W ich języku słowa „brzydota” i „wolność” używane były zamiennie, a „piękno” i „niewola” były synonimami. Podobnie mieszkańcy Stambułu, żyjąc w strachu, że ich miasto zbliża się do kresu swoich dni, robili co w ich mocy, by unicestwić jego piękno. Cierpieli na ziemi i pod jej powierzchnią, i skłaniali się w stronę zła. Szpecenie miasta nazywali wolnością. Nie rozumieli, że ostatecznym celem zła jest zniszczenie piękna. Ale Stambuł to wyczuwał. Bronił się przed ludzką głupotą. Ogromne miasto opierało się i próbowało o własnych siłach bronić swojego piękna.

Było dobre i porządne. Co prawda również wyrachowane. Piękno natomiast nie miało granic. Było obecne w słowie, na twarzy, w śladach pozostawianych na ścianie przez padający deszcz. Nie musiało mieć materialnej formy – istniało również w marzeniach ludzi i niepoznanych jeszcze znaczeniach. Od kiedy człowiek zmęczył się poznawaniem przyrody i zaczął kreować swoją własną jej wersję, tchnął duszę w szkło, stal i elektryczność. Zasmakował w sztuce tworzenia. Patrzył w lustra i mówił sam do siebie: „Nie jestem odkrywcą przyrody, ale jej twórcą”. Zniósł granicę między sobą a przyrodą, połączył duszę z materią. Zebrał razem wszystkie czasy i miejsca. Kiedy patrzył na miasto, widział nie tylko przeszłość, lecz także przyszłość. Potem zmęczył się tą bieganiną. Sposępniał. Zabrakło mu nadziei. Pogrążył się w brzydocie, którą kryje w sobie piękno, w pustce zawartej w istnieniu. Stracił siły. Czy dostrzegał skazane na porażkę zmagania piękna w mieście? Jeśli tak, to znów powinien tchnąć w nie ducha. Czy czuł, że życie w mieście traciło wartość? Musiał na nowo nadać mu wagę. Czy minęła mu ochota, a tajemnice się kończyły? Powinien otulić miasto pasją i zamiast narzekać, zdobyć je na nowo.

Opowiedziałem to wszystko Doktorowi, patrząc na ścianę naprzeciwko.

Zbliżyłem do ust nieistniejącego papierosa, którego trzymałem w palcach. Zaciągnąłem się.



Westchnąłem, kiedy popiół spadł na ziemię, mimo że starałem się uważać. Próbowałem podnieść go koniuszkami palców. Rozsypał się. Znowu się zdenerwowałem.

To się zaczęło, gdy po powrocie z przesłuchania nie zastałem w celi Fryzjera Kamo. Kiedy zapytałem strażnika, co się z nim stało, nie odpowiedział, tylko zamknął mi przed nosem drzwi, uśmiechając się krzywo. Nie było również Doktora ani Studenta Demirtaya. Nie widziałem ich od dwóch dni. Czy pojawili się w celi podczas mojego przesłuchania? Czy udało im się trochę odpocząć i przespać? Nie zauważyłem żadnego śladu ich obecności. Pusty pojemnik z wodą zmienił miejsca, leżał w tym samym kącie. Nie wyczułem na ścianach i drzwiach, które obmacałem rękoma, świeżych plam krwi. Cella naprzeciwko również była pusta. Zinê Sevda nie pokazała się, gdy wrzuciłem guzik przez szparę, położywszy się na ziemi. Mimo że stałem przez dłuższą chwilę na jednej zdrowej nodze przy drzwiach celi, nie podeszła do otworu.

Z oddali doszedł mnie głuchy dźwięk. Przypominał wystrzał z browninga gdzieś za ścianami, korytarzami i żelaznymi drzwiami. Kiedy znowu usłyszałem ten sam huk, zrozumiałem, że się nie myliłem. Ruszyłem się z miejsca. Trzymając się ściany, wstałem. Pociągnąłem obolałą nogę za sobą, jakby była workiem wypełnionym kamieniami, i zbliżyłem się do drzwi.

Rozsunąłem, ile się dało, blachy zasłaniające otwór. Wyjrzałem na zewnątrz z nadzieją, że uda mi się coś zobaczyć. Korytarz był pusty. Nie dostrzegłem nawet cienia w białym świetle lampy, nie usłyszałem choćby oddechu. Skąd dochodził odgłos wystrzału? Albo raczej: kto strzelał?

Przeszły mi przez myśl dwie możliwości. Że to był Doktor, który podczas naszej ostatniej rozmowy powiedział: „Śmierć wcale nie jest zła”. Albo był nim naiwny Demirtay, impulsywny Kamo lub uparta Zinê Sevda. Jeżeli jednemu z nich udało się chwycić za broń, rzucili się w labirynt korytarzy i rozpoczęli starcie, jak daleko mogli zajść? W jaki sposób znajdą drogę?

Była jeszcze inna możliwość: Sztambuł na górze o nas nie zapomniał. Inni dołączyli do młodych, którym udało się wyjść cało ze starcia z policją w Lesie Belgradzkim. Przysięgli sobie, że raz na zawsze zlikwidują ból i uratują tych, którzy cierpieli. Przybyli, by nas ocalić. Pośród nich znajdowali się syn Doktora i Mine Bade.

Znowu usłyszałem hałas, pistolety strzelały jeden po drugim. Strzały z browninga mieszały się z tymi z beretty, a z walthera ze smithem & wessonem. Echo odbijało się od ścian korytarza. Rozpoznawałem dźwięk każdej broni, tak jak na pamięć znałem głosy dzikich zwierząt z góry Haymana, obok której upłynęło moje życie. Nadstawiłem uszu. Kiedy przypomniałem sobie, jakie rany potrafią zadać naboje, zaniepokoiłem się.

Zastanawiałem się, co się dzieje z moimi przyjaciółmi. W jakim byli stanie? Żywi czy martwi? Pomyślałem, że w tej chwili obie możliwości były jak najbardziej prawdopodobne. Dopóki nie zobaczę ich na własne oczy, będą zarówno żywi, jak i martwi. Będą zarówno oddychać, jak i leżeć w bezruchu. Dzielące nas ściany sprawiały, że wszystko było możliwe. Podobnie rzecz się miała także z tymi, którzy ścierali się w tej chwili. Dzierżący broń mogli być w drodze, by nas uratować, lecz także by nas zabić. Nie wiedziałem nic poza tym. Wszystko było możliwe. W tej chwili obraz sytuacji widziany z celi był podobny do tego, który mogli mieć mieszkańcy Sztambułu na powierzchni. Gdyby dowiedzieli się, że my tu cierpimy, i spacerowałyby ulicami w smutku i rozpacz, mogliby wziąć pod uwagę dwie możliwości. Albo żyliśmy, albo już byliśmy martwi. Może jeszcze oddychaliśmy, a może leżeliśmy bez życia.

Postanowiłem zamienić się na moment rolami z tymi na górze. Spojrzałem na siebie ich oczami – nie wiedziałem, co myśleć. Poczułem, że w tej samej chwili jestem w dwóch stanach jednocześnie – byłem żywy i martwy.

Kiedy jak ćma zapatrzony w białe światło korytarza pogąrzyłem się w myślach, przestałem

słyszeć strzały. Zapadła cisza. Do celi wrócił spokój. Czekałem z myślą, że w każdej chwili ktoś tu może przyjść. Wciąż stałem na jednej nodze i aby móc wyglądać na zewnątrz trochę dłużej, złapałem się żelaznych krat w otworze w drzwiach. Przymknąłem oczy zmęczone od patrzenia pod światło. Usłyszałem, jak ktoś puka w drzwi jednej z cel na końcu korytarza. Dotarł do mnie krzyk: „Strażnik!”. Ktoś potrzebował pomocy. „Strażnik!”. Zacząłem przysłuchiwać się odgłosom na zewnątrz. Czekałem na kroki strażnika. Wstanie teraz z krzesła, wyjdzie z pokoju i głośno przejdzie po betonie. Dojdzie na drugą stronę korytarza i zatrzyma się przy drzwiach celi. Odsunie zasuwę, otworzy drzwi i zacznie przeklinać. Ale strażnik się nie ruszył. Nie wstał z krzesła, nie przeszedł głośno po betonie. Nie odpowiedział na wołanie. Znow zapanowała cisza. Ze zmęczenia nie miałem siły już dłużej czekać. Oparłem się o ścianę. Wspierając się zdrową nogą, powoli osunąłem się na podłogę. Usiadłem. Rozłożyłem nogi i wziąłem głęboki wdech.

Właśnie wtedy poczułem, że z nosa cieknie mi krew. Podniosłem szmatkę z ziemi i wytarłem się nią.

Nie byłem śpiący. Zgłodniałem. Usta wyschły mi z pragnienia.

Zamiast spędzić czas, gapiąc się w ścianę naprzeciwko, wołałem porozmawiać z Doktorem. Wykonałem ruch, jakbym wyciągał tabakierę z pustej kieszeni. Kiedy zwijałem papierosa popękаныmi palcami, stwierdziłem, że wolę udać się do domu Doktora. Wyobrażałem sobie, że siedzę w jego ulubionym miejscu – na balkonie z widokiem na Bosfor. Podąłem mu papierosa wypełnionego po brzegi tytoniem. Skręciłem też jednego dla siebie. Wziąłem ze stołu zapalniczkę i zapaliłem. Po chwili wypuściłem dym w kierunku błękitnego nieba, jakie rzadko można zobaczyć nad Stambułem na początku zimy. Próbowałem nie myśleć o strzałach, które przed chwilą usłyszałem. Zamiast tego przysłuchiwałem się odgłosom jadących samochodów, syrenom statków i krzykom mew.

Na koronkowym obrusie na balkonowym stole stały talerze z przystawką z ostrej papryki, serem i kiszonkami. Rukola była świeżutka, a jogurt pokryty kajmakiem. Rzodkiewki skropione cytryną, oliwki posypane ostrą czerwoną papryką. Chleb pokrojono w cienkie kromki i kilka z nich przypieczono. Dzbaneł był do połowy wypełniony wodą. Do raki w wysokich, smukłych szklankach dodano lodu, dzięki czemu miała przydymiony kolor, reszta chłodziła się na później. Tabakiera, zapalniczka i popielniczka leżały obok siebie. Misterne zdobienia wskazywały, że biały obrus był pamiątką z dawnych lat.

To był ciepły dzień. Doktor wydawał się wypoczęty i w dobrym humorze. Dochodziły dźwięki osmańskiej piosenki, starego, trzeszczącego nagrania. To żona Doktora, która choć zmarła przed laty, nigdy nie opuściła tego domu. Tkliwym głosem śpiewała: „To do ciebie należy moje serce, tylko dla ciebie jest w nim miejsce. Nawet jeśli wraz z mijającym czasem moje włosy oprósza się siwizną, jesteś dla mnie wszystkim, jesteś źródłem szczęścia, jesteś źródłem życia”. Słowa piosenki płynęły z balkonu jak woda i spadały prosto na ziemię niczym deszcz. W mieszkaniu, w ogrodzie i na ulicy – wszystko bez wyjątku przypominało o tęsknocie. Uliczni sprzedawcy krzyczeli tym samym głosem. Śruby napędowe statków i koła samochodów obracały się z tym samym jękiem. Dachy układały się jeden na drugim i schodziły do morza jak schody. Morskie fale rosły i zmniejszały się w rytm piosenki. Kapitanowie gwizdali raz za razem, jakby widzieli, że pijemy raki, i docierała do nich melodia z balkonu.

Doktor uniósł w toaście szklankę najpierw ku mnie, a następnie w kierunku morza. Kiedy zobaczył, że robię to samo, uśmiechnął się. Napił się raki.

– Dayı Küheylan, dobrze zrobiłeś, że przyszedłeś – powiedział.

- Ja też się cieszę, że tu jestem.
- Udało ci się zwiedzić Stambuł?
- Miałem na to całe życie i jeszcze te dodatkowe dziesięć dni.
- Cieszę się.
- Doktorze, teraz mogę już spokojnie umrzeć. Czuję, że jestem pogodzony ze światem.
- Dlaczego mówisz o śmierci? Myślmy o przyjemnych rzeczach. Życzymy sobie, byśmy często nakrywali do tego stołu i o każdej porze roku pili raki, spoglądając na Bosfor.
- Wypijmy za dobre dni.
- Za dobre dni...

Stuknęliśmy się szklankami.

Spojrzeliliśmy na puste krzesła, sznurki na pranie i dachówki na budynku naprzeciwko. Nie było mgły. Oprócz jednej chmury nad wzgórzem Çamlıca niebo pokrywał błękit. Można było dostrzec nawet domy i zagajniki na wyspie Kınalı. Za około godzinę słońce zajdzie po prawej stronie, a kolor nieba zmieni się w pomarańczowy.

- Wkrótce nastanie wieczór, a okolicę spowije magiczna peleryna – powiedziałem.
- Magiczna? To jest jeszcze jakaś magia w Stambule?
- Doktorze, właśnie do magii porównałem to, co ostatnio powiedziałeś o nadziei: „Magia jest lepsza od tego, co istnieje”.
- Czy nazwiemy to nadzieją, czy też magią, nie wystarczy, aby uratować piękno Stambułu. Dayı Küheylan, nie mówię o tym każdemu, tylko tobie. Ludzie są zmęczeni, chcą jak najszybciej stąd wyjechać.

– Doktorze, ludzie opuszczają Stambuł, który nie jest miejscem do życia. Trzeba sprawdzić nie to, czy w Stambule warto żyć, ale czy warto tam tworzyć.

- Ale co miałyby zostać stworzone? Jego zniszczone piękno?
- Stworzenie piękna na nowo jest zapowiedzią podbicia miasta.
- Podbój... Nadal tak sądzisz?
- Oczywiście.
- Nawet po zwiedzaniu go przez ostatnie dziesięć dni?
- Teraz jestem nawet bardziej o tym przekonany...
- Wydaje mi się, że powinniśmy za to wypić.
- Wypijmy dzisiaj za wszystko, co przyjdzie nam na myśl.

Rozsiadliśmy się na wygodnych krzesłach.

Zauważyliśmy nad dachami po prawej stronie czerwony szal. Wiatr porwał go i niósł w kierunku morza. Na przemian zwijał się i prostował. Przemieszczał się jak ptak o rozłożystych skrzydłach. Wydawało się, że nie miał zamiaru wylądować na jednym z dachów, tylko dotrzeć do morza. Zapatrzyliśmy się w czerwień, która symbolizowała dla nas człowieczeństwo, i myśleliśmy o dalekich krainach.

- Dayı Küheylan, czasami wszystko mi się miesza. Wydaje mi się, że nie znamy się od dziesięciu dni, tylko od dzieciństwa. Ty też masz takie wrażenie?
- Ja też czuję, jakbyśmy od lat przechadzali się po dzielnicach Stambułu, spotykali się na pogawędkach i im więcej rozmawiali, tym więcej mieli sobie do powiedzenia.
- Chyba się starzejemy...
- Doktorze, ja już jestem stary, ale ty uważaj na siebie.
- Twój umysł jest w pełni sprawny. Masz się lepiej ode mnie.
- Racja, nie zapominam tego, co usłyszałem. Na przykład od kilku dni myślę o książce,

o której mi opowiedziałeś.

– O której?

– O *Dekameronie*.

– Zapamiętałeś jej tytuł.

– Tak, już go nie zapomnę.

– Nie zapomnisz też zabawnych historii z tej książki.

– Doktorze, fakt, że wszystkie historie z tej książki są śmieszne, przypomina mi o pewnym wydarzeniu, o którym słyszałem od mojego ojca. Pewnego razu kiedy wrócił ze Stambułu, powiedział nam, że był uwięziony w jednej z podziemnych cel i usłyszał od żeglarza, z którym siedział, o jednej wyspie. Według tradycji panujących na niej, kiedy ktoś umarł, do północy wszyscy zebrani oplakiwali go i śpiewali pieśni żałobne, a potem rozchodzili się do domów. Gdy domownicy zostawali sami, zaczynali się śmiać i opowiadać zabawne anegdoty związane ze zmarłym. Przy każdej wybuchali śmiechem, wreszcie po ich policzkach zaczynały spływać łzy. Nazywali to żółtym śmiechem. Według nich żółty był kolorem, który pozwalał zapomnieć o śmierci. A co ty o tym sądzisz, Doktorze? Czy nie wydaje ci się, że bohaterowie *Dekameronu*, którzy czuli na swoich karkach oddech śmierci, opowiadali sobie śmieszne historie właśnie z potrzeby tego żółtego śmiechu?

Doktor odpowiedział krótko:

– Być może.

Wstał, by odebrać telefon dzwoniący w salonie.

Śmiech jest ważniejszy od posiadania. Była to jedna z lekcji, jakiej udzieliło nam życie. Kiedy zostałem na balkonie sam, rozbudowałem to powiedzenie, przyglądając się jedzeniu, które stało przede mną: ser i kiszonki są lepsze od posiadania. Raki natomiast jest lepsza od czegokolwiek. Zacząłem się śmiać sam do siebie. Wypiłem łyk. Postawiłem szklanekę na stole i zjadłem kiszonkę ogórka. Powiedziałem: „Jak miło jest mieszkać w Stambule”. Spojrzałem na małe rybackie łódki, które kołysały się na falach jak pudełka zapalek, w miejscu gdzie wody Złotego Rogu stykają się z Bosforem. Zauważyłem, że podczas gdy niebo czerwieniło się za minaretami i wysokimi blokami na zachodzie, mgła, która nagle zebrała się nad Wyspami Książęcymi, zaczęła się zbliżać w tę stronę i wkrótce opadnie na łódki. Posmarowałem kawałek podpieczonego chleba pastą z ostrej papryki.

Kiedy Doktor wrócił do stołu, wypiliśmy po ostatnim łyku raki, która została na dnie szklanek. Nalaliśmy sobie kolejną porcję.

– Dzwonił mój syn. Powiedział, że nie wróci do domu na noc.

– Nasz młody doktor? Szkoda, że nie może przyjść. Chciałbym go poznać.

– Dayı Küheylan, on też chce cię poznać. Pozdrawia cię.

– Dziękuję.

– Ach, młodzi. Żyją wedle własnego widzimisię. Trudno zrozumieć, co tak naprawdę robią. Niby zawsze mają do załatwienia całą masę pilnych spraw.

– A co u jego dziewczyny? U Mine Bade...

– Wszystko w porządku. Jeszcze jej nie poznałem. Dziś wieczorem mieli przyjść razem, chcieliśmy się spotkać.

– No cóż, los tak chciał, Doktorze. Poznacie się następnym razem...

– Następnym?

Doktor zamarł, jakby był pijany. Spojrzał na morze za dachami domów. Obiema dłońmi objął szklanekę z raki. Jego palce zacisnęły się jak klamra. Nachylił się i skulił. Przyglądał się

zwalniającemu prądowi Bosforu. Aby lepiej słyszeć dobiegający ze środka głos śpiewającej żony, odwrócił głowę na bok. Przymknął oczy. Wtórował ukochanej kobiecie, nucąc piosenkę. Głowa opadła mu na ramiona. Śpiewał wolniej, aż w końcu zamilkł. Doktor odetchnął ciężko. Począł chwilę. Gdy już myślałem, że zasnął, wyprostował się i otworzył oczy. Spojrzał na mnie z bólem. Jakby mając wątpliwości, czy naprawdę tu jestem, zbliżył się w moją stronę i wrócił na swoje miejsce. Napił się raki.

– Doktorze, wszystko w porządku? – zapytałem.

– Chciałem poznać kobietę, którą kocha mój syn. Szkoda, że Mine Bade nie przyszła tu dzisiaj.

– Jeżeli zobaczymy na niebie spadającą gwiazdę, pomyślimy dla nich życzenie.

– Dayı Küheylan, mam wrażenie, że tej nocy nie ujrzemy gwiazd. Twój zaczarowany Stambuł wkrótce spowije mgłą.

Nagle usłyszeliśmy jeden po drugim odgłosy wybuchu.

Nie wiedzieliśmy, skąd dochodzą. Najpierw spojrzeliśmy na domy naprzeciwko, potem wychyliliśmy się przez balustradę balkonu i patrzyliśmy trzy piętra w dół. Wieczorny ruch, spieszące ze szkoły dzieci i latarnie uliczne, które zapalały się jedna po drugiej – wszystko wyglądało normalnie. Nikt nie spoglądał z balkonów czy okien innych domów. Tarasy i zasłonięte okiennice wyglądały zwyczajnie.

– To były strzały? – zapytał Doktor.

– Nie sądzę. Nie przejmujemy się tym, co się dzieje na zewnątrz. Napijmy się raki – odpowiedziałem, bo nie chciałem go martwić.

Opróżniłem szklanekę do połowy. Miałem zamiar jak najszybciej się upić. Spojrzałem na okna w oddali, w których odbijały się światła wieczornego Stambułu, jakbym widział ten blask po raz pierwszy.

– Dayı Küheylan, twój ojciec powiedział, że w niebie istnieje świat podobny do naszego. Ostatnio opowiedziałem o tym synowi. Spodobał mu się ten pomysł, ale jak zwykle wymyślił coś na przekór. Powiedział, że świata podobnego do naszego powinniśmy szukać nie nad nami, ale pod ziemią. Podziemie jest zaraz obok. To tam ludzie cierpią, zwijają się z bólu i szukają drogi ucieczki. Są zmęczeni i słabi. Patrzą w górę, jakby chcieli zobaczyć niebo. Marzą o nas, wołają. Sobowtór każdego z nas mieszka pod ziemią. Jeżeli dobrze się przysłuchamy, to usłyszymy ich głosy. A jeżeli spojrzymy w dół, to ich zobaczymy.

– Być może w Stambule sobowtorem mojego ojca jest twój syn. Narodził się tu na nowo. Co o tym sądzisz, Doktorze?

Wybuchliśmy śmiechem w tym samym momencie. Prawie pospadaliśmy z krzeseł. Mój ojciec umarł, a jego syn żył. Nasz śmiech żółkł wzdłuż granicy między śmiercią a życiem i płynął jak rzeka w kierunku stambulskiego morza. Wszędzie jedno po drugim zapalały się światła. Pałac Topkapı i wieża Leandra były oświetlone, koszary Selimiye i stacja Haydarpaşa natomiast pozostawały za mgłą. Statki zwalniały, a odgłosy syren stawały się coraz dłuższe. Łodzie rybackie dobijały do brzegu. Noc i dzień, rzeczywistość i sen mieszały się ze sobą. Wszystko znajdowało schronienie w swoim przeciwieństwie. Podczas gdy noc czyniła kolor dnia żółtym, sen przynosił nowinę o rzeczywistości. Miasto, którego nagie ciało rozciągało się na wszystkie strony, założyło na siebie srebrzystą, jedwabną, mięciutką pelerynę. Ale jeżeli wieś reprezentuje dzieciństwo ludzkości, a miasto – jej dorosłość, to mieszkańcy Stambułu, jak zakłopotani nastolatki, żyli zagubieni gdzieś pomiędzy. Nie wiedzieli, jak patrzeć na piękno. W ciągu dnia poruszali się po mieście w strachu, a nocami podenerwowani kładli się do snu. Zapominali, że pragnienie posiadania pięknego miasta równało się pragnieniu posiadania pięknego życia.



Doktor, który śmiejąc się, machał rękami, o mały włos nie przewrócił dzbanka z wodą. W ostatniej chwili udało mu się złapać go na skraju stołu. Kiedy wycierał zmoczoną rękę, znowu zaczął się śmiać. Z jego żółtym śmiechem wszystko dookoła nabierało żółtego odcienia. Zżółkła woda w dzbanku i chleb w koszyczku. Wokół krzesel na tarasie naprzeciwko zatańczył żółty wiatr. Mewy, które leciały znad morza w kierunku lądu, machały skrzydłami w żółtej pustce. Kiedy ze statków wyładowywano w porcie żółte towary, most nad Bosforem zabłysnął żółtymi światełkami.

Pamięć jak zwykle była długa, a życie krótkie. Pamięć Doktora zapełniały żółte cienie. Każdy obiekt w mieście przenosił go w inne czasy, a każdy łyk raki odsyłał do innych wspomnień. Zadymiony kolor wódki z lodem też zżółkł.

Kiedy usłyszeliśmy pukanie do drzwi, spojrzeliśmy na siebie.

– Nareszcie przyszedł – powiedział Doktor.

Odstawił szklankę na stół. Wstał bez pośpiechu i poszedł otworzyć. Przysłuchiwałem się rozmowie przy drzwiach.

– Demirtay, gdzie się podziewałeś? – zapytał Doktor.

– Tu nie znalazłem dziś dobrych ryb, więc musiałem udać się na Kumkapı – odpowiedział Demirtay.

– Co było nie tak z tutejszymi rybami?

– Czy nie obiecałem, że przyniosę wam najlepsze ryby w Stambule?

– Ale jest już szósta, a ty dopiero przychodzisz.

– Szósta? Doktorze, twój zegar się śpieszy. Na moim zegarku jest dopiero za dziesięć.

– Przestań stroić sobie żarty i zanieś zakupy do kuchni.

– Kupiłem też produkty na sałatkę.

– Masz karę. Kiedy ja będę smażył ryby, ty zrobisz sałatkę.

– Z miłą chęcią. Nie ma jeszcze Dayı Küheylana?

– Myślisz, że wszyscy się spóźniają jak ty?

– Już tu jest? Gdzie?

– Na balkonie.

Demirtay podekscytowany pobiegł na balkon. Zanim zdążyłem wstać z krzesła, rzucił mi się na szyję. Położył mi głowę na ramieniu. Czułem bicie jego serca. Pomyślałem, jak bardzo młodym jest do twarzy z życiem. Nie chciałem, by śmierć przyszła po niego, by ktokolwiek kiedykolwiek zabrał mi go z objęć. Poczekaliśmy, aż jego serce się uspokoi.

Złapałem go za dłonie i uściskałem.

– Dobrze wyglądasz. Trochę przytyłeś. Zapuszczasz włosy? – zapytałem.

– Tak, tak jak ty, będę je nosił rozpuszczone na ramionach.

– Wtedy zrobimy sobie razem zdjęcie.

– Będzie mi bardzo miło. Nie mamy żadnego wspólnego zdjęcia.

– Demirtay, twoje ręce są zimne jak lód.

– Jak zwykle.

– Przynieś sobie sweter ze środka. Będziemy pić raki na balkonie. Nie chcę, żebyś zmarł.

– Założę nie jeden, ale dwa swetry.

– Dobry pomysł.

Z zachodem słońca temperatura wyraźnie spadła. Gdybym nie miał na sobie grubego swetra, też bym zmarł.

– Dayı Küheylan, mam dla ciebie nowe plotki. Jak tylko usiądziemy do stołu, opowiem ci,

który piosenkarz pracował w młodości jako rybak, a teraz zostawił muzykę, by wraz z miłością z lat młodzieńczych znowu sprzedawać ryby. Podśledzałem rozmowy rybaków i już wiem, w którym pałacu jest mapa skarbu ukrytego pod stadionem İnönü. Dowiedziałem się także, kto oszukiwał na ostatnich wyścigach konnych. Wszystko ci opowiem.

– Z miłą chęcią posłucham. A teraz idź i pomóż Doktorowi, zanim znowu się na ciebie zdenerwuje.

– Już idę.

Demirtay tylko na chwilę wszedł do salonu i znów pojawił się na balkonie.

– Dayı Küheylan, prawie zapomniałem – powiedział.

– Co się stało?

– Kiedy usiądziemy do stołu, oprócz plotek podam również rozwiązanie twojej zagadki.

– Której zagadki?

– Zagadki o pani Filiz i panu Jeanie, o których podróżujący statkiem każdego dnia dowiadawali się nowych rzeczy z gazet. Pani Filiz była zarówno żoną, córką, jak i siostrą pana Jeana. O tym słyszeliśmy. Ale według ostatnich doniesień była również jego ciotką. Pamiętasz?

– Oczywiście.

– Wiem już, jak to jest możliwe.

– Naprawdę?

– Zdziwicie się, kiedy wam opowiem.

– Już teraz zżera mnie ciekawość.

– Ale chcę za to nagrodę.

– Jaką nagrodę?

– Skoro mam karę za to, że spóźniłem się dziś wieczorem, powinienem też dostać nagrodę za rozwiązanie zagadki, prawda?

– Brzmi logicznie. Mnie to pasuje. Ale zapytajmy też Doktora.

– Przekonam go w kuchni.

– Zobaczymy. Powodzenia!

Student Demirtay wszedł do środka. Zostawił mnie samego na balkonie.

Zapatrzyłem się na Stambuł, który każdego dnia zadawał zarówno ból i cierpienie, jak i napełniał nadzieją i marzeniami. Spojrzałem na pałac Dolmabahçe, pałacyk Sepetçi i most Galata, na które po raz ostatni patrzą samobójcy skaczący z mostu nad Bosforem i które podziwiają zakochani trzymający się za ręce. Przyglądałem się, jak dzielnice *gecekondu* na wzgórzach po azjatyckiej stronie przygotowują się do zanurzenia w białej mgłę. Stambuł był miastem miliona cel, każda z nich sama była Stambułem. Fragment należał do całości i jednocześnie stanowił całość. Blisko leżało daleko, a daleko znajdowało się tuż za rogiem. Wszystko było zarówno jałowe, jak i urodzajne.

W tym mieście każdemu cierpieniu fizycznemu towarzyszyła duchowa udręka. Tłum i samotność miały tę samą wagę. Miłosne bolączki współzawodniczyły z biedą. Problemy finansowe postępowały z tą samą prędkością co starość. Epidemie chorób szły ramię w ramię z zarazami strachu. Dzieci, które myślały, że pod skórą nie mają żył, lecz kable, dorastały, a liczba starców, którzy nosili w kieszeniach kalkulatory zamiast lusterek, rosła. Miejsce liter na ich językach zajmowały cyfry. Mówili, że miłość zamieniła się w pieniądze, ale nawet jeżeli wyciągali kalkulatory i robili obliczenia, nie byli w stanie wyjaśnić, dlaczego nie można zamienić pieniędzy w miłość. Liczby nie wystarczały.

Usłyszałem głos Doktora:

- Dayı Küheylan! Zaraz przyjdziemy. Uratujemy cię od samotności. Bądź cierpliwy.
- Jeżeli będziecie długo zwlekać, sam wypiję raki do końca – odpowiedziałem.

Napełniłem szklanke. Dodałem wody i lodu. W mieście moich marzeń, obok moich najdroższych piłem raki na balkonie z widokiem na Bosfor.

Mój ojciec mawiał, że o każdej porze roku – w ciemności, śniegu i we mgle – Stambuł dawał początek nowym miastom. Pewnego gorącego letniego dnia zobaczył na wybrzeżu Tophane stojących obok siebie studentów malujących obrazy. Każdy z nich nakładał farbę na płótno, patrząc na wieżę Leandra naprzeciwko, na mewy i morze, ale ich obrazy wcale nie były do siebie podobne. Na jednym morze było niebieskie, a na drugim żółte. Na kolejnym wieża Leandra wyglądała na nową, na innym – na starą. Na jednym mewy rozpościerały skrzydła w locie, z kolei na innym – grupowo umierały. Obrazy nie pokazywały jednego miasta, tylko wiele dalekich od siebie – zarówno pod względem odległości, jak i czasu. Były jasne i ciemne, radosne i posępne. Natomiast miasto, które widział mój ojciec, było całkiem inne od pozostałych. Patrzący złym wzrokiem czynią miasto złym, natomiast spoglądający z dobrymi zamiarami sprawiali, że stawało się piękniejsze. Zmiany w mieście były ściśle związane ze zmianami zachodzącymi w człowieku.

Spojrzałem na Stambuł, który mój ojciec zostawił za sobą przed laty. Wybrzeże Salacak zniknęło. Wieża Leandra zginęła we mgle. Morze zrobiło się białe jak raki w mojej szklance. Statki i łodzie rybackie zacumowały w porcie i odpoczywały. W obłokach mgły widać było tylko mewę o czerwonych skrzydłach. Rozłożyła je szeroko i szybowała znad morza w kierunku lądu. Oddała ciało pustce. Miała do dyspozycji całe niebo, a zniżała lot w kierunku dachów. Kiedy zbliżyła się do nas jeszcze trochę, zdałem sobie sprawę, że to nie była mewa, tylko czerwony szal. Na zmianę pojawiał się i znikał we mgle. Czyżbym wypił za dużo raki? Ile szklanek już opróżniłem? Zacząłem się śmiać sam do siebie.

Usłyszałem krzyki:

- Doktorze, Doktorze!

Znajomy głos dochodził z dołu.

Wychyliłem się przez balkon. Zobaczyłem Fryzjera Kamo czekającego na chodniku przy wejściu do budynku.

- Kamo!
- Dayı Küheylan! Jak dobrze cię widzieć.
- Wejdz na górę – powiedziałem.
- Przyjdę później.
- Dlaczego?
- Idę spotkać się z moją żoną Mahizer na Beyoğlu.
- Przeprowadź ją!
- Przyjdziemy razem. Ona również chce was poznać.
- Nie spóźnijcie się, jedzenie już prawie gotowe.
- Student też tu jest?
- Tak.
- A Zinê Sevda?
- Będzie wkrótce.
- Pójdę już. Nie powinienem kazać czekać Mahizer.
- Nie zwlekaj i wróć jak najszybciej.

Kamo wsadził ręce w kieszenie grubego płaszcza. Szedł szybkimi krokami.

Kiedy był już przy rogu ulicy, zawołałem.

– Kamo!

Zatrzymał się i spojrzał w moją stronę. Przypominał cię we mgle. Znajdował się na rozdrożu między istnieniem a nicością, między zwalniającym biciem serca a przyspieszającym czasem.

– Stęskniłem się za tobą! – krzyknąłem.

Uśmiechnął się. Rozłożył ramiona i przytulił pustkę. Obejmował mnie z daleka. Po chwili odwrócił się i krocząc szybko, wkrótce zniknął we mgle.

Podniosłem szklankę w toaście i powiedziałem:

– Za twoje zdrowie, Stambule, za twoje zdrowie!

Kiedy odstawiłem naczynie na stół, zauważyłem, że mój nos zaczął krwawić. Starłem chusteczką krew, która dotarła już do ust. Gdy sprawdzałem, czy jeszcze gdzieś mam plamy krwi, przypomniałem sobie pewien gorący, letni dzień. Byłem wtedy jeszcze młodzieńcem. Na zboczu góry Haymana, wraz z moim koniem, który padał z gorąca, przechodziliśmy obok gospodarstwa. Zwróciłem konia w kierunku dziewczyny, która czerpała wodę ze strumienia. Na żółtych wstążkach wplecionych w warkocze miała złote monety. Jej dłonie były pomalowane henną. Dopiero co wyszła za mąż. Podała mi czarkę wypełnioną wodą. Wypiłem w pośpiechu i w chłodnej wodzie zostawiłem zmęczenie. Mój koń również pił łączywie. Obróciłem się plecami w kierunku słońca i odszedłem stamtąd. Przemierzyłem zbocze. Kiedy przechodziłem obok dzikiej gruszy, zauważyłem krew na swojej koszuli. Krwawiłem z nosa. Właśnie w tym momencie zrozumiałem, że zakochałem się w świeżo upieczonej mężatce. Krew stanowiła zarówno symbol miłości, jak i śmierci. Byłem wtedy w wieku dalekim od śmierci, ale w sam raz na miłość.

Z tabakiery wyciągnąłem bibułkę. Trzymając ją między palcami, położyłem na niej tytoń. Skręciłem papierosa. Zwilżyłem brzegi bibułki językiem i zakleiłem. Płomieniem zapalniczki wysuszyłem mokre plamy na papierosie. Tak jakbym chciał wypalić całego za pierwszym wdechem, zaciągnąłem się. Wypuściłem dym nosem. Dym dobrze robi na krwawienie, wysusza ciekącą krew. Oparłem się na krzesło. Przysłuchiwałem się osmańskiej pieśni, której dźwięki dochodziły z salonu. Nie trwało to długo, takty piosenki zostały zagłuszone przez odgłosy strzałów dochodzące z zewnątrz.

Strzały z browninga, beretty, walthera i smitha & wessona znów zaczęły odbijać się echem od ścian. Z jednej strony były to dźwięki, o których chciałem zapomnieć, z drugiej wiązałem z nimi nadzieje. W miarę jak strzały zbliżały się do mnie, chciałem wiedzieć, co mnie czeka. Byłem coraz bliżej życia czy śmierci? Podniosłem głowę. Spojrzałem na ptaka czasu, który szybował wysoko, w głębokiej ciemności. Rozpostarł skrzydła i zajął całą wolną przestrzeń. Pozostawił swoje ciało w pustce obecnej chwili, targały nim męczące wichry przeszłości. Jedno z jego skrzydeł dotykało cierpienia, drugie – piękna. Gdybym wstał, czybym go dosięgnął? Gdybym stanął na palcach i wyciągnął jak tylko mogę ręce, udałoby mi się dotknąć czarnych skrzydeł ptaka czasu?

Mimo że dźwięki broni zbliżyły się już do żelaznych drzwi, nie wypuszczałem z dłoni dopiero co zwiniętego i wypełnionego po brzegi tytoń papierosa. Chciałem poczuć smak nie życia czy śmierci, tylko dymu, który wypełniał moje nozdrza. Chciałem myśleć o koronkach zdobiących obrus, o barwie pieczonego chleba, o zapachu raki z lodem. Chciałem marzyć o czerwonym szalu, który bez celu unosiła morska bryza, i przechadzać się bosymi stopami po dywanach z długim włosiem. Chciałem jeść ser i kiszone ogórki. Chciałem puścić na cały regulator muzykę, by każdy mógł ją usłyszeć, oraz siedzieć na balkonie i machać

przepływającym statkom. Kiedy strzały ucichły na chwilę, z korytarza dobiegł dźwięk otwierających się żelaznych drzwi – skrzypiących zawiasów – przypominający zardzewiałą piłę.

Czekałem w bezruchu. Położyłem ręce na szyi i próbowałem rozluźnić napięte mięśnie. Poruszałem głową na prawo i lewo. Spojrzałem na swoje długie paznokcie. Wygładziłem rozczochrane włosy. Starłem z czoła plamy krwi. Poprawiłem kołnierzyk podartej koszuli i wyprostowałem się. Dotknąłem ściany, przejechałem palcami po chropowatym betonie. Poczułem, że od kości moich palców po ramię i stamtąd przez całe ciało przeszedł zimny powiew wiatru. W powietrzu czuć było wilgoć i zapach glonów. Paliło mnie w gardle. Dzwoniło mi w uszach. W mojej głowie nie przestawał kręcić się wir. Podczas gdy ptak czasu w ciemności szybował z szeroko rozpostartymi skrzydłami, dźwięk otwierania żelaznych drzwi opanował całą pustkę.

Podniosłem głowę i po raz ostatni spojrzałem w dal naprzeciwko.

Żółta mgła była piękna.

Mgła, która zawierała w sobie czas Stambułu oraz życie i śmierć, nie miała sobie równych.

\*\*\*

*Piekło to nie miejsce, w którym cierpimy,  
ale miejsce, z którego nie słychać naszego cierpienia.*

Mansur al-Halladż

\*\*\*





foto: Danuta Kucharska

## Paulina Dominik

uzyskała licencjat z orientalistyki (turkologia i iranistyka) na Uniwersytecie Oksfordzkim. W 2013 roku otrzymała tytuł magistra orientalistyki (historia osmańska) z tej samej uczelni. Po ukończeniu studiów przeprowadziła się do Stambułu, gdzie w 2014 roku brała aktywny udział w realizacji programu kulturalnego obchodów 600. rocznicy nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a Turcją. Jest historykiem stosunków polsko-tureckich oraz tłumaczem języka tureckiego. W 2015 roku Stambuński Międzynarodowy Festiwal Poezji wydał jej przekład antologii polskiej poezji na język turecki.

Tytuł oryginału: *Istanbul, Istanbul*

Redakcja: Agnieszka Radtke

Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Damian Piechaczek

Projekt okładki: Justyna Tarkowska | Mile Widziane

Konwersja: Wioleta Kowalska | VioletDesign

© by Burhan Sönmez

© by Kalem Agency

© for the Polish translation by Paulina Dominik

Published in agreement with Kalem Agency, Turkey and Book/lab Literary Agency, Poland.



Wydanie książki zostało przygotowane dzięki wsparciu Translation and Publication Grant Programme of Turkey (TEDA).

The publication was kindly supported by the Translation and Publication Grant Programme of Turkey (TEDA).

ISBN 978-83-65595-31-7 (wersja ePUB)

ISBN 978-83-65595-32-4 (wersja Mobi)



Książkowe Klimaty

[www.ksiazkoveklimaty.pl](http://www.ksiazkoveklimaty.pl)

Redakcja:

ul. Mydlana 1, 51-502 Wrocław

[redakcja@ksiazkoveklimaty.pl](mailto:redakcja@ksiazkoveklimaty.pl)

Promocja: [promocja@ksiazkoveklimaty.pl](mailto:promocja@ksiazkoveklimaty.pl)

Sprzedaż: [sprzedaz@ksiazkoveklimaty.pl](mailto:sprzedaz@ksiazkoveklimaty.pl)